

Wspomnienia „Antoniaków”

Spis treści

1. Słowo Arcybiskupa Bronisława Dąbrowskiego FDP (z 1 listopada 1996 r.)	- s. 3
2. List ks. Stefana Batorego FDP z 5 lipca 1995 r.	- s. 4
3. List ks. Stefana Batorego FDP z 5 marca 1998 r.	- s. 5
4. Kazimierz Tomaszewski, Wspomnienie	- s. 6
5. Kazimierz Adamowicz, Małe Dzieło Boskiej Opatrzności. Cicha przystań	- s. 58
6. Jan Hermanowicz, Wspomnienie	- s. 69
7. Ks. Stefan Batory, Wspomnienie	- s. 75
8. Stanisław Kuba, Wspomnienia z pobytu na Barskiej	- s. 78
9. Henryk Kuczkowski, Wspomnienia z Powstania Warszawskiego i dalszych moich losów z pobytu w Niemczech	- s. 79
10. Zdzisław Lebieź, Wspomnienia	- s. 82
11. Jan Nowogródzki, Wspomnienia z „Antonina”	- s. 96
12. Marian Pakoca, Orioniści mnie kształtowali. Wiersze	- s. 100
13. Romuald Paprocki, Mój pobyt w „Antoninie”	- s. 115
14. Jerzy Ryszkowski, Brama (opowiadanie)	- s. 119
15. Edward Sawalich, Moje wspomnienia z pobytu w „Antoninie”	- s. 124
16. Marian Sowiński, Wspomnienia z pobytu na Barskiej 4	- s. 128
17. Henryk Starachowski, Wspomnienie	- s. 131
18. Daniel Sutarzewicz, Wspomnienia z pobytu w domu Księży Orionistów w Warszawie przy ul. Barskiej 4	- s. 134
19. Andrzej Szaszkiewicz, W Zakładzie w latach 1944 - 1949	- s. 135
20. Jan Tunicki, Wspomnienia z młodości w „Antoninie”	- s. 139
21. Józef Winiarski, Wspomnienia z Zagrodniczy i „Antonina”	- s. 152

Wspomnienia „Antoniaków”

Świętej pamięci ksiądz prałat Franciszek Toporski, kapłan Archidiecezji Warszawskiej, budowniczy i założyciel dwóch zakładów wychowawczych, mianowicie : w Łązniewie k. Błonia i w Warszawie przy ul. Barskiej, przeznaczonych dla młodzieży osieroconej i bezdomnej, kiedy posunął się w latach, zaczął szukać następców, którzy podjęliby dalsze prowadzenie tych placówek.

Za radą Jego Ekscelencji Księdza Biskupa Marmaggiiego, Nuncjusza Apostolskiego w Polsce, zaproponował przejęcie tych dzieł Księżom Orionistom.

Orioniści polscy przyjęli i przejęli te dzieła z wiedzą i za zgodą swego Założyciela Ks. Alojzego Orione. Stało się to tuż przed napaścią hitlerowskich Niemiec na Polskę w 1939 roku, która to napaść stała się początkiem II wojny światowej.

Zaczęły się długie lata okupacji - czas ciągłych niebezpieczeństw, niedostatku, aresztowań, łapanek, obozów, przeróżnych cierpień.

Dom przy ul. Barskiej, pod patronatem Św. Antoniego Padewskiego, stąd zwany „Antoninem”, nappełnił się młodzieżą różnego wieku, do stu kilkudziesięciu chłopców. Wyżywić ich, ubierać, kształcić - to nie była łatwa sprawa. Zabezpieczyć wedle możliwości, to także nie była łatwa sprawa. Ale Orioniści, czyli Synowie Boskiej Opatrzności, ufali Opatrzności Bożej i opiekowali się nimi jak sami rodzice. Chłopcy nie głodowali, byli przyzwoicie ubrani, kształcili się w różnych szkołach, zdobywali zawody, i jak to się mówi „wychodzili na ludzi”, na dobrych Polaków.

Obecnie po pięćdziesięciu latach usamodzielnieni, starsi już panowie mający swoje rodziny, utrzymują między sobą kontakty, przyjaźnie, spotykają się kilka razy w roku na „Opłatku”, na „Jajku”, na imieninach - m.in. na imieninach moich, jako byłego wychowawcy i dyrektora.

Program tych spotkań, to Eucharystia w kaplicy zakładowej w domu przy ul. Barskiej, potem „herbatka” i pogawędki, a głównie „wspomnienia z tamtych lat”.

Ostatnio właśnie postanowili spisać te wspomnienia „dla potomności, żeby nie zostały zapomniane wraz z naszym odejściem z tego świata”.

Stanowią więc dokument i świadectwo dla potomności i przyczynek do historii naszego Oriońskiego Zgromadzenia.

Warszawa, 1 listopada 1996 r.

/ - /

Arcybiskup Bronisław Dąbrowski FDP

Wspomnienia „Antoniaków”

Odnowić wszystko w Chrystusie !

Warszawa, 5 lipca 1995 r.

Kochani Chłopcy !

Piszę do Was dopiero teraz, gdyż nie było mnie w domu.

Otóż zostałem wraz z Ojcem Arcybiskupem zaproszony do Italii na obchód pięćdziesiątej rocznicy śmierci ś.p. Ks. Błażeja Marabotto, naszego mistrza i przełożonego.

Z tej wyprawy wróciliśmy przed trzema dniami. Podróżowaliśmy samochodem Ojca. W czasie drogi wspominaliśmy m.in. o niedawnym obchodzie jubileuszowym Jego Ekscelencji w Rokitnie i w Łązniewie. Ojciec nie krył swojego zadowolenia i satysfakcji. Ze wzruszeniem szczególnie wspominał o Waszej gromadnej obecności, o wyrazach i gestach serdeczności, o zbiorowym podarunku na tę jubileuszową okoliczność. Było mi bardzo przyjemnie słuchać tego wszystkiego, CHŁOPCY nie zawiedli.

Dziękuję Wam wszystkim serdecznie. To dla mnie także satysfakcja. Jesteście przecież i moimi CHŁOPCAMI.

Jesteśmy z Was dumni, KOCHANI ANTONIACY !

Deo gratias !

/ - /

Ks. Stefan Batory

Potwierdzając słowa listu Ks. Stefana Batorego, Opiekuna Antoniaków wyrażam radość z Waszej obecności na moim Złotym Jubileuszu Kapłaństwa i dziękuję Wam za stałą wierność i życzliwość.

Wszystkim z serca błogosławię

/ - /

+ B.Dąbrowski FDP

Warszawa, 5 marca 1998 r.

Kochani Chłopcy !

I znowu zostaliśmy sierotami. Odszedł umiłowany Ojciec. Odszedł po nagrodę do Pana, ale nas zostawił, choć na pewno nie opuścił nas; zostały nam wspomnienia młodości i obowiązek modlitwy jako obowiązek wiary.

Tak sobie myślę, że te wspomnienia o naszym Ojcu, szczególnie chłopięcych i młodzieńczych lat warto byłoby spisać, aby z nich złożyć tomik wspomnień na podobieństwo spisanych już wspomnień „Antoniaków”.

Byłaby to pamiątka dla każdego z nas, dla Zgromadzenia Orionistów i Orionistek, dla Kościoła warszawskiego, dla Ojca Świętego.

Zabierzcie się do pisania na żywo, aby je przynieść na nasze spotkanie na sobotę przed Palmową Niedzielą, tj. 4 kwietnia w domu Orionistów przy ul. Lindleya. Bardzo o to Was proszę. Zgromadzimy się jak zwykle o godz. 17-tej według ustalonego porządku :

Eucharystia w intencji ś.p. Ojca, herbatka i pogawędki, zebranie wspomnień oraz ustalenie terminu następnego spotkania.

Myślę, że poprosimy o podobne wspomnienia Siostry Orionistki i różnych znajomych, którzy mieli styczność ze ś.p. Ojcem.

Przy okazji donoszę Wam, że Akcja Katolicka organizuje spotkanie, na którym będą wspomnienia o naszym Ojcu.

Osobiście zostałem na nie zaproszony i nie omieszkam na naszym spotkaniu zrelacjonować Wam przebiegu tego spotkania.

Módlmy się za Kochanego Ojca i prosimy Go o wstawiennictwo u Boga.

Życzliwy Wam

/ - /

Ks. Stefan Batory

Kazimierz Tomaszewski

Wspomnienie

Opis wydarzeń, które próbowałem przedstawić w kronice miały na celu przypomnieć tym, którzy osobiście je przeżyli oraz potomnym, aby wydarzenia te pamiętali jak najdłużej i przekazywali następnym pokoleniom.

Wydarzenia, które przedstawiłem oparte są na wspólnych przeżyciach kolegów i księży Orionistów.

Budzi zadumę ludzi, którzy pamiętają, dla których drzewa, domy, ulice, a nawet cały teren nie był obcy. Przypomniałem najpierw historię początku budowy przyszłego budynku przez księdza Franciszka Toporskiego - jednego z wybitnych architektów dobroci dla sierot, następnie objęcia tegoż dzieła przez księży Orionistów.

Różne losy przeżywaliśmy szczególnie w okresie niewoli niemieckiej, to jednak nie możemy zapomnieć o tym wszystkim cośmy wspólnie działali dla dobra ogólnego. Nasze życie w niewoli wiele nas nauczyło przede wszystkim zbliżenia do siebie, wspólnego zrozumienia, dbania o każdego w razie jakiegoś nieszczęścia.

Tam zdobyliśmy wiedzę o niedoli człowieka. Trzeba pamiętać, że nad nami czuwał nasz patron św. Antoni i przypuszczamy, że też i ks. Orione założyciel Zgromadzenia Małego Dzieła Boskiej Opatrzności.

W niewoli nauczono nas jak wspólnie można rozwiązywać wszystkie problemy niezależnie od ich wielkości i sposobu. Wiara w Opatrzność wszystko może rozwiązać jeśli zdołamy się wspólnie porozumieć i zrozumieć. Tam wprowadzono prawdziwą demokrację. Każdy wykonywał to, co mu nakazali bez dziwactw i niezadowolenia.

Mieliśmy z nimi również wiele problemów, to jednak silna wola zwyciężyła zło i dała nam dobre rezultaty.

Chcieliśmy po sobie zostawić dobre wrażenie jako ANTONIACY, którzy niczego się nie bali, gdyż wiedzieli, że mają rację i w sumieniu byliśmy spokojni.

Dlatego ta kronika odzwierciedla nasze problemy z jakimi borykaliśmy się wspólnie niezależnie od zajmowanego stanowiska i na jakim posterunku przebywaliśmy i w jakim wieku byliśmy.

Wszyscy tworzyli wspólny front rozumiejąc, że od nas zależy czy zdaliśmy egzamin naszego wychowania jakie otrzymaliśmy od naszych wychowawców i czy byliśmy przygotowani do samodzielnego życia.

„Człowiek układa, ale Bóg włada planami” (Adam Mickiewicz)

Ksiądz prałat Franciszek Toporski i jego dzieło

Ksiądz Franciszek Toporski, zwany w Warszawie „Ojcem sierot”, należał do rzędu wybitnych postaci na przełomie XIX-XX w. na polu pracy wychowawczej wśród ubogiej i bezdomnej młodzieży polskiej.

Działalność wychowawczą rozpoczął w trudnych czasach pod zaborem rosyjskim. Rządy carskie w tym zaborze rusyfikowały, prowadziły propagandę na rzecz Cerkwi prawosławnej, tworząc dla polskiej młodzieży ubogiej sierociniec i internaty pod kierunkiem nauczycieli i zakonnic prawosławnych.

W Warszawie w 1902 r. z funduszy rządowych zbudowały na peryferiach, tzw. Sielcach przy ul. Chełmskiej, zakład pod nazwą „Prijut -Sierociniec”.

Patrząc na te poczynania, młody kapłan dążył do ratowania sierot i bezdomnej młodzieży od tych zagrożeń : pragnął zająć się tą sprawą, aby - tak jak ks. prał. Lubianiec, o. Kuznowicz TJ.

i ks. prał. Lasocki - tworzyć dla ubogiej młodzieży wychowawcze ośrodki na ziemiach polskich. Te przesłanki doprowadziły do konkretnych poczynań w tym względzie.

W 1895 r. w parafii św. Barbary na „Koszykach” w Warszawie, Opatrzność Boża powołała go na „Ojca sierot”. Stało się to podczas odwiedzin chorych zaopatrzonych przez niego świętymi sakramentami.

Pewnego razu niosąc święte sakramenty, odwiedził dom przy ul. Marszałkowskiej 95, gdzie była chora niewiasta z 5-letnim synem.

Przy następnych odwiedzinach owego chłopca nie zastał przy matce. Chora przyjęła kapłana opryskliwie.

Opuszczając ją dowiedział się od dozorca domu, że ona sprzedała swoje dziecko za 5 rubli rewirowemu - policjantowi rosyjskiemu. Wstrząśnięty tym przypadkiem postanowił przy pomocy Bożej i za zgodą władzy archidiecezjalnej poświęcić się sprawie ratowania dziatwy polskiej od wynarodowienia oraz zapewnienia jej należytego wychowania i opieki religijnej.

Olśniony tą ideą z całym zapalem przystąpił do realizacji swego dzieła. Rozpoczął przeciwakcję - „święty bój” o dusze dziecka polskiego z potężną propagandą rusyfikacyjną rządu carskiego i Cerkwi prawosławnej na ziemiach polskich. W duszy kapłana brzmiał fragment z poezji Zygmunta Krasińskiego : „Niczym Sybir, niczym knuty, Lecz narodu duch zatruty, To dopiero bólów ból ...”.

Ksiądz Toporski mając zaledwie 10 rubli oświadczył jednemu z księży wikariuszy przy kościele na „Koszykach”, że rozpoczyna organizować pracę wychowawczą nad młodzieżą i bezdomnymi sierotami Warszawy.

Pierwsze ubogie dzieci z parafii św. Barbary umieścił w lokalu pewnej fabryki, której zarząd w ten sposób chciał się odwdziżyć za jego pracę duszpasterską wśród rzesz robotniczych. Wkrótce dla lepszej nad nimi opieki przeniósł je do dwupokojowego mieszkania wikariuszowskiego, dzieląc się z nimi skromnym posiłkiem i przyodziewając otrzymanymi od swoich parafian ubraniami. Gdy było ich 6, wynajął mieszkanie przy ul. Wspólnej (róg Marszałkowskiej), powierzając opiece rodzinie szewskiej państwa Papińskich.

W 1901 r. jako katecheta parafii św. Aleksandra, dokąd został przeniesiony, wszystkie swoje wolne chwile poświęcał sprawie wyżywienia i kształcenia fachowego młodzieży bezdomnej.

W organizowaniu i rozwijaniu tej akcji spieszyły mu z pomocą członkinie założonej przez niego Sodalicji Mariańskiej Pań, dla której zdobył akt erekcji. Panie z Sodalicji dzielnie współdziałały w organizowaniu opieki nad sierotami. Chłopcy przychodzili bardzo często w podartych ubraniach i boso, trzeba było zdobywać odzież, bieliznę i obuwie. O to właśnie troszczyły się panie z Sodalicji.

Poza tym brakowało początkowo posiłków dla chłopców nowo przyjętych. Dzięki zabiegom tych pań dostarczano im darmowe obiady z zakładu zwanego „Przytuliskiem” przy ul. Wilczej 7, gdzie ks. Toporski był wieloletnim spowiednikiem sióstr bezhabitowych. Kiedy liczba bezdomnych sierot niepomierne wzrosła, wówczas wydzierżawił on w 1903 r. drewniany domek przy ul. Wspólnej 69 i tam przeniósł swoje sieroty w liczbie 30 osób.

W nowym zakładzie rozpoczęła się wzorowa i umiejętnie zorganizowana praca wychowawcza. Zakład ten wyposażono w kuchnię, jadalnię, sypialnie, sale szkolne, warsztaty szewski i zawodu drzewnego.

Należy przy tej okazji podkreślić, że również w okresie zimowym w latach 1904-1905 z kuchni zakładowej korzystali pracownicy fabryczni, bezrobotni i ich dzieci. Wydawano w tym czasie około 200 obiadów.

Ponieważ liczba wychowanków nadal wzrastała, a dom przy ul. Wspólnej nie mógł sprostać zadaniom i robiło się ciasno, ks. Toporski rozpoczął usilne starania o stworzenie nowej siedziby dla swoich podopiecznych.

Trzeba tu koniecznie nadmienić, że ta część Polski nadał była pod zaborem rosyjskim, gdzie tego rodzaju zamierzenia nie podobały się władzom i stąd było tyle trudności.

Łązniewo

Zabiegi o nabycie posiadłości na własność wraz z dużym budynkiem dla podopiecznych napotykały na duże trudności z braku niezbędnych funduszy. Ks. Toporski nie rezygnował z zamierzeń. Aby nie zmarnować rozpoczętego dzieła, wydzierżawił pod Pruszkowem dom z dużym ogrodem. Tam na pewien czas przeniósł część podopiecznych, aby się zapoznali z zawodem ogrodniczym pod kierunkiem fachowego ogrodnika.

Jednak to go nie zadowoliło. Zaczął szukać większej posiadłości ziemskiej z zamiarem założenia wzorowego gospodarstwa ogrodniczego i mlecznego.

Na pewno dużo się modlił. Było wielu biednych i czekających na „ojca sierot”, który by im zapewnił egzystencję i wychował dla dobra narodu i Kościoła. W wolnych chwilach myślał, jak coś dobrego i pożytecznego zdobyć. Poszukując takiej możliwości i uzyskania choć trochę wsparcia, dotarł do Błonia k. Warszawy i tam u swojego znajomego dowiedział się, że sąsiedni majątek Łązniewo o obszarze 15 włók (ca 250 ha) będzie sprzedany na licytacji. Znajomy ów doradził mu, aby nabył ten majątek. Z braku funduszy zwrócił się do swojej siostry o pomoc. Ta po dłuższych zabiegach znalazła wśród znajomych kilka zamożniejszych osób, które zdecydowały się udać na tę licytację celem wykupienia majątku na rzecz ks. Toporskiego, który przejął cały подарowany majątek wraz z zadłużeniem hipotecznym. W 1908 r. spłaciwszy częściowo dług hipoteczny, ks. Toporski stał się właścicielem Łązniewa.

Z tą chwilą przystąpił do wzorowego zagospodarowania posiadłości, w wyniku którego nastąpiła produkcja mleka, warzyw i owoców. Produkty te sprzedawano potem na terenie Warszawy i zasilano sklep spożywczy w wynajętym lokalu przy ul. Filtrowej. By to tak funkcjonowało, sprowadził swoją ciotkę, p. Teodorę Dobrowską.

Poza tym przy pomocy fachowej ogrodników urządzono duży ogród owocowy z najlepszymi gatunkami jabłoni, grusz i śliwek. Założono szklarnie i podjęto uprawę różnych warzyw. Przy takich fachowcach ogród stał się wzorcowym, w którym nawet mogli praktykę zdobywać podopieczni. Następnie pomyślano także o nauce, gdyż większa część podopiecznych nie posiadała nawet szkoły powszechnej. Dlatego do ich nauczania sprowadzono na razie jedną nauczycielkę.

W 1910 r. ks. Toporski sprowadził do Łązniewa siostry służebniczki, by zajęły się nauką i wychowaniem dzieci (chłopców). Nawał pracy nie pozwalał mu na bezpośrednie zajmowanie się tymi sprawami. Aby zaś w dużej mierze były niezależne, ofiarował im wólkę (16,8 ha) ziemi, pod warunkiem, że zbudują sobie dom i założą szkołę gospodarstwa wiejskiego lub szkołę powszechną dla dziewcząt i dzieci z sąsiednich wiosek. Siostry te naprawdę stały się współpracownicami księdza i zdobyły na łązniewskiej placówce wielkie zasługi.

Ksiądz Toporski nie zapomniał również o pracownikach etatowych w majątku, którzy przyczynili się do polepszenia pracy. Pobudował dla nich wygodne pomieszczenia - każda rodzina otrzymała obszerny pokój z kuchnią.

Dochody z majątku przeznaczano na wyżywienie młodzieży zatrudnionej w Łązniewie oraz częściowo na utrzymanie wychowanków w Zakładzie przy ul. Wspólnej w Warszawie. Nie zapomniał też o sprawach duchowych, gdyż ten problem dominował w jego pracy. Dlatego urządził w domu kaplicę, w której starszy rezydent, ks. kan. Jakubowski odprawiał codziennie mszę św., spowiadał i głosił słowo Boże w niedzielę i święta. Obaj zabiegali o sprawy duchowe i moralny poziom „ogrodniczek łązniewskich” - jak ich nazywał „Ojciec sierot” - i pracowników fizycznych.

W trakcie tego ks. Toporski zastanawiał się nad zalegalizowaniem przez rząd carski zakładu w Warszawie przy ul. Wspólnej. Dochodząc do wniosku, że sam nie podoła rozwiązaniu tej

sprawy, zwrócił się do osób kompetentnych, które po przeanalizowaniu sprawy opracowały Statut i uzyskały jego zatwierdzenie. Było to wielkie osiągnięcie, zważywszy, że według rządów carskich polskie kościoły i duchowieństwo nie powinny być dopuszczone do prowadzenia zakładów wychowawczych typu konfesyjnego i to w dodatku w języku polskim. Wola Boża była inna, gdyż mimo oporów Statut został zatwierdzony w Petersburgu w grudniu w 1905 r. pod oficjalną nazwą „Izby Rzemieślnicze Św. Antoniego w Warszawie”.

Założyciele zakładu (12 osób), zatwierdzeni jako Zarząd, zebrali jako fundusz 12.000 rubli, uzupełniony ofiarą hr. Michałowej Stadnickiej do sumy 17.000, który miał stanowić kapitał zakładowy, a odsetki przeznaczono na utrzymanie zakładu. Kapitał zdeponowany w Banku Handlowym został zahipotekowany na majątku ziemskim Łązniewo. Zarząd instytucji po 6-letniej dzierżawie domu wychowawczego przy ul. Wilczej 69 w Warszawie nie przedłużał jej, gdyż od października 1909 r. znalazł się bez odpowiedniego lokalu celem pomieszczenia wciąż wzrastającej liczby chłopców.

W tej sytuacji Zarząd w porozumieniu się z ks. Toporskim przeniósł dzieci w liczbie 30 osób do Łązniewa ze szkołą i dwoma warsztatami: szewskim i drzewnym.

Pobyt ten trwał do końca 1913 r. Dom przy ul. Wspólnej w Warszawie zlikwidowano.

Jednak nadal wzrastająca liczba ubogiej młodzieży, trudne warunki nauczania i prowadzenia warsztatów rzemieślniczych w Łązniewie zmusiły ks. Toporskiego i Zarząd do zdobycia własnej odpowiedniej siedziby w Warszawie. Pomimo zbudowania nowego Zakładu w Warszawie w 1913 r. i przeprowadzenia tam części wychowanków, Zakład w Łązniewie nadal istniał, choć trochę zmieniony.

Łązniewo było również miejscem odpoczynku dla nuncjuszy apostolskich. Byli tu oni otoczeni troskliwą opieką. Z tej miłej gościnności korzystał najczęściej ks. nunc. abp. Franciszek Marmaggi w latach 1929-1936, który doceniał zalety ks. Toporskiego i darzył sympatią, i w dowód uznania wyjednał u Ojca Św. Piusa XI odznaczenie papieskie „Pro Ecclesia et Pontifice”, a następnie w 1930 r. godność prałata domowego Jego Świątobliwości.

Nuncjusz ten przywiózł kiedyś dla zakładu w Łązniewie stylowy cenny miedzioryt z podobizną Najświętszego Serca Jezusowego. W czerwcu 1939 r. majątek Łązniewo wraz z Zakładem przejęli księża Orioniści, zgodnie z podpisaną umową między stronami, o czym będzie mowa na swoim miejscu.

Antonin

Następnym aktem było zwiększenie ilości chłopców najbardziej opuszczonych i wprowadzenie ich do budującego się sierocińca, by ustrzec ich od wpływu ulicy i polityki w zaborze rosyjskim, jako że potrzeba czynienia dobra stała się drugą naturą dzieła dobroczynnego. Należy stwierdzić, że „Uno strano prete - taki dziwny ksiądz” (takim tytułem zaopatrzył swą książkę o ks. Orione Ignazio Silone), to taki człowiek, który kocha Chrystusa, św. Antoniego, pieści uczucia dziecka, a do dusz ludzkich pała miłością.

Robi wszystko dla ratowania ich przyszłości, co jest tak znamienne w życiu ks. Toporskiego. Jest on wierny tradycjom narodowym i kościelnym. Jest niezmordowany i służy „maluczkiemu”, zabłąkanym w życiu wychowując ich na przyszłych dobrych obywateli, którzy będą służyli Ojczyźnie i Kościołowi. Kochał wszystkich. Oto jego tajemnica.

Po zatwierdzeniu Statutu dla „Izb Rzemieślniczych Św. Antoniego” i likwidacji domu przy ul. Wspólnej pobyt tymczasowy chłopców w Łązniewie trwał do końca 1913 r. Wzrastająca ilość ubogiej młodzieży oraz trudne tam warunki nauczania zmusiły ks. Toporskiego i Zarząd Izb Rzemieślniczych do zdobycia własnej odpowiedniej siedziby w Warszawie. Po zabiegach nabyto w 1910 r. za ofiarowane i pożyczone pieniądze plac o pow. 24.000 łokci (ca 1,5 h) pod budowę własnego domu w Warszawie przy ul. Barskiej.

Ofiary na ten cel w wysokości 20.000 rubli zdeponowano w Banku Handlowym. Zarząd Banku zgodził się udzielić kredytu 40.000 rubli. Zarząd Izb, mając plac i 60.000 rubli, przystąpił do budowy gmachu według projektu architekta Oskara Sosnowskiego, który również zaprojektował kościół parafialny p.w. św. Jakuba, którego budowę w bezpośrednim sąsiedztwie przyszłego domu wychowawczego rozpoczęto w 1910 r.

Neogotycki styl obydwóch budowli pięknie harmonizuje ze sobą, stanowiąc ozdobę rozbudowującej się dzielnicy Warszawy zwanej Ochotą. Budowę gmachu Izb Rzemieślniczych Św. Antoniego wykonała firma Martens Saab. Nadano mu nazwę „Antonin”.

Dnia 4 grudnia 1913 r. ukończono budowę, w której znalazło się kilka obszernych sal, kilkanaście pokoi dla chłopców, obszerne pomieszczenie dla kuchni, warsztatów rzemieślniczych, wreszcie dużej kaplicy. Dom został otwarty i poświęcony przez ks. arcybiskupa warszawskiego w obecności duchowieństwa, ludności i zaproszonych gości, którzy hojną ofiarą przyczynili się do budowy. Wychowankowie Izby Rzemieślniczej św. Antoniego wrócili z Łązniewa do Warszawy - do własnej siedziby.

Należy nadmienić, że w dniu poświęcenia hr. Michałowska Stadnicka (+ 20 czerwca 1914 r.) ofiarowała na fundusz wieczysty Izb 50.000 r.s., które zdeponowano w Towarzystwie Kredytowym Ziemskim. Ponadto testamentem przeznaczyła 100.000 r.s. na fundusz powyższy, wypłacony w lipcu tego roku decyzją Zarządu został przekazany Bankowi Handlowemu na spłacenie pożyczki zaciągniętej na budowę domu.

Hojne dary, złożone przez hrabinę na budowę Antonina, były wyrazem jej uznania dla pełnej poświęcenia pracy ks. Toporskiego, jak również spłaceniem długu wdzięczności za pomoc duchową, jaką jej okazywał.

Losy tego obiektu były różne po otwarciu Zakładu. Wojna spowodowała ponowne przeniesienie wychowanków do Łązniewa. Jednak część ich, ta która uczęszczała do pracy, pozostała w Zakładzie na ul. Barskiej. Należy też dodać, że po otwarciu Zakładu w Warszawie warunki egzystencji były różne: inne w czasie rozruchu, inne w czasie początkowej działalności. Zakład ten już miał 50 chłopców i stał prawie na pustkowiu, nie mając w sąsiedztwie ani jednego domu.

Budowa kościoła św. Jakuba, rozpoczęta w 1910 r., z wybuchem wojny została przerwana. Ulica Grójecka znajdowała się jeszcze w budowie, nie było śladu późniejszych ulic Filtrowej, Kaliskiej, Słupeckiej i Barskiej, co utrudniało jego funkcjonowanie. Poza tym, tereny te cechowała dzika przyroda, opodal znajdowały się pola orne, na których sadzono warzywa i ziemniaki.

W pobliżu Zakładu zbierały się różne „męty” wielkowiejskie, urządzające pijaństwo i częste bójki. Plac budowy, choć częściowo posiadał drenaż, to jednak woda podskórna po większych deszczach zalewała go, nawet kuchnia i warsztaty w suterrenach nie były od tego wolne. Nie przeszkadzało to budowie kanałów ściekowych, do których włączono owe drenaże. I wtedy woda podskórna znikła. Nie było oświetlenia elektrycznego, tylko gazowe, co utrudniało prowadzenie normalnych zajęć w Zakładzie.

Wracając do opisu dziejów Antonina, zaznaczyć należy, że mimo trudnych warunków terenowych ks. Toporski potrafił zapewnić chłopcom bezdomnym odpowiednie utrzymanie i porządek, potrafił wyżywić chłopców i wprowadzić normalny tryb pracy zawodowej i nauki. Opatrzność Boża przez św. Antoniego czuwała nad tymi pracami, i posuwało się naprzód wychowanie katolickie chłopców, zgodne zresztą z zaplanowanym sposobem realizacji i zamierzeń.

W 1919 r. część chłopców powróciła z Łązniewa do Warszawy, gdzie ks. Toporski gościnnie przyjął powracające bezdomne sieroty, których rodzice zginęli w czasie zawieruchy wojennej w Rosji i na terenach polskich.

Gmach „Antonina” wypełnił się po brzegi, licząc około 150 chłopców. Zasadą było od założenia Zakładu do 1919 r. bezpłatne przyjmowanie do niego najbiedniejszych sierot i zasada ta była w pełni przestrzegana.

Spółeczna Opieka Miejska zaś wpłacała pewne kwoty na dzieci przez siebie w Zakładzie umieszczone po tym roku. W tym samym czasie ks. Toporski wpadł na nowy pomysł - w celu zdobycia funduszy na wyżywienie i obsługę Zakładu uruchomił piekarnię, która zaopatrywała w pieczywo sąsiednie sklepy na Ochocie.

Przyjmowanie do Zakładu chłopców w wieku od 15 do 18 lat powracających z Rosji w pracy wychowawczej wprowadziło pewien zamęt. Część chłopców swym zachowaniem wpłynęła bardzo niekorzystnie na pozostałych. Przeżywając okres wojny ulegli demoralizacji i religijność była u nich mocno zachwiana. Trzeba było wiele pracy, żeby ukierunkować ich i wprowadzić na drogi życia chrześcijańskiego i podporządkowania regulaminowi. Mimo wielu poświęceń wyniki były nikłe, a to wpływało ujemnie na postawę pozostałych podopiecznych.

W tej sytuacji postanowiono kilkunastu „prowodyrów” usunąć z Zakładu, tych którzy już w tym czasie odnaleźli swoich rodziców. Wówczas pozostali zaczęli się wciągać w normalne i karne życie Zakładu.

Dzięki wybitnym zaletom pedagogicznym ks. Toporskiego, życie wewnętrzne, atmosfera i praca wychowawcza stała na wysokim poziomie. Wprowadzono tzw. życie kolektywne; polegało ono na utrzymaniu porządku w Zakładzie, wyznaczaniu dyżurów, przy czym część chłopców uczyła się na miejscu, starsi chodzili do szkół miejskich.

Zakład posiadał warsztaty dla swoich podopiecznych: krawiecki, koszykarski, szewski, czapniczy, stolarski, piekarski i drzewny. Na praktyki ślusarskie i monterskie uczęszczali starsi do fabryk. Natomiast preferujący zawód ogrodniczy kierowani byli do Łązniewa, z których jeszcze niektórzy uczęszczali do szkoły w Sobieszynie.

Dla rozwoju życia kulturalnego organizowano naukę muzyki, założono orkiestrę zakładową, zakupując odpowiednie instrumenty. Kierownictwo nad nią powierzono organiście z katedry św. Jana w Warszawie, p. Szpinalskiemu - ojcu wybitnego pianisty Stanisława Szpinalskiego. Młodzi muzykanci, szczególnie wyróżniający się, całymi godzinami ćwiczyli na instrumentach. Na boisko sportowe przeznaczono duży plac, zaopatrując go w urządzenia sportowe i gimnastyczne dla miłośników sportu. Ponadto założono bibliotekę zasobną w lekturę. Aby wzmocnić patriotyzm, urządzano prelekcje z zakresu dziejów ojczystej literatury. Młodzież urządzała przedstawienia amatorskie, szyjąc nawet samodzielnie kostiumy teatralne. Dla odprężenia w pracy ks. Toporski organizował wycieczki do Krakowa, aby pokazać swoim wychowankom zakład ks. Kuznowicza i jednocześnie zapoznać się z niektórymi pracami wychowanków w samorządzie i wprowadzić je ewentualnie w swoim domu. Zapraszano ich do „Antonina” z rewizytą, utrzymując w ten sposób kontakt dla dobra obydwóch stron.

Dla chłopców potrzebujących kuracji solankowej wynajmowano w Ciechocinku domek na cały sezon, gdzie spędzano 6 tygodni. Organizowane były wycieczki również na wybrzeże Bałtyku, zwłaszcza na Hel. Raz udało się ks. Toporskiemu zorganizować w Łązniewie dla starszych wychowanków z Warszawy 2-miesięczny obóz przysposobienia wojskowego prowadzony przez porucznika Wojska Polskiego, w czasie którego uczyli się m. in. patriotyzmu. Jak pisze ks. Mystkowski w książeczce pt. *Ks. prał. Franciszek Toporski* (a z książeczki tej w dużej mierze skorzystałem przy omówieniu tego okresu), wychowankowie byli dumni z tego przeszkolenia. Trzeba tutaj podkreślić, że ks. Toporski z wielką dobrocią i poświęceniem czuwał nad całokształtem prac wychowawczych, łącząc razem zagadnienia Kościoła i patriotyzmu.

Żeby dać charakterystykę tego domu w tym czasie, odwołuję się do rozmowy z najstarszym wychowankiem ks. Toporskiego, p. Zygmuntem Sękiem, który wyznał, że wszyscy wychowankowie uważali ten dom nie za zakład, ale za dom rodzinny, atmosfera w nim bowiem była rodzinna. Młodzież darzyła swoich wychowawców pełnym zaufaniem. W obcowaniu z nimi była swobodna, szczerza. Notowano poszanowanie mienia wspólnego. Ta

atmosfera domu wynikała z metody pedagogicznej ks. Toporskiego, była emanacją całej jego osobowości. Mieszkanie swoje miał zawsze otwarte dla każdego : kto z wychowanków pragnął rozwiązać jakieś sprawy, był chętnie wysłuchany i otrzymywał radę w sposób spokojny.

Ojciec był zawsze cierpliwy. Rozstrzygał spory, które wynikały z nieporozumień. Codziennie godziny popołudniowe spędzał wśród wychowanków, rozmawiając o sprawach, które ich interesowały. Nazywano to „przechadzkami długich korytarzy”. Przy okazji obserwował, czy w sposób kulturalny prowadzone były zabawy, gry świetlicowe lub na boisku, pomagając czasami w odrabianiu lekcji domowych.

Ksiądz Toporski odprawiał codziennie Mszę św. w domowej kaplicy, zapraszając wychowanków do udziału w śpiewie pieśni religijnych. W niedziele wygłaszał kazania na Mszy św. podkreślając potrzebę kształtowania charakteru, gruntowej pobożności i nabywania cnót przyrodzonych i nadprzyrodzonych. Nauczał katechizmu młodszych podopiecznych. Ważnym momentem były prowadzone przez ks. Toporskiego rekolekcje wielkopostne i misteria religijne. W okresie Bożego Narodzenia wystawiano jasełkę dla pogłębienia tajemnicy Wcielenia.

Poza administracyjnymi obowiązkami, bardzo często siedział w konfesjonale, aby podopieczni mogli się spowiadać i prowadzić życie oparte na zasadach katolicyzmu; była to praca duchowa. Uważał, że myśleć tylko o materii jest błędem, a Zakład nastawiony jest m. in. na wychowanie dla Kościoła i Ojczyzny. Kierował się zasadą, że nie należy wychowywać młodzieży do konsumpcji, ale do ideałów i to od młodości.

Zresztą były radosne, ale i ciężkie chwile w prowadzeniu życia wspólnego, bywały przypadki jego zakłóceń. „Burze” - jak je nazywano - polegały na tym, że niektórzy wychowankowie wyłamywali się spod karności. Robili to szczególnie ci, którzy pochodzili z rodzin zdeprawowanych, ujemnie wpływając na innych. Zdarzały się kradzieże, ucieczki z zakładu i wciąganie się w szeregi chłopców ulicznych; wkradała się niemoralność i alkoholizm. Te rażące przypadki „Ojca sierot” nie załamywały. Zwracał specjalną uwagę na takich, postępował wobec nich surowo, a gdy i to nie pomogło - wydalął. Niektórzy uciekali samowolnie, nie mogąc przystosować się do zakładowego trybu życia. Ksiądz Toporski w tych przypadkach nigdy nie spuszczał ich z oczu. Polecał tych chłopców opiece ofiarnych rodzin lub swych pań Sodalisek, które - należy przyznać - przejęły się tą rolą i ułatwiały pracę swemu ojcu duchownemu.

W tym czasie przeżył on pewien moment. Dowiedział się, że chłopiec wydalony z Zakładu znajduje się w krańcowej nędzy. Osobiście udał się do niego - wyrwał ze złego towarzystwa, przyprowadził do Zakładu i nakłonił dobrocią do rzetelnej poprawy. Dzięki pomocy Bożej osiągnął swój wychowawczy cel. Otóż po kilku latach chłopiec ten dzięki poświęceniu swego wychowawcy złożył egzamin na mistrza krawieckiego. Otwierając swój zakład krawiecki, przyjął 8 chłopców do pracy. Następnie ożenił się. Wychował 4 synów na porządnych ludzi. Widać, że Opatrzność Boża i nabożeństwo do św. Antoniego wydała owoc i „syna marnotrawnego” doprowadziła do tego, że potem on sam przekazywał dobroć swoim własnym dzieciom.

Mimo wielu trudności, praca w „Antoninie” coraz bardziej się rozwijała, a liczba podopiecznych wzrastała. Zaczęto nawet myśleć, co robić dalej. Wtedy powstała nowa myśl : założenie drugiego zakładu w Łązniewie dla chłopców w wieku od 7 do 12 lat życia. Otóż nadbudowano tam jedno piętro, w którym urządzono sypialnie dla około 50 wychowanków.

W życiu ks. Toporskiego jednak następują zmiany - m.in. w związku z podeszłym wiekiem, nadwątłym zdrowiem. W takiej sytuacji wyjściem by było, gdyby jakieś zgromadzenie zakonne podjęło i kontynuowało rozpoczęte dzieło, a przede wszystkim nie rozproszyło podopiecznych, którzy już przywykli do Zakładu jak do własnego domu rodzinnego.

Dzieło w rękach Orionistów

a. Krótka historia założyciela Zgromadzenia Księży Orionistów

Logika nakazuje, aby przed przejściem przez Zgromadzenie ks. Orione zakładów księdza Toporskiego przedstawić krótko życiorys Założyciela tego Zgromadzenia.

Założyciel Zgromadzenia, ks. Alojzy Orione, urodził się w Pontecurone (Włochy). Pochodził z rodziny robotniczej. Obdarzony łaską powołania duchownego, sposobił się do kapłaństwa w Seminarium w Tortonie, które ukończył w 1895 r. Już jako kleryk zajął się młodzieżą opuszczoną i dał początek Zgromadzeniu zakonnemu pod nazwą „Małe Dzieło Boskiej Opatrzności” (Orioniści).

Ksiądz Orione miał pewne wiadomości o Polsce i Polakach już w chłopięcych latach, a potem je poszerzył m. in. w kontaktach z Papieżem Piusem X.

W Turynie często wpatrywał się w okno mieszkania, gdzie - jak słyszał - mieszkał polski generał, który przybył przed laty do Włoch, aby walczyć o ich wolność. Zetknął się również z Augustem Czartoryskim, młodym salezjaninem. Czytał dużo. Wiedział, że Polacy to naród katolicki, zawsze wierny Stolicy Apostolskiej, „przedmurze chrześcijaństwa”, naród maryjny, miłujący wolność, walczący o wolność swoją i innych, a wtedy tak skrzywdzony. Spotykał nieraz Polaków emigrantów. Myślał więc o tym, żeby swoje Małe Dzieło przeszczepić do Polski. Próbował tego bardzo wcześnie, bo już w 1912 r., lecz na razie bez powodzenia. Jednak nie zrezygnował. Czekał. I przyszedł taki czas.

Oto zjawił się u niego kleryk z Polski, Aleksander Chwiłowicz, pochodzący z diecezji wrocławskiej, ze Słupcy. Był alummem Seminarium Warszawskiego, ale tu nie dotrwał do końca. We Włoszech opatrznosciowo spotkał ks. Orione, który dostrzegł w nim misjonarza - syna Boskiej Opatrzności. Po skończeniu przez kl. Aleksandra teologii ks. Orione przedstawił go do święceń, a po 2 latach wysłał do Polski. O czym zaraz będzie mowa.

Ksiądz Orione zawsze kochał Polaków. Szczególnie wymowne tego dowody dał w czasie wojny i okupacji hitlerowskiej, o czym świadczą współbracia polscy, którzy wówczas studiowali we Włoszech. Wśród tych świadectw ujmujące jest to, które dał ks. abp Bronisław Dąbrowski w artykule pt: *Przyjaciel Polski* wydrukowanym w *Tygodniku Powszechnym* (nr 34; 24 VIII 1980). Wzruszające było samo nabożeństwo, które ks. Orione odprawił w sanktuarium Matki Bożej w Tortonie za naszą Ojczyznę. Na ołtarzu była polska flaga. Płomienne przemówienie celebransa na temat zagrożonej Polski. Dostojny autor artykułu cytuje jedno charakterystyczne wyrażenie ks. Orione : „*Przeklęta niech będzie ta chwila, w której Włochy miałyby stanąć przy boku Niemiec przeciwko katolickiej Polsce*”. Następnie ks. Orione ucałował polską flagę, a za nim uczynili to samo obecni Polacy. Potem kazał ją umieścić w swojej izdebce nad łóżkiem wraz z rzygofem Matki Boskiej Częstochowskiej. Tam znajduje się do dziś. W takim kontekście nikogo nie dziwi, że polscy biskupi w 100-lecie urodzin ks. Orione skierowali do Papieża Pawła VI list z prośbą o przyspieszenie jego beatyfikacji. Nie dziwi też to, że właśnie tenże sam kard. Wojtyła, który podpisał list, jako papież dokonał uroczystej beatyfikacji. Wierzmy, że błogosławiony Orione kocha nas nadal, oręduje za nami przed Bogiem.

b. Zgromadzenie oriońskie w Polsce

Ksiądz Chwiłowicz po przyjeździe udał się do diecezji wrocławskiej, z której pochodził. Ówczesny pasterz tej diecezji - ks. bp Stanisław Zdzitowiecki - skierował go do robotniczego miasta Zduńskiej Woli. Ten zaczął tam od pracy pomocniczej w parafii Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny. Na wzór ks. Orione zaraz też zaczął gromadzić

chłopców. Na życzenie biskupa wrocławskiego w niedługim czasie do Domu Misyjnego, który wybudował, przybył ks. Błażej Marabotto (Włoch), młody i gorliwy kapłan. On jako główne zadanie miał formację powołań. Mamy lata dwudzieste bieżącego wieku. W kilka lat potem ks. Chwiłowicz wybudował dom dla sióstr Orionistek.

Tuż przed wojną za radą Nuncjusza Apostolskiego abpa Filipa Cortesi przyjechał ks. Marabotto (wysłany ad przez ks. Orione) do pertraktacji z ks. Toporskim w sprawie przejęcia domu dla osieroconej młodzieży p.w. św. Antoniego w Warszawie i posiadłości ziemskiej z domem dla sierot w Łązniewie k. Warszawy, o czym już była wzmianka.

W czerwcu 1939 r. majątek Łązniewo i Zakład w Warszawie przeszedł w ręce księży Orionistów zgodnie z podpisaną umową stron. Zakład w Łązniewie nadal funkcjonował normalnie : był przeznaczony dla młodszych grup. Majątek wraz z wszystkimi zabudowaniami przejęli nowi gospodarze, podejmując prowadzenie rozpoczętego dzieła przez ks. Toporskiego. Podobnie w Warszawie. Przyczyna zmiany właściciela tego obiektu będzie jeszcze opisana. Pierwszym dyrektorem placówki został ks. Franciszek Podgórski, który szybko opanował technikę zarządzania, nie bojąc się trudności. Był dobrym wychowawcą, dyrektorem i opiekunem. Pod jego kierownictwem Orionisci prowadzili szkołę podstawową od I klasy do V. W Warszawie natomiast - ks. Marabotto do przyjazdu ks. Włodzimierza z USA.

Długi i zmniejszające się ofiary społeczeństwa skłoniły ks. Toporskiego do szukania zgromadzenia lub zakonu, które by dalej prowadził rozpoczęte dzieło. Rozmowy nie dawały rezultatów. Zdał się na św. Antoniego, prosząc w modlitwie o pomoc. Opatrzność Boża zaradziła. Zwrócił się do ks. abpa Cortesi, nuncjusza apostolskiego w Warszawie, którego ks. Orione poznał w Ameryce Południowej, aby pomógł rozwiązać problem przejęcia sierocińca w Łązniewie i Zakładu w Warszawie przez Zgromadzenie księży.

Po pertraktacjach ks. Orione zgodził się na prowadzenie domów w Łązniewie i w Warszawie. W czerwcu 1939 r. została zawarta umowa o przejęciu przez Orionistów placówek pomiędzy ks. Toporskim i ks. Józefem Nowickim, ówczesnym inspektorem Zgromadzenia w Polsce.

Ksiądz Toporski został jeszcze przez pewien czas w Zakładzie, aby się przypatrywać poczynaniom Orionistów, utrzymując żywy kontakt z dyrektorem i wychowawcami.

Na przełomie 1942 i 1943 r. oceniając pozytywnie pracę księży Orionistów, opuścił on „Antonin” i objął parafię w Skolimowie, gdzie chlubnie i z wielkim poświęceniem pełnił obowiązki duszpasterskie aż do śmierci. Często odwiedzał Zakłady w Warszawie i w Łązniewie, zawsze serdecznie witany przez swych wychowanków i księży Orionistów, ale i odwiedzany w nowej siedzibie. Jego serce zawsze biło dla „Antonina”. Tu przeżywał swój jubileusz 50-lecia kapłaństwa w lutym 1944 r. w obecności m.in. ks. bpa Tomczaka, ks. Mystkowskiego, ks. prał. Zygmunta Choromańskiego, ks. prał. De Ville i innych.

Wkrótce po uroczystościach jubileuszowych zmarł w Sanatorium Św. Józefa w Warszawie 29 kwietnia 1944 r. Pogrzeb odbył się na Cmentarzu Powązkowskim w obecności licznie zgromadzonego kleru warszawskiego, wiernego ludu i byłych wychowanków. Na miesiąc przed śmiercią został mianowany kanonikiem Kapituły Łowickiej. Przed wybuchem II wojny światowej otrzymał order „Polonia Restituta” w dowód uznania za zasługi na polu wychowania młodzieży polskiej, a zwłaszcza sierot.

II wojna światowa

Nadszedł tragiczny okres dla Polski jak i dla innych państw Europy. Dnia 1 IX 1939 r. Niemcy napadli na nasz kraj - rozpoczęła się II wojna światowa. Dla opiekunów i wychowanków zakładów w Łązniewie i w Warszawie, dla wszystkich zaczął się bardzo trudny okres - tym bardziej, że tylko co te zakłady przeszły w ręce księży Orionistów.

Księża Orioniści jako nowi właściciele obiektu przy ul. Barskiej i w Łązniewie mieli niełatwy orzech do zgryzienia. Wiadomo, że ograniczenie działalności uzależnione było od tego, czy okupant będzie chciał zlikwidować ten dom dla swoich celów, czy też pozostawi w spokoju. A przecież wiadomo, że niektóre sierocińce były likwidowane dla celów wojskowych, np. w Aleksandrowie Kujawskim wysiedlili wszystkich z Zakładu im. J. Piłsudskiego, a sieroty porozwożono po Polsce. Nawet niektórzy wychowankowie do nas trafili.

Księża Orioniści nie załamywali się. Zakład funkcjonował, piekarnia pomagała utrzymać się. Pierwszy dyrektor ks. Michalski, przysłany z USA, trwał wraz z ks. superiorem Marabotto (obywatelem włoskim) współpracując z oddaniem. Można już tu wspomnieć, że w tym czasie okazała się niezbędną ta placówka dla Orionistów w Polsce.

Należy też dodać, że poza Warszawą niezbędną okazała się druga placówka sierociniec dla dzieci do lat 14 w Łązniewie z dużym majątkiem rolnym, który - według zamysłu twórcy Zakładu - miał utrzymywać Zakład warszawski, dostarczając warzywa i świeżego mleka, co też czynił. W Warszawie uruchomiona piekarnia odwzajemniała się pieczywem w razie potrzeby. Opatrzność Boża czuwała nad losem tych dwóch placówek - tak wierzymy. Gdy chodzi o wychowanków, większość uczyła się w szkołach podstawowych i zawodowych, w tym różnych rzemiosł, począwszy od ślusarskich, a skończywszy na handlu i piekarstwie.

W piekarni, na miejscu, zdobywali fach pod okiem piekarzy, takich jak p. Jaskulski, Michalski i Gutkowski (ten ostatni po wojnie otworzył własną piekarnię na Woli).

Już tutaj sygnalizuję fakt, że w dużej mierze w formułowaniu moich własnych wspomnień korzystałem z książeczki ks. J. Borowca pt. Exodus Antoniaków. Natomiast zbieżność tam, gdzie starałem się być zupełnie niezależny od innego źródła, nie powinna budzić żadnego zdziwienia.

Część kleryków pobierała nauki w Seminarium w Warszawie, inna część studiowała w tzw. Seminarium Clandestinum wraz z kilkoma Marianami; połowa tygodnia u nas; połowa - u Marianów. Pierwsi otrzymali święcenia kapłańskie w Warszawie w latach 1943 - 1944, drudzy - w 1945 r. w Rokitnie, gdzie przebywał ks. bp Szlagowski.

Czas wojenny zmusił do wprowadzenia nowych form działania dla ratowania majątku w Łązniewie, aby Niemcy nie zarekwirowali go dla swoich celów. Przede wszystkim Orioniści musieli dostosować się do wymagań, jakie narzucili okupanci. Należało zrobić wszystko, aby godnie utrzymać majątek wraz z Zakładem do czasu zakończenia działań wojennych. Zajęcia szkolne w Łązniewie prowadzono bez większych trudności : kl. Bienisiewicz dużo pracy włożył w nauczanie, choć była obawa, że Niemcy mogą zakazać nauki.

Gdy chodzi o wyżywienie, wychowankowie w zakładach, mimo okupacji nie odczuli braku przysłowiowego chleba na co dzień.

Dorastająca młodzież w Zakładzie warszawskim trochę inaczej przeżywała sytuację, jaka spotkała naród w okresie okupacji. Trzeba przypomnieć tu fakt, że wychowankowie w tym Zakładzie m.in. byli wychowywani w duchu patriotyzmu i katolicyzmu. Okupacja sprawiła, że część wychowanków włączyła się do podziemnej organizacji - do Armii Krajowej - kierując się myślą, że miłość wobec Ojczyzny należy wykazać obroną jej przed nowymi rozbiorami i zniszczeniem narodu.

Większość z nich była bardzo zaangażowana w konspiracji dochowując tajności, której dodatkowo domagało się dobro Zakładu. Często wyjeżdżali w teren celem wykonania zleceń. Przy tej okazji należy wspomnieć, że część wychowanków Zakładu brała udział w obronie pomnika lotników na pl. Unii Lubelskiej podczas jego rozbiórki przez Niemców. A zatem wychowankowie wykazywali ducha patriotyzmu.

W tym czasie, w tym Zakładzie zdarzył się przykry przypadek. Jeden z wychowanków nazwiskiem Garncarek znalazł się w niebezpieczeństwie. Zdarzenie to

przeżyłem osobiście będąc z ks. dyr. Michalskim w kancelarii przy rozliczeniu wypieków i sprzedanego pieczywa.

Przed południem wpadł tam nieznany człowiek prosząc ks. dyrektora o Garncarka, gdyż musi z nim porozmawiać w ważnej sprawie. Ks. dyrektor nalegał, by powiedział o co chodzi. Odparł, że jest z podziemnej organizacji i musi się z nim spotkać. Ks. Michalski polecił zawołać go. W tym czasie Garncarek leżał w łóżku, gdyż był chory. Gdy go przyprowadziłem, osobnik ów wyjął pistolet i kazał ks. dyrektorowi pozostać przy biurku, mnie na swoim miejscu, a jemu usiąść na krześle pomiędzy dwoma oknami, gdzie na pewnej wysokości wisiał krzyż i zegar. Najpierw nam oświadczył, że jeżeli się ruszymy będzie strzelał. Wówczas zorientowaliśmy się, że przybył zabić Garncarka, wykonując polecenie tajnej organizacji komunistycznej za to, że rodzina jego, w tym ksiądz, prowadzili przeciw nim propagandę. Ksiądz - jak się dowiedzieliśmy potem - został przy kościele po kazaniu zastrzelony; matka i ojciec Garncarka również ponieśli śmierć z ręki tej samej organizacji, a on sam miał zgodnie z wyrokiem zginąć. Napastnik wystrzelił 5 naboju, ale ani jeden raz nie trafił.

Po wykonaniu zadania zwrócił się do ks. dyrektora i do mnie oświadczając, że jeżeli Niemcy się o tym dowiedzą, będziemy następnymi ofiarami. Ks. dyrektor wtedy zwrócił mu uwagę, że takie sprawy załatwia się poza Zakładem, a nie w domu, w którym mieszka tylu młodych chłopców. Prawdopodobnie Niemcy usłyszeli strzelaninę i natychmiast przybyli, ale stwierdzili, że nic się nie dzieje. Jednak ktoś spoza Zakładu powiadomił Niemców. Wówczas ci rzucili się do pościgu za nim w kierunku Okęcia. Jak się dowiedzieliśmy, odebrał sobie życie na plantacji kapusty. Na drugi dzień przybył jakiś przedstawiciel Armii Ludowej i oznajmił ks. dyrektorowi, że jeżeli dowiedzą się, że to ktoś z Zakładu sprowadził Niemców, to ksiądz i świadek tego wyroku staną przed sądem polowym.

Przypadek ten był przez długi czas komentowany. Bardzo bolesne to, że próbowano zabić chłopca za winy nie popełnione przez niego. To sprawa dorosłych, a nie niewinnych dzieci. Garncarek potem był bardzo pilnowany i długo objęty specjalną opieką. Solidarność wśród wychowanków - jak widać - była na wysokim poziomie. Opatrzność Boża czuwała i nie pozwalała pozbawić życia tego chłopca.

Stan liczebny wychowanków w tym czasie przekraczał 100 osób. Życie wszystkich wychowanków upływało na wypełnianiu solidnie obowiązków. Ale jak już powiedziano wyżej - wychowanków interesowało także podziemie. Piekarnia pracowała bez szwanku; pieczywo szybko dostawiano do sklepów spożywczych. Wszyscy wychowankowie uczęszczali do różnych szkół lub pracy zgodnie regulaminem Zakładu.

Powstanie Warszawskie

Pamiętam, że w 1944 r. w Warszawie rozpoczął się jakiś ruch. Duże kolumny Niemców wycofywały się z frontu wschodniego w kierunku zachodnim. Przed domem akademickim na pl. Narutowicza Niemcy całkowicie zniszczyli wysoki drzewostan odgradzający ich dom.

Nasi chłopcy w tym czasie często spotykali się ze swoimi grupami partyzanckimi; można było wyczuć, że coś wisi w powietrzu... w Warszawie i w podwarszawskich osiedlach. Dużo Niemców znajdowało się na ulicach Warszawy... Ten niepokój dał o sobie znać wybuchem Powstania Warszawskiego 1 sierpnia 1944 r. o godz. „W” - tj. o godz. 17.00. Sytuację naszego Zakładu pogorszyła sprawa przyjazdu na kilka dni przed wybuchem Powstania doborowej dywizji „Herman Goering” z Włoch.

Jeden oddział, w liczbie kilkudziesięciu żołnierzy, zatrzymał się w parku naszego domu. Dysponował on kilkoma samochodami, w których znajdowała się broń ciężka i lekka, żywność, napoje alkoholowe. Samochody te dla bezpieczeństwa przed nalotami ukryto pod drzewami. Dla bezpieczeństwa też ustawiono działko przeciwlotnicze na placu zabaw. Żołnierze trzymali się z dala od wychowanków i personelu. Widocznie taki otrzymali rozkaz od

dowództwa. Większość czasu spędzali na otwartym powietrzu, w nocy sypiali na samochodach, względnie w namiotach.

Akurat 1 sierpnia padał deszcz, który wpłynął na zmianę rozkazu : zmuszeni byli wejść do budynku i resztę nocy przebywać w sali „muzycznej”, tak aż do rana. Rano w tej sali urządzili sobie śniadanie prosząc piekarzy o świeże pieczywo i o upieczenie mięsa.

Wychowankowie już wcześniej zaczęli nawiązywać z nimi kontakty, a nawet spędzać dzień grając w różne gry. Wyglądało, że ta nowa sytuacja bardziej im odpowiadała niż poprzednia i że pobyt ich przedłuży się i niełatwo będzie można się ich pozbyć.

Zajęci swoimi sprawami jak gdyby nie zwracali uwagi na to, co się wokół dzieje. W tym czasie cześć chłopców z ciekawości rozpoczęła przeszukiwać ich samochody stwierdzając, że sporo jest tam broni i różnego rodzaju sprzętu wojennego.

Jeden z kolegów, Edward Sawalich, widział, jak przybył jakiś pan i zabierał broń z ich samochodów. Ponieważ nie był zorientowany, przeszedł nad tym do porządku dziennego. Trudno było ustalić z jakiej organizacji on przybył i z czyjego polecenia. Niektórzy - ludzie starsi - czuli, że coś wisi w powietrzu. Na przykład p. Henryk Koralewski zaczął zabezpieczać okna w jadalni przed ewentualnym niebezpieczeństwem. Zabezpieczył je belkami drzewnymi od strony ul. Kaliskiej i Słupeckiej. Wielu uważało to za żart, a jednak w czasie Powstania belki te ratowały nas przed śmiercią. Znajdujące się na naszym terenie wojsko niemieckie mogło w każdej chwili, w razie jakiegoś nieszczęścia, wykorzystać broń. Dlatego - wydaje się - że p. Koralewski miał słuszną rację budując zapory, które w czasie Powstania nam pomogły.

W tym czasie na terenie Zakładu przebywało bardzo dużo osób, księża, klerycy, personel pomocniczy, chłopcy, zakonnice i nowicjuszki ze Zgromadzenia Sióstr Orionistek i inni.

A dalej księża : ks. Michalski, ks. superior Marabotto, ks. Stefan Batory, ks. Józef Garncarek, ks. Józef Kołaciński, ks. Henryk Kowalczyk, ks. Kazimierz Wójcik, ks. prof. Jan Salamucha.

Z kleryków byli : Jan Baraszkiewicz, Władysław Bienisiewicz, kl. Bronisław Dąbrowski (późniejszy generalny sekretarz Episkopatu Polski), Franciszek Guzek, Bożydar Guzowski, Jan Kokot, brat Stanisław Zieja.

Z personelu świeckiego : p. Henryk Koralewski i Zygmunt Sęk (najstarszy wychowanek Zakładu). W tym czasie przebywał w Zakładzie ojciec kl. Kokota, który przybył w odwiedziny do syna. Przebywał również p. Freytag, pracownik Rady Głównej Opiekuńczej, który potem w porę się „ulotnił”.

Były siostry Orionistki, które prowadziły kuchnię, pralnię i szwalnię. W lokalach zajmowanych przez siostry przebywały p. Pietraszewska, dobrodziejka ks. Aleksandra Chwiłowicza i staruszka - kucharka ks. Stanisława Mystkowskiego.

Rzeczywiście te przecucia dały znak o sobie; 1 sierpnia rozpoczęło się Powstanie Warszawskie o godz. 17.00 - wybiła tzw. godz. „W”.

Tym samym i na terenie naszego Zakładu rozpoczęły się walki, a zaczęło się od eksplozji filipinek tuż pod oknami. Pierwsze strzały wystraszyły Niemców przebywających w naszym domu, ale szybko zareagowali chwytając za broń, wybiegając z budynku do swoich samochodów po amunicję, której częściowo nie zastali. Następnie obstawili cały budynek blokując drzwi wejściowe do niego, tworząc solidną warownię, utrudniając w ten sposób jego zdobycie. Zdawali sobie bowiem sprawę, że na początku powstańcom zależało na zdobyciu domu akademickiego przy pl. Narutowicza, gdzie prawdopodobnie przebywało około 350 policjantów, 2 kompanie SS, (w tym jedna złożona z jednostek ukraińskich SS-Galizien) oraz stu uzbrojonych strażników leśnych i urzędników niemieckich, broniących zespołu gmachów Akademii Nauk Politycznych i Dyrekcji Lasów przy ul. Wawelskiej.

W pobliżu Zakładu znajdowała się jedna kompania SS, która otaczała budynek dawnej szkoły zawodowej przy ul. Tarczyńskiej 8, dokąd uczęszczali nasi wychowankowie. Mimo trudnej sytuacji, jaka wynikała w czasie walk powstańczych, Niemcy zostali wypędzeni dzięki dużej odwadze i poświęceniu powstańców, z których kilku zapłaciło życiem, względnie ranami. Pod naporem powstańców, którzy szli naprzód zdobywając poszczególne pomieszczenia Niemcy zaczęli kryć się, aby móc w nocy przedostać się do swoich kamratów stacjonujących przy ul. Kaliskiej w „Monopolu”. Korzystając z chwilowej przerwy w walkach, a później w czasie dalszej akcji, większość wychowanków i personelu przedostała się do jadalni w suterenie, która jednocześnie służyła jako schron.

W tej sytuacji znalazło się wśród nas dwóch żołnierzy niemieckich z bronią, których poproszono, by złożyli ją nie mając innego wyjścia. Zapewniono ich, że z naszej strony nic im złego nie grozi. Zgodzili się czekając w napięciu na dalszy bieg wypadków. Ale do jadalni wpadli powstańcy przypuszczając, że nie ma tam Niemców. Jednak jeden z nich zauważył, że w schronie przebywa dwóch rozbrojonych żołnierzy niemieckich, którzy bez oporu oddali się w ręce Polaków. Jako jeńcy zostali odprowadzeni do komendy.

Trzeba w tym miejscu podkreślić wielkie bohaterstwo m.in. niektórych wychowanków. W sumie w tej walce zginął jeden Niemiec, natomiast straty powstańców były znacznie większe. Księża pragnęli odprawić następnego dnia w kaplicy Mszę św. Ponieważ nie było możliwości przeniesiono potrzebny sprzęt do magazynu przy piekarni i tam sprawowali bezkrwawą Ofiarę. Funkcje zakrystiana pełnił kl. Bienisiewicz.

Następnego dnia, kiedy nastała względna cisza, rankiem przybyło do naszego domu dwóch żołnierzy niemieckich z mąką prosząc w zamian o chleb.

Ciekawiał sposób, w jaki oni się dostali, gdyż dom był opanowany przez powstańców. Okazało się, że wózkami wieźli tę mąkę ulicą Kaliską, wykorzystując chwilową przerwę w działaniach wojskowych. Dziwił też fakt, że nie siłą żądali tego pieczywa, lecz w sposób uprzejmy. Wszystko odbyło się w spokoju, jednak przypadkowy strzał w kierunku naszego Zakładu zmobilizował tych Niemców, którzy natychmiast odpowiedzieli ogniem.

Wiadomo było, że ten strzał padł z Domu Akademickiego. Widocznie tam uważano, że w Zakładzie przebywa dużo powstańców. Ostrzał się z czasem zwiększył.

Po tych walkach wieczór był cichy, bez strzelaniny, a nawet niektórzy wyszli na zewnątrz, by stwierdzić co słychać, czy nie ma rannych powstańców. Pan Sęk wracając z wieczornej przechadzki usłyszał w pobliskich krzakach jęki. Znalazło się zaraz kilku odważnych, którzy udali się z nim we wskazanym kierunku. Okazało się, że byli to ranni żołnierze niemieccy. Przyniesiono ich na kocach do jadalni. Stwierdzono przy tym, że jeden był bardzo słaby z powodu wielu ran postrzałowych; drugi w lepszej kondycji. Zajęto się nimi - zostali umyć, i opatrzone im rany.

Niemcy nie będąc pewni siebie, prosili księży, by czuwano nad nimi. Nazajutrz o własnych siłach poszli w towarzystwie naszych ludzi do powstańczego szpitala, u państwa Nasierowskich, gdzie p. dr Marian Tulczyński opatrzył fachowo rany doradzając, żeby z powodu trudności organizacyjnych wrócili z powrotem do naszego schronu. Ta decyzja okazała się dla nas opatrnościowa.

Najwięcej opiekował się nimi kl. Kokot, który biegle władał językiem niemieckim. Widać było, że i sami Niemcy czuli się dobrze, darząc nas zaufaniem. Ponieważ odczuwali ból i nie mogli zasnąć, prosili, aby czuwano nad nimi w nocy, na co uzyskali zgodę.

Wracając jeszcze do tego strzału z Akademika trzeba powiedzieć, że był to sygnał do przeprowadzenia po południu generalnego ataku. Artyleria z Placu Narutowicza ostrzeliwując nasz Zakład narobiła wiele szkód. Dość długo trwał ten ostrzał. Dla bezpieczeństwa wszyscy szybko zbiegli do schronu uważając, że pewniej będzie przebywać razem.

Trzeba sobie w tym kontekście uświadomić fakt, że nasz dom był terenem walk, w czasie których Niemcy ponieśli straty. W tym czasie dochodziły wieści o bestialskim rozprawianiu się z mieszkańcami domów zajętych przez Niemców. Przykładów było wiele - Redemptoryści na ul. Karolkowej lub Jezuici na ul. Rakowieckiej czy wreszcie mieszkańcy na ul. Wawelskiej...

Nic więc dziwnego, że i na nas padł strach. W tej sytuacji wszyscy zaczęliśmy się modlić prosząc Boga o miłosierdzie.

Ks. Marabotto zachęcił do żalu za grzechy, udzielając rozgrzeszenia. Myślał pewnie o tragedii Jezuitów czy Redemptorystów...

Schron był pełen ludzi, wśród których byli także Niemcy. Byliśmy cały czas w napięciu. Kiedy Niemcy ponownie opanowali Zakład, przeczesując każdy kąt, dostali się do drzwi naszego schronu. Słyszeliśmy wtedy odgłosy rzucanych granatów. W tym momencie na łóżkach ranni Niemcy przemówili w naszej obronie. Wyjaśnili, że troskliwie się z nimi obchodzono. Uważany przez nas za oficera robił wszystko, aby nie dopuścić do masakry. Tamci oniemieli z wrażenia. Byli nastawieni na wymordowanie wszystkich. Po namyśle kazali wynieść chorych na łóżkach. Św. Antoni obronił swoich czcicieli. Wkraczający Niemcy, których wściekłość powstrzymali ranni koledzy, zajęli się swoimi.

Przy wynoszeniu chorych Niemców zauważono, że pod murem na rozstrzelanie postawiono ojca i syna Kokotów. Znalezione ich na pięttrze, a nie w jadalni i dlatego uważano ich za partyzantów. Szukając pomocy, kl. Kokot zwrócił się do rannego Niemca, by ten oświadczył, że on sam i jego ojciec są mieszkańcami Zakładu, co niewątpliwie uratowało tamtych.

Akademik

Pamiętam, gdyśmy opuszczali dom, ks. Marabotto przypomniał sobie, że w magazynie znajduje się Najświętszy Sakrament. Nie zwracając uwagi na niebezpieczeństwo, zabrał ze sobą kl. Guzowskiego i z nim wyniósł Sanctissimum. W tym czasie Niemcy zauważyli ich myśląc, że to obcy. Atoli ks. Marabotto wylegitymował się paszportem włoskim. Wyjaśnił cel powrotu do domu.

Nas opuszczających dom, z rękami podniesionymi do góry, pędzono wraz z mieszkańcami w liczbie kilkuset z ulic Barskiej, Grójeckiej i Kaliskiej do Domu Akademickiego. Po drodze w różny sposób szydzono z nas wszystkich, tak jak z Pana Jezusa podczas Drogi Krzyżowej. Była to pierwsza stacja drogi cierpień - dalsze stacje miały nastąpić. Gdyśmy tam zaszli, czekaliśmy na dalszy los.

Wprowadzając nas na dziedziniec Akademika, konwój dokonał selekcji, tzn. oddzielił nas około 40 osób, tj. personel, wychowanków i siostry Orionistki od pozostałych osób przyprowadzonych z różnych ulic. Byliśmy niepewni, czy to nie posłuży do wykonania wyroku za to, że w naszym domu miała miejsce akcja powstańcza. Zabrano wszystkim tzw. „kennkarty” (dowody osobiste), nakazując stanąć przodem do muru. Znalazł się tam i Niemiec śląskiego pochodzenia, który mówił: „schnell, schnell bo was tu wszystkich wystrzelom”. Opatrzność Boża czuwała nad nami. Św. Antoni orędownał.

Po południu ustawiono nas w dwuszeregu i poprowadzono do wielkiej koncertowej sali gmachu Akademika, ozdobionej flagami niemieckimi i portretem Hitlera. Następnie ustawiono pod ścianą, nakazując oglądać trzech zabitych Niemców. Komendant zakomunikował, że od tego momentu jesteśmy zakładnikami, zastrzegając sobie prawo rozstrzelania dziesięciu zakładników za śmierć jednego żołnierza niemieckiego. Po „apelu” zgrozy i pouczenia odprowadzono wszystkich do następnej dużej sali i ustawiono rodzinami, zakreślając kredą na podłodze odpowiedni dział *Lebensraum*. Nas odłączono od innych oddając do dyspozycji kilka pokoi. Tegoż dnia siostry przyniosły nam obiad. Następnego dnia, tj. 4 sierpnia, po toalecie, ks. Marabotto udzielał komunii św. tym, którzy pragnęli się pokrzepić

duchowo. Natomiast posiłkiem dla ciała był krupnik podawany w różnych naczyniach. Podawaniu towarzyszyły drwiny : *zupa na wodzie z basenu, mięso z zabitego konia*. Głodny nie zwracał na to uwagi, byle zapelnąć żołądek. Cele do naszej dyspozycji były ciasne, spaliliśmy na gołych podłogach, a tylko jeden siennik był pod głowę na całą celę.

Przez okna nie wolno było wyglądać, a szczególnie gdy przywożono rannych lub zabitych Niemców. Gdyśmy byli w celach, nic nie robiąc i leżeliśmy na podłodze lub siedzieliśmy w kuckach to zadawaliśmy sobie pytanie, co dalej z nami się stanie, czy się stąd wydostaniemy, czy może zostaniemy na zawsze gdzieś pogrzebani ...

Pamiętam, jak po kilku dniach dostaliśmy kawałek czerstwego chleba i jak go dzielono na części, aby każdy mógł cokolwiek dostać. Kto nam dostarczył tego daru Bożego? Oficjalnie dostawaliśmy raz na dzień i to przeważnie krupnik.

Pilnowali nas strażnicy niemieccy. Z czasem nasze humory się polepszały - wspomnieniami sięgaliśmy do dawnych czasów. Cele nasze znajdowały się nad bramą wjazdową, można więc było oglądać wyjeżdżające i przyjeżdżające czołgi niemieckie. Ale trzeba było to robić uważnie. Będąc w izolacji od pozostałych grup i od świata zewnętrznego, nie wiedzieliśmy wszystkiego. Dla utrzymania bezpieczeństwa lub ewentualnego uderzenia na Niemców przez powstańców ustawiali oni w bramie czołg, a inny wysyłali na miasto z zamiarem atakowania punktów oporu.

Przypadkowo widzieliśmy, jak jeden czołg wyjechał na ul. Grójecką i ostrzeliwał wieżę kościoła św. Jakuba, chcąc zlikwidować punkt oporu powstańców. Czołg w powrotnej drodze przywiózł zabitego Niemca.

Niemcy wtedy przystąpili do wykonania pogroźki. Następnego dnia dziesięciu wybranych z sali ogólnej zostało rozstrzelanych w piwnicy. Przeżywając strach i niepewność jutra, pytaliśmy się znów, jakie skutki tego będą dla nas. Byliśmy więźniami, zakładnikami. Zdawaliśmy sobie sprawę, że w tej sytuacji może nas ocalić tylko cud. To tak oceniamy. Była to pierwsza cześć naszej drogi cierniowej. Jak będzie dalej, tego nikt nie może przewidzieć. Rozstrzelanie niewinnych ludzi za jednego Niemca, było przykrym ostrzeżeniem.

Obok tych przeżyć były i chwile odprężenia, szczególnie gdy zawiadomiono, że z komina naszej piekarni unosi się dym. Ucieszyliśmy się, bo był to znak, że piekarz Jan Klimek uruchomił piekarnię. Podobnie cieszyliśmy się z pozdrowienia, które Jan Klebaniec słał z dachu naszego domu przez tubę. Pozdrowiał wszystkich, zarówno księży, jak i kolegów w akademiku. Podnosiło to na duchu, choć i budziło lęk, czy aby Niemcy tego nie wykorzystają przeciwko nam.

Musielśmy być bardzo ostrożni i czujni, aby nie dać Niemcom powodu do czegoś, co by nam mogło przynieść jakąś szkodę.

8 sierpnia wartownik niemiecki zawiadomił nas, że z „Antonina” zaczęło się dymić. Obserwowaliśmy przez nasze okienka : widać było, jak płonął dach oraz jak się dym unosił z rozbitych okien. Widok ten nas przygnębił. Prosiłmy św. Antoniego, by Dom nie spłonął całkowicie i nie został rozwalony „krowami”. Zdawaliśmy sobie sprawę, że jeżeli przeżyjemy, własnymi siłami będziemy go odbudowywać. Zresztą wieczorami obserwowaliśmy, jak palą się kamienice i są rozwalane przez Niemców.

Jeżeli mnie pamięć nie myli, to 9 sierpnia usłyszeliśmy potworną strzelaninę i wybuchy. Świsł był tak potworny i bliski, że baliśmy się, iż również nas dosięgnie.

Jeden z Niemców powiedział, że działa były umieszczone na wagonach kolejowych dla prowadzenia walki przeciwko powstańcom, dodał „machen Getto”. Dowodem na to - widać było przez okna - jadące kolumny czołgów i samochodów w kierunku Okęcia. W tym czasie obserwowaliśmy, jak starcy i kobiety z dziećmi opuszczali stolicę niosąc na czele białą flagę. Myśleliśmy, że to pokojowa delegacja. Okazało się, że byli to jeńcy. Łzy płynęły, gdy się patrzyło na to zbiorowisko ludzkie.

Za nimi szli chorzy, starsi z tobołkami w rękę i na plecach, smutni i rozgoryczeni pilnowani przez uzbrojonych żołnierzy - szli w kierunku targowiska „Zieleniak” przy ul. Opaczewskiej. Widok był straszny, porównywalny z widokiem niewolników z czasów rzymskich. Byliśmy przekonani, że i nas taki pochód nie ominie i że będzie to druga część naszej stacji cierpienia.

Zieleniak

11 sierpnia Niemcy zawiadomili, że i nas w tym dniu odprowadzą na „Zieleniak” i oddadzą własowcom, którymi dowodził słynny już w Warszawie gen. Mieczysław Kamiński. Nawet Niemcy się ich bali. Dla nich człowiek był niczym. Należało się więc od nich spodziewać rzeczy najgorszych. Zostali zaś oni - pod wodzą gen. brygady SS RONA właśnie Kamińskiego - sprowadzeni na Ochotę już 4 sierpnia dla zdławienia Powstania. W ciągu dwutygodniowej barbarzyńskiej akcji przepędzili tysiące ludzi przez tzw. obóz przejściowy na „Zieleniaku” w drodze do innego obozu w Pruszkowie.

Zanim doszło do naszego przejścia na „Zieleniak” uzyskaliśmy pozwolenie na udanie się na Barską po żywność dla wszystkich. Udał się wówczas kl. Baraszkiewicz z kilkoma wychowankami, którzy przynieśli w workach trochę cukru i innych wiktuałów, odzieży itp. Wkrótce po powrocie tamtych z Barskiej przygotowaliśmy się do wymarszu. Najpierw oddano nam kennkarty, przygotowywano wozy dla osób starszych i chorych i uformowano kolumnę - drugą część drogi naszych cierpień. Przemarsz robił wrażenie, jakbyśmy znajdowali się na terenie po trzęsieniu ziemi. Szliśmy środkiem ulicy Grójeckiej pod eskortą Niemców. Przerażali nas Ukraińcy, którzy jak zwierzęta pilnowali nas w tym przejściu do „Zieleniaka”. Jednak przestaliśmy się nimi interesować, gdyż widok wokół był straszny - palące się domy, walące się ściany, wyrzucane meble... ginąca Warszawa. Szliśmy wykończeni, głodni, jak gdyby na mękę. To, co dawali, to tylko, aby nie umrzeć, a nie żyć. To zaś, co nasi przynieśli z „Antonina”, nie wystarczyło dla wszystkich. Jedyne można było to rozdzielić symbolicznie. Zresztą byliśmy w takiej sytuacji, w której nie myśleliśmy o jedzeniu...

Własowcy obserwowali wszystko, ale obchodziła ich cudza własność. W czasie przemarszu zabierali buty, szukali złota, zegarków i innych drogocennych przedmiotów. Na różne sposoby staraliśmy się przejść do porządku dziennego nad ich podłością.

Pogoda w tym dniu była ładna, chwilami było gorąco od palących się budynków. Przeszliśmy nową drogę cierniową. Z obawami zostaliśmy wprowadzeni w bramy „Zieleniaka”, tymczasowego pobytu pod gołym niebem.

Pamiętam pierwsze bolesne sceny. Rewidując wszystkich podeszli i do mnie. Miałem kieszonkowy zegarek w marynarce (własność ks. Michalskiego). Pijany Ukrainiec zażądał go ode mnie. Bez większego oporu oddałem mu w zamian za zegarek samochodowy. Wziąłem to cacko. Gdy tymczasem jego kumpel podszedł do mnie i powiedział: „dawaj czasy”, które ci dał kolega. I ten oddałem... Byli to ludzie bezwzględni, dlatego unikałem ich. Następnie widziałem, jak się obeszli z jedną bogatą panią, która miała na rękę kilka złotych pierścionków. Ponieważ nie mogli ich zdjąć, łamali jej palce i w ten sposób dochodzili do zdobyczy. Kobieta mdlała, lecz na to nie zwracali uwagi. Na „Zieleniaku” własowcy pokazali, co potrafią. Jednego mężczyznę, którego chcieli zrewidować, a ten się bronił, zabili strzałem z rewolweru. Był to hrabia Czarnecki. Wypadek podzielał na widzów okropnie. Bezradna żona nic nie mogła pomóc mężowi. Chociaż potem dali trochę chleba zrabowanego w jakiejś piekarni, jeść się nie chciało. Zbliżała się noc, każdy więc starał się w jakiś sposób przygotować miejsce na odpoczynek.

Zwłoki hr. Czarneckiego zostały pochowane, a ks. Kowalczyk na prośbę żony modlił się za zamordowanego. Noc spędziliśmy różnie: częste budzenie, rewizje i trudny sen

doprowadziły do nerwów. Pod sam wieczór przyprowadzono następną grupę ludzi. Były to niedobitki z reauty ul. Wawelskiej, która walczyła około 10 dni.

Najsmutniejszą nocą w moim życiu była ta noc na „Zieleniaku”. Spaliśmy pod gołym niebem, bez przykrycia. Własowcy w tym czasie urządzali polowanie na kobiety i młode dziewczyny, które ratowały się jak mogły czy to chowając swe włosy w czapki, czy kryjąc się pomiędzy mężczyznami, czy wreszcie pożyczając ubrania męskie albo części garderoby. Słyszeliśmy pisk, płacz, jak i również mordowanie. Na szczęście ta druga droga męczeństwa kończyła się, i przygotowaliśmy się do następnego dnia - do trzeciej drogi cierpienia, czyli z „Zieleniaka” na Dworzec Zachodni i do Pruszkowa.

Pruszków

Następnego dnia, tj. 12 sierpnia ruszyliśmy z „Zieleniaka” na Dworzec Zachodni, do pociągu. Dołączyliśmy do tłumu, który również podążał na stację. Po drodze widzieliśmy różne rzeczy, które można było oglądać tylko wtedy. Film... Widzieliśmy leżące trupy, zniszczone drogi i zabudowania, ogarnął nas lęk - wszystko to nie mogło się pomieścić w głowie. To tak jak gdyby front przeszedł... Jaki los im przygotowali mordercy niemieccy. Płakać się chciało. Ale żyliśmy nadzieją, że to wszystko się skończy. W krótkim czasie dobiliśmy do Dworca. Zobaczyliśmy stojące wagony osobowe, mające nas zawieźć do Pruszkowa.

Pragnę tu nadmienić, że wyrwanie się spod władzy własowców dało nam ulgę. Przeszliśmy pod „opiekę” Niemców. Byli to przeważnie starsi żołnierze Wehrmachtu. Załadowano nas i ruszyliśmy do Pruszkowa.

Widoki tym razem były przyjemniejsze : zobaczyliśmy normalnych ludzi i dzieci bawiące się, pola zielone, wiejskie zabudowy - otoczenie odmienne od tego, na które napatrzyliśmy się w Warszawie. Opuszczaliśmy stolicę, która jakby chciała powiedzieć : *żegnajcie, na pewno wróćcie, będą jeszcze ładniejsza...* Dojechalśmy do Pruszkowa. Tam zaczęło się novum, nowa droga cierpień.

Teren był otoczony dwoma szpalerami Niemców. Z wagonów przeprowadzono nas wąskim pasem do olbrzymiej hali produkcyjnej (wagonowni), która służyła do naprawy taboru kolejowego. Tam na początku siostry Polskiego Czerwonego Krzyża rozniosły deportowanym chleb i zupę. Trzeba wiedzieć, że znajdowały się tam tysiące warszawiaków i panował wielki bałagan. Kto rządzi, z kim rozmawiać, kto może udzielić informacji, jak długo tu będziemy stali...

Pierwszą sprawą było znalezienie miejsca na odpoczynek. W ciągu dnia Niemcy nieustannie obserwowali wszystkich, wyłapując młodych i zdrowych ludzi i odprowadzając ich do różnych prac. Różnie przeżywaliśmy tam czas: każdy początkowo robił to, na co miał ochotę w ramach nakazów i zakazów.

Ksiądz Marabotto mając paszport włoski uzyskał zwolnienie i udał się do Łązniewa. Nasi podeszłego wieku lub złego stanu zdrowia mogli opuścić Pruszków i udać się do Łązniewa lub do swoich rodzin. Do tych szczęśliwców - przypuszczam - należeli p. Pietraszewska, kucharka ks. Mystkowskiego, panowie Kokot i Koralewski.

Ksiądz Marabotto przeżywał boleśnie rozstanie z nami, głównie dlatego, że jako przełożony uważał, iż powinien być ze swoimi do końca. Miał - być może - intencję próbować nas uwolnić od ewentualnego obozu. My pozostaliśmy z ks. Michalskim, naszym przełożonym i kierownikiem grupy.

Wieczorem wciąż napływały nowe grupy, które interesowały się skąd jesteśmy. Informowaliśmy, że jesteśmy z Warszawy z Zakładu wychowawczego przy ul. Barskiej 4. Jednocześnie przygotowaliśmy się do snu - rzecz jasna - na ziemi w ubraniach, kładąc pod głowę to, co się miało. Ponieważ byliśmy zmęczeni, dochodziło do tego, że same oczy się zamykały. Wygód nikt nie szukał, bo nie miał gdzie. Od razu sen.

Ks. Batory w nocy alarmował, że zbliżają się samoloty... Nikt na ten alarm nie zareagował. Nie było siły...

W Pruszkowie spędziliśmy dwie koszmarne noce, które dały się we znaki - leżeliśmy na betonie w odzieży. Trzeciego dnia zastanawialiśmy się, jakie będą nasze drogi : Oświęcim czy inny obóz koncentracyjny, wyjazd na przymusowe roboty. Ale - i to jest najważniejsze - zdaliśmy się na wolę Bożą. Około godz. 10.00 sprawa zaczęła się wyjaśniać. Kilkudziesięciu Niemców zgrupowało pewną część ludzi, w tym i nas, i popędziło do pociągu towarowego. Obserwowaliśmy wtedy dantejskie sceny. Ustawiono kilka składów pociągów według następujących kategorii - osobno dzieci zabierane rodzicom i wprowadzane do wagonu, młodzież, dorośli i starsi oraz chorzy. To tu dantejskie sceny : matki rzucały się pod pociągi błagając o swoje dzieci, żony - o swoich mężów. Wrzaski, piski i płacz zagłuszały porządek trudny do opanowania. Każdy przy tym pociąg miał inne przeznaczenie, czego nie wiedzano. Myśmy pozostali w grupie - nas nie rozłączano. Wszyscy udaliśmy się do pociągu, czekając na dalsze losy. Zaczęła się nowa droga poniewierki.

Wyjazd w nieznane

Przed wyjazdem podjechał wóz z chlebem przydzielając każdemu pół bochenka. Był to znak, że czekała nas dłuższa podróż w nieznane. Istotnie, ruszyliśmy przy oknach zabitych deskami i do tego jeszcze zadrutowanymi. Cywile, którzy pilnowali nas z bronią, pozamykali wagony tak, aby nikt nie mógł ich otworzyć.

Czekaliśmy na stacji długo na skompletowanie wagonów, aż dano sygnał do wyjazdu zbiorowiska ludzi, nieraz sobie nie znanych. Wiedzieliśmy jedno: wyjechali Polacy, którzy opuszczali Warszawę i Pruszków, a których los nie był znany.

Gdy pociąg był już w biegu, wszyscy staraliśmy się ułożyć i znaleźć dla siebie wygodne miejsce. Tak dojechaliśmy do Żyrardowa, gdzie pozwolono na moment otworzyć drzwi, ale zabroniono wysiadać. Tam nas przyjęto gościnnie. Tam zobaczyliśmy nakryte stoły wzdłuż peronu: był chleb, owoce, krupnik w papierowych kubkach. To ludzie z PCK dostarczyli wszystkim żywności na drogę. Pan Sęk włożył biały fartuch i pomagał roznosić prowianty w przekonaniu, że będzie mógł w ten sposób ująć uwagi straży i pozostać w Polsce. Gdy transport odjeżdżał, został na miejscu, po czym udał się do Łązniewa. I tak uniknął dalszych losów, jakie się stały naszym udziałem. Podziwialiśmy odwagę p. Zygmunta. Tym aktem napełnił ducha pozostałych, dając dowód, że można przerwać tę niewolniczą passę. Dlatego inni zaczęli rozważać, w jaki sposób będzie najlepiej dokonać ucieczki ryzykownej. Ucieczka p. Sęka zadziałała. Uznano, że będzie to możliwe w Generalnej Gubernii. Sprawdzono zaraz, w jaki sposób należy otworzyć drzwi wagonu.

W czasie takiego przygotowywania do ucieczki usłyszano strzały. Przez szparę zauważono człowieka wyskakującego z pociągu, który pobiegł kilka kroków i padł na przejeździe. Trudno było stwierdzić, czy został ranny czy też zabity, gdyż pociąg się nie zatrzymał. Widok ten był przestrogą, ale nie odstraszył śmiałych planujących ucieczkę. Ci nie dali za wygraną. Kl. Kokot z Bogdanem Akolińskim wyskoczyli kryjąc się natychmiast w zaroślach. Opatrzność czuwała ochraniając śmiałków. Przypuszczaliśmy, że szczęśliwie dotarli oni do Łązniewa.

Łązniew był w tym czasie jedyną placówką, do której podążali ci, którym udało się pozostać w Polsce w czasie ucieczki i miejscem dla wysiedleńców ze stolicy. Dodawał ducha i pokrzepiał wszystkich tam mających schronienie. Ucieczki nie zauważono, gdyż pozostali jeńcy nie ponieśli żadnych konsekwencji.

Pociąg mknął - jak gdyby znał nasze przeznaczenie - nie zatrzymując się na żadnej stacji. Przejechaliśmy Generalną Gubernię i znaleźliśmy się w Kraju Warty (Warthegau). Dojeżdżaliśmy do terenów III Rzeczy Niemieckiej. Z okna przez szparę widzieliśmy Łódź, tereny wokół Zduńskiej Woli, z charakterystycznymi wieżami kościelnymi i znaną sylwetką Domu Misyjnego księży Orionistów.

Księża i klerycy znający dobrze ten teren ożywili się. Księża nawet posłali pozdrowienie na kartce z myślą, że ktoś życzliwy znalazłszy wiadomość przekaże adresatowi.

Ponieważ już długo podróżowaliśmy, za Męcą Wołą w lesie pociąg zatrzymał się: pozwolono nam wtedy na opuszczenie wagonu i pospacerowanie na świeżym powietrzu. Pogoda była piękna, słońce jasno świeciło, jakby chciało dodać ciepła jadącym w daleką nieznaną drogę. Niezależnie od tego, strażnicy czuwali z bronią. Nikt nie próbował uciekać, tym bardziej że nieznanym był teren w III Rzeszy. Cały czas jechaliśmy w kierunku zachodnim, to znaczy do Niemiec.

Cała noc była koszmarem, ciasnota dawała się we znaki. Gdy obudziliśmy się rano, bolały nas kości. Pociąg stał już w Żaganiu. Jeszcze raz zezwolono na wyjście dla wyprostowania nóg, odsapnięcia i umycia się w zimnej wodzie, słowem orzeźwienia się. Obserwowaliśmy ranne budzenie się przyrody, wschód słońca, jakby jeżdżącego z nami po horyzoncie... Rozpoczęło się święto Wniebowzięcia Matki Najświętszej. My wywiezieni nie mogliśmy przeżyć tego jak na wolności...

Dlaczego jeździliśmy tak długo bez zatrzymania?

Wkrótce dowiedzieliśmy się przyczyny: szukano miejsca, gdzie by nas przyjęto. Obozy wzdłuż naszej trasy nie wyraziły zgody na przyjęcie z braku miejsc. Widocznie wcześniej przyjęto transporty i nie wiadomo, co z nami robić. Odczuwaliśmy już dotkliwie głód, gdyż żywność z Żyrardowa skończyła się. Kierownikowi pociągu i maszyniście konwój proponował - tak się mówiło - łapówkę za odwiezienie nas z powrotem do GG.

Propozycji nie przyjęto. W tej sytuacji jechaliśmy dalej i dotarliśmy do Sudet w tym czasie malowniczych. W niższych partiach pięknie wyglądały osady, nad którymi górowały wieże kościelne. Wioski - jak gdyby wymarłe, nie było widać ludzi, dzieci. Ale trzeba przyznać, że porządek zewnętrzny był utrzymany, mimo że wojna trwała. Tutaj jej nie było widać. Po południu zarządzono postój. Prawdopodobnie było to koło Norymbergi, gdzie zatrzymały się inne transporty. Być może, miejsce to służyło postojom transportowym, czego dowodem były urządzenia higieniczne itp. Obiad, który tam zjedliśmy, ograniczył się do zupy będącej dla nas „dużym zastrzykiem”. Aby otrzymać porcję, należało zdobyć specjalny bilecik, stanąć w kolejce. Chociaż zupa wyglądała jak napój dla zwierząt, cokolwiek jednak zagrzała żołądek.

A ponieważ nie zaspokoiła głodu, każdy starał się na własną rękę coś ugotować czy zjeść na surowo. Przy czym nie wiedzieliśmy, kiedy się skończy ta kołysanka i jaki jest nasz status. Niektórzy sprytni koledzy zdobyli ziemniaki i warzywa, żeby zaspokoić głód i mieć coś na dalszą drogę. W takich nastrojach jechaliśmy dalej w nieznaną.

Różne były domysły, gdzie „wylądujemy” na stałe. Wittemberga, Bawaria czy jeszcze inne miasto... Ta podróż po prostu zaczęła nudzić. A władze niemieckie nie wiedziały, co z nami zrobić, gdy tymczasem zbliżał się koniec wojny i obozy były przepełnione, a Warszawa liczyła kilkaset tysięcy mieszkańców. Ocalała część stolicy musiała być gdzieś zakwaterowana w obozach czy gdzie indziej, a na to nikt nie był przygotowany. Nasz transport nie miał konkretnego adresu i dlatego znalazł się w trudnościach. Trzydniowa podróż w wagonach zwierzęcych, nędzne odżywianie sprawiły, że staliśmy się bardziej nerwowi. W końcu było nam obojętne, gdzie nas rozlokują. Oby tylko człowiek się zatrzymał i miał jakieś warunki do życia. Trudno marzyć o luksusie, ale w sytuacji podporządkowania ludziom nieznanym, którzy mogą wobec nas kierować się humorami, jest niebezpieczne. I właśnie, kiedy takie snuliśmy rozważania, pociąg zaczął hamować zatrzymując się na stacji Bietigheim.

Bietigheim

Krzykami oznajmiono, że to już koniec podróży. Była noc. Musieliśmy wstawać i wychodzić z wagonów. Wstawanie w nocy nie było łatwe, ale odbywało się sprawnie.

Każdy zabierał swoje zawiniątka. Księżyc oświetlał teren i ułatwiał dojście do baraków. Nareszcie dotarliśmy na miejsce.

Na początku staraliśmy się ustalić, co to za obóz, co nas w nim czeka. Jedno wszyscy stwierdzili, że skończył się czas niepewności, co z nami będzie. Nie przewidzieliśmy, że ten obóz prowadzi Ukraińcy, których metody poznaliśmy na „Zieleniaku”.

Jak później dowiedzieliśmy się, obóz ten był przejściowy, łagodniejszy.

Część baraków była w nim zbudowana niedawno - świadczyły o tym nowe obicia deskowe, jeszcze nie używane.

Wokół nas były nowe baraki z trzypiętrowymi pryzcami. Początkowo znajdowaliśmy się w jednej części obozu podzielonego na dwie. Pierwsza to była kwarantanna, to znaczy, że wszyscy musieli przejść przez łaźnię, fryzjera i poddać dezynfekcji odzież. Po tych zabiegach przeszliśmy do drugiej części - do baraków. Staraliśmy się być od początku do końca razem - jedną grupą, pomagając sobie wzajemnie w razie potrzeby. Zaraz na początku każdy otrzymał specjalną kartę upoważniającą do pobierania posiłków.

Od następnego dnia można było wyjeżdżać do pracy u bauerów na terenie Bietigheim.

Ja jeździłem do bauera, który dawał mi naleśniki dla kolegów, a który był człowiekiem bardzo dobrym i łagodnie się ze mną obchodził.

Tu muszę przypomnieć, że w naszym transporcie oprócz księży Orionistów i wychowanków z Barskiej były siostry Orionistki, Karmelitanki, Urszulanki oraz jedna Szarytka. Siostry te miały swego kapłana, który im przez kilka niedziel odprawiał Msze św. i głosił kazania.

Nam przydzielono osobny barak, w którym poza normalnym bytowaniem odmawialiśmy modlitwy i w którym później odprawiano Msze św.

Wkrótce do naszego obozu sprowadzono Rosjan, prawdopodobnie spod Leningradu, którzy dobrze organizowali życie. Dużą ilość chleba suszonego przywieźli ze sobą.

Nad nimi czuwał ich ksiądz, którego szanowali jak najbliższego członka rodziny. Gdy ledwo się rozlokowali przy stole na powietrzu, rozpoczęli swoje nabożeństwo. Z podziwem patrzyliśmy na nich, nie wstydzących się modlić publicznie. Przykład, który może nie jednego zawstydzić. Byli takimi samymi jeńcami jak my. Wszystko, co posiadali, należało do wszystkich. Wzór dla innych wierzących.

Cała służba obozowa - o czym już wzmiankowano, ale nie precyzyjnie - była rosyjska albo ukraińska. Jeżeli chodzi o straż obozową, stanowili ją ludzie starsi, czy emeryci, czy zatrudnieni przymusowo lub jako jeńcy. Wiedzieliśmy, że to obóz przejściowy. Przebywaliśmy w nim do czasu przydzielenia do pracy.

Korzystaliśmy z pewnej wolności, która pozwalała - jak o tym już była wzmianka - na udawanie się do pracy u bauerów. Skorzystali z tego księża, klerycy, jak również chłopcy, którzy szli, by przynieść trochę pożywienia dla pozostałych w obozie. Chłopców traktowano tak samo jak dorosłych; pracowali nie tylko dla siebie, ale i dla innych, którzy z przyczyn niezależnych od nich nie mogli skorzystać z tego dobrodziejstwa.

Poza pracą staraliśmy się korzystać ze słonecznej pogody, aby zaczerpnąć świeżego powietrza. Jeździliśmy bowiem pociągiem parę dni w zaduchu, braku światła dziennego, no i w warunkach ciasnoty.

Jeżeli chodzi o wyżywienie - niewątpliwie biorąc pod uwagę wojnę, obóz, ograniczenie praw, można uznać za takie sobie. Fakt, że to, co otrzymywaliśmy, było niewystarczające, zmuszał do szukania dodatkowego źródła. Zresztą nie mieliśmy żadnego wpływu na wyżywienie. Byliśmy jeńcami i musieliśmy się dostosować do wszystkiego.

Pamiętam, jak niektórzy koledzy pomagając przy rozwożeniu pieczywa do poszczególnych baraków, starali się zdobywać coś dodatkowo, czyli kombinować trochę dla naszej wspólnoty. Nie byliśmy tam wczasowiczami i nie twierdzimy, że tylko dorośli nam pomagali.

Chłopcy bowiem dużo wnieśli do wspólnoty i o tym nie należy zapominać. Przecież wspólnie pracowaliśmy i dbaliśmy o to, żeby każdy czuł się jak ten, który cierpi razem z innymi. Słusznie napisał w swojej książeczce pt. *Exodus Antoniaków* ks. Borowiec następujące zdanie : „*Należało podziwiać spryt i kunszt kulinarny naszych wychowanków; nie dziwnego, że potrzeba jest matką wynalazków*”.

Natomiast nie zgadzam się ze zdaniem tegoż autora, że „*Chłopcom naszym polecono porządkować uliczki na terenie fabryki*”. Chłopcy pracowali na równi z dorosłymi. Zgadzam się z tym, co napisano o robocie kleryków. Ale nie można pisać, że wychowankowie byli tylko do zamiatania przejść pomiędzy halami fabrycznymi. Ja osobiście z kolegami pracowałem podejmując najgorsze roboty jak przygotowanie przypraw do zup, produkcja makaronów, itp. Zresztą o tym później w rozdziale o pracy w fabryce Knorra.

Ze względu na nudy w tym obozie, niektórzy wychowankowie i księża stali przy bramie wyjściowej licząc na zatrudnienie. Trzeba przyznać, że kilkakrotnie udało się im dostać pracę, m.in. w fabryce moszczu (wyrób soku jabłkowego), z którego wyrabiano wino. Szczególnie należy podkreślić, że ci, co pracowali, wracali do obozu zadowoleni z pracy mogąc nieraz przynieść gotowe posiłki, czy coś do zrobienia sobie samemu. Ale byli i tacy, którzy trafili na gorsze prace: drążenie tuneli w terenie górskim, w miejscu budowy fabryki broni. Praca w tym ostatnim przypadku była bardzo ciężka, polegała na rwaniu skał i wywożeniu kamieni taczkami na zewnątrz. Dlatego z naciskiem zaznaczam, że ci wychowankowie, księża i klerycy mający lepsze prace, a mogący przynieść coś do jedzenia, po pracy dzielili się z innymi w obozie - z tymi, którzy byli wyczerpani ciężką pracą.

Jak widać, było to współdziałanie dla dobra ogólnego i utrzymanie się w grupie razem pod hasłem: *razem przybyliśmy, razem musimy wrócić do kraju*.

Była i taka grupa, która pracowała przy odgruzowywaniu dworca kolejowego po bombardowaniach alianckich. Ciężko pracowała... Przy tej pracy niektórzy proponowali system powolnej roboty, bumelantstwa, śmiejąc się i powtarzając : *langsam, aber gut - powoli, powoli...* Zresztą tę zasadę uznawali również Niemcy.

Za każdą pracę otrzymywano zapłatę wraz z obiadem w restauracji, z której korzystali także miejscowi Niemcy, a nawet i oficerowie. Krępowaliśmy się wchodzić do tego lokalu, ponieważ byliśmy w ubraniu roboczym i dlatego przynoszono nam posiłki przed budynek.

W obozie tym przebywaliśmy kilka tygodni. Wykorzystali ten pobyt przede wszystkim księża, którzy mając pozwolenie odprawiali Msze św. Byliśmy prawie zadowoleni, poznaliśmy personel, a nawet nawiązaliśmy kontakt z innymi jeńcami.

Tygodnie pobytu w Bietigheimie zbliżały się ku końcowi. Pomimo, że ciekawość była dość silna, nikt do czasu wyjazdu nie wiedział, dokąd nas wywiozą i jaki będzie nasz następny los. Przed wyjazdem przygotowano nam nowe dokumenty. Pierwsza obawa - to aby nas nie rozdzielono i aby nasza grupa nie pozostawała do końca na terenie Niemiec. Ale nie od nas to zależało. Musieliśmy przyjąć to, co nam proponują, względnie narzucają.

Jednak przyszedł moment opuszczenia obozu przejściowego. Pożegnanie było dość wzruszające - żegnał nas personel, żegnali pozostali jeńcy. Tym samym rozpoczęliśmy następną drogę cierpienia. Choć ta droga była krótka, gdzieś około jednej godziny, to jednak było nowe nieznane. Wyjechaliśmy pociągiem osobowym... do Heillbronn.

Heillbronn

To miasto przemysłowe liczące około 200 tys. mieszkańców. Miasto schludnie utrzymane, mające dużo zabytków, pięknych budowli, szczególnie kościołów z wysokimi wieżami, dużo szpitali wojskowych, fabryk, małych przedsiębiorstw i wiele dobrze zaopatrzonych sklepów.

I tutaj nie widzieliśmy żadnych śladów wojny. Jak się później okazało, to miasto nie było nigdy bombardowane.

Największą fabryką była fabryka przerobu spożywczego, produkująca kilka rodzajów zup, bulionów i makaronów. Większą część wyrobów wysyłano na fronty niemieckie. Właśnie zostaliśmy przeznaczeni do tego miasta, do fabryki Knorra.

Trochę zmęczeni podróżą udaliśmy się do fabryki. Po drodze Hitlerjungend dość nieprzyjemnie nas przyjęła. Byliśmy kilkakrotnie wyśmiani, obrzuceni nieprzyjemnymi epitetami. Znający język tłumaczyli nam. My jednak twardo trzymaliśmy się grupy nie zwracając na to uwagi. Dowiedziała się ona, że jesteśmy z Warszawy. Zdając sobie sprawę z walk tam przeciw Niemcom, mogła mieć jakieś pretensje.

Mimo zniewag podążaliśmy do fabryki, gdzie nas przyjęto z różnymi minami. Dla nas było najważniejsze to, aby w końcu gdzieś się ulokować i zakończyć wędrówkę. Trzeba przyznać, że dyrekcja fabryki przygotowała dla nas schludne baraki, będące kiedyś w ręku wojska. Otrzymaliśmy dwa większe pomieszczenia wraz z jadalnią, duchowni zaś - inne dwa i trzecie przeznaczone na kaplicę. Wszystkie pomieszczenia sanitarne były przygotowane tak, że z czystością ciała nie było kłopotu.

Gdy już urządziliśmy się na nowym miejscu, następnego dnia, byliśmy wezwani do kancelarii, gdzie nas rozdzielono na grupy, a następnie rozesłano do pracy w pawilonach produkcyjnych. Podział pracy był różny, w zależności od zapotrzebowania; część księży i kleryków przydzielono do Neubau, gdzie pracowali przy budowie nowej hali kwasu solnego. Byli to księża Garncarek, Kowalczyk i klerycy Baraszkiewicz, Bienisiewicz i Bronisław Dąbrowski. Do pawilonu produkcyjnego sosu i bulionów oddelegowano ks. Batorego i kl. Guzowskiego wraz z kilkoma wychowankami. Przy przenoszeniu worków z wagonów do magazynów pracowali księża i wychowankowie. Do pilnowania kotłów był przeznaczony kl. Borowiec, a do zasypywania kotłów przeróżnym surowcem na górze Schejbal - kandydat do Zgromadzenia; kl. Guzowskiego zatrudniono przy pieczeniu i paczkowaniu bulionów. Następnie, choć wychowankowie byli ludźmi młodszymi, zatrudniano niektórych przy tych samych pracach. Na przykład Dobroń, Sawalich, Szaszkiewicz i Szostakiewicz pracowali w maskach przeciwgazowych przy produkcji bulionów. Fariaszewski, Gawosławski, Grochowski, Zahorski, Kuliszewski pracowali przy budowie nowej hali do produkcji kwasu solnego. Tunicki, Wywiąłek, Tomaszewski - przy pakowaniu paczek dla wojska na front. Bocheński T., Bocheński M., Golis, Błaszczuk, Kijek - na produkcji makaronu i innych produktów. Karwatowicz, Kondraszewski, Kudelka, Kuźma, Ostrowski, Mirowski zatrudnieni byli przy produkcji bulionów, gdzie nie można było długo przebywać ze względu na zdrowie. Były - jak widać - tworzone grupy wymienne, dlatego m.in., że w masce nie można było pracować cały dzień. Pozostali byli przeznaczeni do różnych prac gospodarczych w zależności od potrzeb. Byli to z kolei Bartosiak, Bilski, Blum, Czechnowicz, Dudzinowicz, Marchwiak, Makowiak, Marszał, Ostrowski H., Okraszewski, Starzewski, Stadkowski, Zamirski i Zatchej.

Tu chcę zwrócić uwagę na fakt, że Niemcy przyjmując do robót przymusowych nie litowali się zbytnio nad ludźmi młodymi, nad dziećmi. Uważali, że z braku ludzi do pracy muszą zatrudnić chłopców, nie licząc się z ich wiekiem. Potrzebna była siła robocza do różnych czynności itd., angażowali tych z rezerwy. Dla nich produkcja była ważniejsza niż wiek pracownika. Ponieważ stanowiliśmy zwartą grupę, władze wspaniałomyślnie zgodziły się zwolnić ks. Michalskiego z prac fizycznych, powierzając mu opiekę nad wszystkimi. Do jego obowiązków należało czuwać nad domem, dbać o porządek w pomieszczeniach, przywozić posiłki dla wszystkich oraz być odpowiedzialnym za działalność na terenie baraku przed władzami miejscowymi, utrzymywać kontakty z dyrekcją fabryki.

Przy okazji nawiązał on znajomość z miejscowym proboszczem, który po zapoznaniu się z całokształtem naszego pobytu w tym mieście zaprzyjaźnił się z ks. Michalskim. Proboszcz ten dostarczał szaty liturgiczne, mszał, hostie, wina i świece.

Dzięki temu księża mogli odprawiać Msze św. i udzielać innych sakramentów, tak jak się to robi w kościele. Był to wielki dar Boga. Nie tylko myślano o ciele, ale i duszy. Po całodziennym trudzie mogliśmy pójść do kaplicy i dziękować Bogu za szczęśliwie spędzony dzień, tym chętniej, że byliśmy razem i znosiliśmy wszystko, co nas spotykało.

Pragnę dodać, że w tej fabryce pracowaliśmy z ludźmi z różnych państw - z Francuzami, Włochami, Hiszpanami itp... Nawiązywaliśmy z nimi dobre stosunki w pracy i poza nią. Obdarzaliśmy szacunkiem wszystkich, którzy z nami współpracowali.

Jak pisałem na początku, Heillbronn nie był bombardowany. Miasto nie miało żadnych śladów zniszczeń wojennych. Ale wtedy najbardziej dokuczały nocne naloty. Syreny dawały znak, że zbliżają się samoloty. Na początku zapowiadał to tzw. voralarm, a następnie właściwy alarm. Po jego usłyszeniu musieliśmy wybiegać na zewnątrz i kryć się w schronie. Porządek obowiązywał także w czasie nalotu. W schronie były dyżury ludzi do tego powołanych, którzy m.in. rejestrowali każdego, kto się tam znajdował. Służba robiła to tyle razy, ile razy były naloty.

Niezależnie od tego, sam dyrektor fabryki, p. Nil, kontrolował przestrzeganie zarządzeń zaglądając nawet do baraków. Po odwołaniu alarmu wracaliśmy do baraku na dalszy odpoczynek nocny. Niektóre noce były dokuczliwe, gdyż naloty kilkakrotnie zakłócały spanie. Pomimo nie przespanych nocy, musieliśmy rano udawać się do pracy. Nie brano tego pod uwagę, czy będziemy wydajni. Praca nie mogła być zakłócona, od niej zależała produkcja poszczególnych asortymentów dla celów wojskowych. Musieliśmy się temu podporządkować. Niektórzy księża i wychowankowie - o czym już wzmiankowano - mieli ciężką pracę, taką jak wyładowanie z wagonów różnych mieszanek w ciężkich workach, transportowanie tego windą na drugie piętro; ustawianie dużych ilości sody na parterze wokół kadzi, do których rano spuszczano z pierwszego piętra mieszanek rozgotowaną w kwasie solnym. Inni również pracowali na swoich stanowiskach nie wyspani i podenerwowani tymi nalotami. Wszystkie prace wykonywali zgodnie z harmonogramami zajęć.

Wiedzieliśmy, że do najcięższych prac i niebezpiecznych należała praca przy kotłach, w których gotowało się sosy i buliony. I tutaj pracowali księża i wychowankowie. Inne prace również były ciężkie, ale nie tak groźne dla zdrowia. Dlatego w tamtych miejscach obowiązkowo noszono maski ochronne, aby się nie zatruć wylęciami.

Ci, którzy podejmowali ciężką pracę, otrzymywali dodatkowe kartki, tzw. „zulagi" na pieczywo i wędlinę. W sumie trudne warunki bytowe i ciężka praca dawały o sobie znać. Niektórzy nie wytrzymywali, np. kl. Guzek i kl. Borowiec dość poważnie chorowali.

Większość czasu spędził w łóżku kl. Dąbrowski z powodu chorej nogi (gips). Kl. Baraszkiewicz zaopiekował się nimi i udał się do ambulatorium, gdzie otrzymał dla nich lekarstwa. Chorowali także niektórzy wychowankowie, ale jakoś bez większego uszczerbku dla zdrowia.

Przeżywaliśmy wtedy również przyjemne chwile tak w czasie wolnym od pracy, jak i w niedziele. Przede wszystkim poprzez codzienne uczestniczenie we Mszy św. i w niedziele. Przez wspólne uczestniczenie w Eucharystii byliśmy bliżej Chrystusa. W tym naszym środowisku na kształt cieplej atmosfery wpływali zarówno księża, jak i wychowankowie, którzy nawzajem się rozumieli i tak postępowali, aby jak najmniej było kłopotów. W dalszym ciągu żywiono nadzieję na szczęśliwy powrót do kraju. Każdy z nas starał się opowiadać o przeżytym dniu pracy, jak się układała współpraca itd., a podczas posiłków - różne dowcipy, bajki dla spędzenia przyjemnie kończącego się dnia. Organizowano również różne gry towarzyskie, zabawy (bez tańców); niektórzy przodowali w humorach.

W tych zmieniających się życiowych sytuacjach dobrych i złych zadawaliśmy sobie pytanie: czy ktoś o nas pamięta. Otóż tak - ks. Stanisław Prochot przysłał nam paczki

żywnościowe, które cieszyły wszystkich dlatego, że były znakiem pamięci. Ponadto istniały jeszcze różne kontakty listowne.

Niektórzy pisali do swoich rodzin, aby dać znać, gdzie się znajdujemy i jak żyjemy pracując jak niewolnicy.

Wracając jeszcze do rozrywek, trzeba powiedzieć, że najbardziej dowcipnymi w swoich humorach byli ks. Kołaciński, ks. Garncarek i ks. Batory, którzy potrafili zabawiać godzinami wszystkich. Była to taka porcja radości, która nam się należała.

Wolne dni od pracy wykorzystywaliśmy na spacerunki po mieście zwiedzając zabytki, wystawy sklepowe i inne ciekawe rzeczy. Ale nic nie mogliśmy kupić, gdyż poza pieniędzmi, które otrzymywaliśmy za pracę, potrzebne były kupony. Obcokrajowcy mieli trudności w kupowaniu.

Najważniejsza była niedziela, którą poświęciliśmy przede wszystkim sprawie oddania czci Bogu. Prócz tego niedziela przynosiła poczucie swobody. Interesowano się nami zwłaszcza, gdy chodziło o tłumaczenie listów na język niemiecki. Zwracano się wtedy do księży. Ale też chodziło o nawiązanie kontaktów. Tu pierwsze skrzypce grał kl. Dąbrowski.

Przypadkowo trafiła do nas prasa w języku niemieckim, z której dowiedzieliśmy się, że Warszawa nadal się broni, i że dopiero po dwóch miesiącach nastąpiła kapitulacja. Bardzo przeżyliśmy tę wiadomość. Trzeba bowiem pamiętać, że siły niemieckie były kilkakrotnie większe od powstańczych - smutne zakończenie musiało nastąpić.

Któregoś dnia przeżyliśmy dramatyczny moment na terenie fabryki. Chodziło o pobicie Hitlerjugend przez naszych kolegów, za co mogły być przykre konsekwencje, a nawet pozbawienie życia.

Otóż przedstawiciel fabryki w towarzystwie policji przybył do ks. dyr. Michalskiego z zamiarem przeprowadzenia dochodzenia w tej sprawie. Trzej wychowankowie mieli pobić członków Hitlerjugend. Ks. Michalski oświadczył wtedy, że nic nie wie o jakimkolwiek pobiciu młodych Niemców. Przedstawiciele władz uwierzyli pozostawiając nas w spokoju.

To zajście miało miejsce i nasi brali w tym udział. Dwóch kolegów z Sawalichem na czele zostali zaczepieni podczas spaceru na ulicy przez czterech członków Hitlerjugend. Chłopcy nasi nie dali za wygrane, wspólnie broniąc swego honoru wdali się w bójkę i sprawili tamtym lanie, po czym w porę wrócili do fabryki, nie dając oznak, że w cokolwiek byli zamieszani na ulicy.

Wkrótce potem była następna sprawa. Strażnik fabryczny przyłapał kl. Bienisiewicza na wynoszeniu mąki. Fakt wykorzystano i wysłano go z grupą wychowanków do Bad Krozingen w pobliżu Freiburga, nad samą rzekę Ren, na granicy z Francją, celem kopania okopów obronnych dla Niemców. Wysłano około 10 osób, wśród których byłem i ja. Mieszkaliśmy w restauracji, przekazanej nam tymczasowo na okres prac. Stąd wożono nas samochodami ciężarowymi nad samą rzekę, gdzie znajdowały się umocnienia tzw. Linii Zygfryda, a gdzie umacnialiśmy okopy dla znajdującego się tam wojska niemieckiego.

Pamiętam, jak jeździliśmy piękną autostradą otoczoną winnicami, harmonizującą doskonale z całością przyrody. Widzieliśmy olbrzymie Alpy, które zasłaniały dalszy horyzont. Krajobraz nie do opisanego. Bardzo lubiliśmy jeździć tą trasą. Podczas robót samoloty angielskie nie dawały nam spokoju, latając stale nad tymi okopami. Piloci nie wiedzieli pewnie, że tam znajdują się jeńcy zatrudnieni na styku frontów. Pracowaliśmy tam kilka tygodni.

Kl. Bienisiewicz z oddaniem troszczył się o nas. Strażnicy byli dobrzy, nie przejmowali się naszymi sprawami. Któregoś dnia, gdyśmy kopali okopy, nastąpił silny aliancki nalot na ten teren, w czasie którego zginął na miejscu kolega Marszał. Przeżyliśmy się tym wypadkiem. Natomiast Schejbal, wyczuwając zbliżające się wojska alianckie odłączył się od nas, aby się przedostać do nich i w ten sposób odzyskał wolność. Potwierdził listem, że ucieczka się udała, zapewniając pamięć o nas. Ze względu na zbliżający się front postanowiono nas przewieźć

z powrotem do Heillbronn. Wtedy dowiedzieliśmy się, że Heillbronn był kilkakrotnie bombardowany. Starano się, aby powrót miał miejsce, zanim nastąpią nowe bombardowania.

Po powrocie z Bad Krozingen dowiedzieliśmy się także od ks. Batorego, że siostry Karmelitanki wyjechały do Polski na podstawie zarządzenia gubernatora GG Hansa Franka, które zwalniało duchownych pochodzenia polskiego z przymusowych prac. Wiadomość ta zmobilizowała naszych księży do podjęcia starań o zwolnienie na podstawie w/w zarządzenia. Zajął się tym ks. Batory, który udał się do gestapo w tej sprawie.

Bombardowanie miasta

Żeby się zrealizowały te zamysły, księża i wychowankowie odprawili nowennę do założyciela Zgromadzenia ks. Orione. I tak, kiedy myśleliśmy o powrocie, nastął dzień tragiczny dla miasta Heillbronn. Kiedy po pracy spożywaliśmy kolację, rozpoczął się ryk motorów nadlatujących samolotów. Straże nawet nie zdążyły ogłosić alarmu. Rozpoczęło się... Na szczęście byliśmy przeszkoleni w gaszeniu ognia.

W tym czasie czterech duchownych - księży Kołacińskiego i Wójcika oraz kleryków Borowca i Guzka - skierowano do pawilonu Nudebau - starego budynku, który posiadał grube mury i wąskie korytarze, suterенę mogącą spełnić rolę schronu. Po powrocie opowiadano, że były tam śmiertelne wypadki.

Bez przerwy słychać było detonacje. W tym czasie przebywaliśmy w schronie niedaleko naszego baraku. Baliśmy się potwornie, gdyż było to bombardowanie systemem dywanowym. Modliliśmy się o szczęśliwe zakończenie, aby wszyscy wyszli cało. Kiedy fala wybuchów opadła i zaczęło robić się ciepło, pierwsi wyszli ze schronu Niemcy. Następnie my, szukając się nawzajem i pytając, czy wszyscy przeżyli ten koszmar. Gdyśmy się spotkali, była wielka radość i dziękczynienie Bogu, że skończyło się to piekło. Każdy opowiadał, w jaki sposób spędził czas w schronie. Pod wpływem wstrząsów ludzie przebywający z nami, po prostu wyli nieludzkim głosem. Bombardowanie pozostawiło po sobie pożary i ruiny. Miasto zamieniło się w gruzy. Ludność wychodziła oszołomiona, szukając swoich najbliższych w ruinach. Niemcy potracili głowy opuszczając fabrykę widząc, jakie spustoszenie po sobie zostawiło bombardowanie. Nie ominęło ono również naszego baraku, który spłonął doszczętnie. Byliśmy dlatego w trudnym położeniu. Chociaż przyjęto nas w innych barakach, jednak głód, brud i wszy rozpanoszyły się na całego. Nie zważając na to, że tragicznie przeżyliśmy to piekło, następnego dnia musieliśmy przystąpić do odgruzowywania terenu fabryki i doprowadzić do jakiegoś porządku.

Różnie spędzaliśmy czas po bombardowaniach, tym bardziej że nasz barak przestał istnieć. Przekazano nam inny. Część dnia próżnowaliśmy, część pracowaliśmy przy odgruzowywaniu. Wieczory spędzaliśmy na opowiadaniach lub śpiewie różnych piosenek - najczęściej patriotycznych, jednak w takim wykonaniu, aby nie drażnić Niemców. Nawet nie przypuszczaliśmy, że te piosenki tak oddziaływały na rodaków w tej samej sytuacji, co my. Następnego dnia dowiedzieliśmy, jak wyglądało miasto po bombardowaniu. Ludzie chodzili jak obłąkani. Przedtem ta rzecz nie była znana. Dlatego właśnie zorganizowano tutaj dużo szpitali i fabryki mogły funkcjonować. Pod koniec wojny przyszedł czas i na to miasto. Niemcy - według nas - nie przypuszczali, że może coś takiego nastąpić, że może nawet duży dobry schron zawieść. Przeczuwająca część ludności, w tym i Polacy, opuścili schrony, i dzięki temu zostali uratowani. Ludność w schronach została zasypana gruzami. Wybuchł na dodatek wielki pożar, który zwęglił ich ciała. Mimo to odgruzowywano ulice, skwery i chodniki, aby można było dostać się do miejsc zasypanych po nalocie.

Władze miejscowe miały dlatego dość skomplikowane zadanie. Ci, co ocalili, musieli coś jeść, gdzie się podziać, a mieszkań i schronów nie było. W obawie przed buntem społecznym sprowadzały żywność, ustawiały garkuchnie, z czego i my korzystaliśmy. Nawet sprowadzono samochody zaopatrujące w żywność i artykuły codziennego użytku. Ale niestety nie wszystkich. A my dalej nie wiedzieliśmy, co z nami będzie. Pierwsza zatem sprawa na wokandzie to

zapewnienie sobie żywności, bo nikt się o nas nie upomniał. Niemcy mieli dość kłopotów z mieszkańcami, ze swoimi, żeby się innymi zajmować.

Powrót na Ojczyzny lono

Pobyt dalszy w tych warunkach był uciążliwy, warunki bytowania z dnia na dzień coraz gorsze. Należało liczyć tylko na łaskę Bożą i pośrednictwo ks. Orione w rozwiązaniu naszej sytuacji i powrotu do kraju.

W tym przypadku posłużę się informacją, jakiej udzielił ks. Michalski ks. Bolesławowi Majdakowi na temat zabiegów o nasz powrót do Polski. (*Archiwum Oriońskie Zduńska Wola, AOZW, VIII 2 k.*).

Otóż, według tej relacji ks. Michalski prosił pewnego urzędnika niemieckiego w Stuttgarcie, z którym zapoznał się w Warszawie, by ten interweniował u tamtejszych władz w sprawie powrotu „Antoniaków” do kraju. Urzędnik ów interweniował i jemu w dużej mierze należy zawdzięczać zwolnienie z robót przymusowych i możliwość powrotu jeszcze w grudniu 1944 r. do Polski - jeszcze przed wkroczeniem Armii Czerwonej.

Po uzyskaniu zwolnienia przystąpiono do załatwienia jeszcze innych drobnych spraw. Planowano początkowo wyjazd pierwszej grupy - chłopców wraz z ks. Michalskim na 13 grudnia; pozostali następnego dnia. Przypuszczam, że projekt ten mógł powodować niezadowolenie. Przy tym władze fabryczne zażądały od ks. Michalskiego rozliczenia z jednego koca brakującego, grożąc wstrzymaniem wyjazdu. Dziwna groźba. Nasz barak został zniszczony podczas bombardowania, a sama fabryka w 80%. Był to tylko pretekst. Kiedy ważyły się losy ludzkie, były „ważniejsze sprawy”.

Dalszy nasz pobyt w zaistniałych warunkach byłby bardzo uciążliwy tak dla Niemców, jak i dla nas. Z dnia na dzień warunki bytowania pogarszały się. Należało polegać na własnym sprycie, by się utrzymać dłużej wśród ruin, gdzie również miejscowa ludność borykała się z tymi samymi problemami, a przede wszystkim modlić się i prosić Boga za pośrednictwem św. Antoniego o jak najszybszy wyjazd.

W nieszczęsnej sprawie brakujących kocy należy przypuszczać, że popełniono błąd przy ich liczeniu – może dokument zginął w baraku. Nikomu nie zależało na nim. Mimo tych trudności przygotowaliśmy się do wyjazdu.

W ostatnim stadium przygotowania jednak zmieniono pierwotny plan: wyjedziemy wszyscy razem! Radość... gdyśmy spakowani opuszczali zrujnowaną fabrykę i zniszczone miasto. Była to ostatnia droga już nie cierpień, ale radości - droga, która miała doprowadzić nas do upragnionego wyjazdu do kraju, a ściślej mówiąc do Łaźniewa.

Wyjazd zbiegł się z zakończeniem nowenny; wierzący nie będzie tego oceniał w kategorii przypadkowej zbieżności, ale...

Należało przewidywać, że nie będzie to droga usłana różami - wagony nie ogrzewane, zimno na dworze... Dlatego robiono wszystko, aby nikt nie marzył w drodze.

Następna sprawa to zaopatrzenie w żywność i inne rzeczy potrzebne w podróży.

Dopiero wtedy mogliśmy się trochę rozgrzać, gdy pociąg zatrzymał się w Norymberdze, i poszliśmy na stację, gdzie było ciepło i przytulnie. Stąd wyruszyliśmy do Krakowa.

Kraków

Kiedy dotarliśmy do Krakowa, w Generalnej Gubernii, skierowano nas do różnych kwater. Księżę do jednych, wychowanków do drugich. Trzeba przyznać, że w Krakowie obchodzono się z nami bardzo dobrze: noc przespałiśmy wygodnie, nie zabrakło smacznego posiłku. Po tej naszej tułaczce to po prostu luksus...

Następnego dnia dowiedzieliśmy się, że są pociągi do Kielc, Częstochowy i Warszawy. W czasie, kiedy jeszcze trwała wojna cała nasza podróż do Krakowa była niebezpieczna. Częste bombardowania, strzelanina stawały się trudne do wytrzymania. Należało się tylko modlić do św. Antoniego, by chronił nas od nieszczęścia w ostatnim stadium naszej wędrówki do swoich. Naszym celem był Łązniew, gdyż nie mieliśmy po drodze nikogo, kto by się nami zajął. Trudno nam było zrozumieć, że po tym wszystkim w Krakowie tak było dobrze.

W kierunku Łązniewa

Niektórzy księża wyjechali w kierunku Kielc i Częstochowy do swoich rodzin czy znajomych. My zaś trzymaliśmy się grupy - jako wielka rodzina oriońska z ks. Michalskim na czele. Dowiedzieliśmy się w tym czasie, że żołnierze niemieccy zaciekle bronili się pod Kielcami, podczas gdy Armia Radziecka gwałtownie parła do przodu. Te okoliczności także decydowały o naszej dalszej jeździe w kierunku Warszawy.

Pomimo wszystko dojechaliśmy do Łązniewa bez niespodzianek. Łązniew wyglądał korzystnie. Przeżywaliśmy bardzo ten ostatni etap naszej podróży.

Nie mogliśmy się początkowo przystosować do nowych metod działania. Przyjęci byliśmy bardzo gościnnie przez ks. Marabotto, ks. Pogórskiego i pozostały personel wychowawczy i administracyjny. Udaliśmy się zaraz do łaźni, aby doprowadzić się do porządku. Po tych higienicznych zabiegach zjedliśmy posiłek przygotowany przez tych, którzy nas oczekiwali. Dziękowaliśmy za szczęśliwy powrót św. Antoniemu i wszystkim tym, którzy przyczynili się do naszego powrotu na czele z ks. Michalskim. Dziękowaliśmy wszystkim księżom i klerykom, którzy opiekowali się nami w czasie wspólnego przebywania w niewoli niemieckiej, a ks. Marabotto i ks. Podgórskiemu za miłe przyjęcie. Było mnóstwo opowiadań, żeby ci, którzy nie byli z nami, dowiedzieli się o wszystkim.

Tam pewnego dnia przyszła wiadomość, że Warszawa została oswobodzona.

To dodało nam ducha, żeby natychmiast udać się pieszo do Warszawy celem odbudowy zniszczonego domu. Kto tylko mógł i czuł się na siłach, udawał się do stolicy, żeby pomóc w odbudowie budynku. Wszyscy liczyli się z tym, że odbudowa Warszawy i domu musi być dokonana naszymi siłami jako wotum z myślą o przyszłych pokoleniach, które będą kontynuować dzieło ks. Toporskiego i księży Orionistów, przejmujących pałeczkę wychowania ubogiej młodzieży w tym Zakładzie.

A oto pionierzy, którzy przystąpili do odbudowy „swojego domu”:

1. brat Stanisław Zieja
2. Henryk Kuczkowski
3. Feliks Szczęsny
4. Kazimierz Tomaszewski
5. Franciszek Zieja
6. Bronisław Janczewski
7. Tadeusz Kondraszewski
8. Stanisław Olczyk
9. Franciszek Połubiński
10. Kazimierz Fariaszewski
11. Lucjan Stadkowski
12. Kazimierz Witecki
13. Kazimierz Kudelka

14. Edward Sawalich
15. Jan Kijek
16. Tadeusz Dudzinowicz

Lata 1945 -1954

Zgodnie z postanowieniem wychowankowie przystąpili do odbudowy budynku zniszczonego w czasie Powstania Warszawskiego. Koledzy ci nie bacząc na trudności, jakie powstaną w czasie pracy, będą starali się w szybkim tempie odbudować placówkę, która niezależnie od nadchodzących czasów musi nadal funkcjonować i być domem dla potrzebujących opieki w zastępstwie własnej rodziny.

II wojna światowa pozostawiła po sobie wielką ilość sierot, które utraciły w różnych okolicznościach swoich najbliższych.

W obliczu takiej sytuacji my - jako dawni wychowankowie - musieliśmy starać się w szybkim tempie przywrócić Zakład do normalnego funkcjonowania, dlatego rozpoczęliśmy od wywózki gruzu, torując drogę dla transportu materiałów budowlanych, a następnie podjęliśmy prace kanalizacyjne, oświetleniowe i murarskie. Już tutaj należałoby podkreślić zaangażowanie p. Sęka, byłego wychowanka, który zręcznie wykonywał te prace jak prawdziwy murarz.

Ponieważ dom był bardzo zdemolowany, dlatego piętrzyły się prace nad jego odbudową i dlatego tym większego wymagało to od nas wysiłku.

Pomagali również z oddaniem księża: Kowalczyk, który był tymczasowym kierownikiem i doskonale rozumiał warunki, w jakich się znaleźliśmy, Baraszkiewicz, Kołaciński, Batory, Dąbrowski, kl. Guzowski i inni.

Rozpoczęły się więc gorączkowe prace naprawy dachu, wstawienia szyb w oknach, uruchomienia kanalizacji, łątania dziur w rozbitych ścianach tak, aby w szybkim tempie przywrócić funkcjonalność domu. Nie zapomniano o uruchomieniu podręcznego warsztatu, który później przekształcił się w warsztat z prawdziwego zdarzenia i miejscem szkolenia wychowanków.

Wiele poświęcenia wykazali księża wraz z wychowankami i widać było jak budynek zmieniał swój wygląd, na który czekało coraz więcej sierot po II wojnie światowej. Trzeba tu z przyjemnością nadmienić, że tymczasowe władze stolicy chętnie udzielały wszelkiej pomocy, choć same miały dużo swoich kłopotów i ten fakt, że wychowankowie nie byli przygotowani do wykonywania robót, a przy pomocy niektórych księży dokonywali „cudów” przy odbudowie „Antonina”. Zresztą też było widać, jakie kłopoty mieli mieszkańcy sąsiednich budynków, które wymagały remontów, a z braku materiałów borykali się z coraz większymi problemami. Obserwując, jak szybko Zakład wychodził z ruin i zmieniał swój wygląd wpadali w zdumienie: „A ci księża i chłopcy to dopiero grupa zorganizowana”.

Chłopcy nie załamywali się przy trudnych pracach, szczególnie zaś przy remontach stropów, które wymagały i wiedzy fachowej i siły mięśni, a jednak i z tym problemem poradzili sobie doskonale. Z drugiej strony wykorzystali okazję by pokazać swoje zdolności, a nawet mieć nadzieję, że prace te mogą być zaliczone jako wyuczony zawód. Pracowali od świtu do późnego wieczoru nie wykazując zmęczenia i niezadowolenia. Wiedzieli bowiem, że to co teraz robią, to będzie miało znaczenie dla przyszłych pokoleń. Przerwy były tylko na posiłki i odprężenie. Jedynie niedziele dawały pełny odpoczynek.

Większość chłopców to byli jeńcy z Powstania Warszawskiego, których wysłano na roboty przymusowe do Niemiec, gdzie postanowili, że sami będą odbudowywać Zakład po powrocie do kraju, jako podziękowanie Bogu za ocalenie. Zaangażowanie i praca świadczyły, że dotrzyмали umowy.

W czasie odbudowy przyjechał z Łaźniewa ks. Michalski, żeby zapoznać się postępowaniem robót. Widział, jak jego wychowankowie solidnie i wspólnie doprowadzają Zakład do porządku, a nawet do jego udoskonalenia i już do Łaźniewa nie wracał.

Pewnego dnia, w czasie odpoczynku i spaceru, wychowankowie znaleźli w parku na trawie figurę Matki Boskiej z Dzieciątkiem na ręku. Postanowili ją przywieźć, zrobić postument i ustawić na nim figurę.

Do dnia dzisiejszego ta figura Matki Boskiej stoi na tym samym miejscu i czuwa nad podopiecznymi.

Następnie stwierdzili, że w kaplicy w głównym ołtarzu stoi figura św. Antoniego, choć została przestrelona kilkoma strzałami przez nieznanych osobników, nie spadła z postumentu, pokazując dziury od strzałów karabinowych. Mimo wstrząsów od artyleryjskiego ostrzału budynku, św. Antoni stał i czuwał nad tym domem, by nie został całkowicie zburzony. Praca trwała cały czas.

Widać jak dom staje się coraz piękniejszy. Wewnątrz niektóre sale są odnowione, przygotowane na przyjęcie nowych wychowanków.

Praca daje coraz to większe efekty. Widać, jak dom odzyskuje swoją dawną świetność i gotów jest do prowadzenia działalności zgodnie z jego założeniem.

Wkrótce przyjechał z Łaźniewa ks. Marabotto, który jadąc do Otwocka zatrzymał się chwilowo u nas. Podziwiał fakt szybkiego powstawania Zakładu z gruzów stwierdzając, że wkrótce będzie mógł rozpocząć działalność dla dobra sierot, które czekają na pomoc. Obowiązek nie pozwolił mu pozostać dłużej i wyjechał do sióstr Orionistek w Otwocku prowadzących działalność charytatywną wśród chorych. Tam oddany bez reszty chorym zaraził się tyfusem płamistym i natychmiast przewieziony został do szpitala w Milanówku, gdzie mimo bardzo dobrej opieki lekarskiej oddał Bogu duszę 5 maja 1945 r.

Wiadomość ta była dla nas zaskoczeniem. Znaliśmy go przecież jako bardzo oddanego Orionistom i Zakładowi w Warszawie i w Łaźniewie.

Prace w tym czasie zaczynają się kończyć i już myśli się o przyjmowaniu w drugiej połowie tegoż roku nowych wychowanków.

I tak po 6-letniej ciężkiej i haniebnej okupacji hitlerowskiej rozpoczyna się następna faza działalności księży Orionistów w Zakładzie. Wychowankowie - „budowniczy” oddają odnowiony i doprowadzony do użytku dom tym, którzy potrzebują natychmiastowej opieki po zawierusze wojennej. Tymczasem niektórzy starsi wychowankowie zaczęli myśleć o zakładaniu własnych rodzin ustępując miejsca nowemu pokoleniu, nie zrywając jednak kontaktu z księżmi i kolegami, z którymi przeżyli koszmar wojny i jej zakończenie. W „Antoninie” znów rozlega się gwar i hałas, św. Antoni czuwa nadal nad nowym pokoleniem, które będzie tu realizować swoje marzenia.

Praca w Zakładzie początkowo była bardzo trudna z nowo przyjętymi wychowankami. Większość z nich przeżyła koszmarnie młode lata w czasie okupacji widząc częste rozstrzeliwania, łapanie, wywożenia na przymusowe roboty do Niemiec, względnie straciła swoich najbliższych. Trzeba było wprowadzić nowe metody wychowania, aby uwolnić ich od koszmaru przeszłości i urealnić przyszłość. Część z nich przeżyła Powstanie Warszawskie, w którym okrucieństwa były na pierwszym planie. Część przybyła z terenów wschodnich zajętych przez Związek Radziecki, w tułaczce gubiąc swoje rodziny. Naprowadzić ich na prostą drogę będzie wiele kosztowało pracy. Dobrze, że trafili na księży, którzy mają duże doświadczenie w pracy wychowawczej. Początkowo prowadził dom ks. Michalski, ale po śmierci księdza Marabotto, objął stanowisko dyrektora prowincjalnego Zgromadzenia w Polsce, a jego następcą z kolei został ks. Dąbrowski. Ks. Michalski jeszcze w czasie kierowania Zakładem wyposażył dom w niezbędne środki do właściwego funkcjonowania placówki. Pan Koralewski wyposażył warsztaty mechaniczne dla starszych wiekiem chłopców, którzy w nich będą odbywać praktyki uczęszczając jednocześnie do szkół zawodowych.

Objęcie kierowniczego stanowiska przez ks. Dąbrowskiego było posunięciem trafnym. Ten po zapoznaniu się z nowymi wychowankami, wprowadzał nowoczesne systemy wychowawcze, oparte na nowych zdobyczach pedagogiki. Kończył z dotychczasowym systemem, wprowadzając bardziej rodzinny. Wychowankowie stają się współodpowiedzialnymi za gospodarkę, estetykę, karność i porządek. Spełnienie obowiązków wychowanków podlegało ocenie. Dobra ocena umożliwiała im uzyskać większą wolność i udanie się poza teren Zakładu na określony czas. Najważniejszym pociągnięciem było wprowadzenie Zarządu Młodzieżowego, któremu podlegały sekcje: artystyczna, sądownicza, higieniczna i kulturalno-oświatowa.

Nowość polegała również na tym, że na każdy nowy rok szkolny wybierano nowy Zarząd, który zajmował się układaniem rozkładu prac na cały rok szkolny, z planem również święta patronalnego, ogniska wieczorowego, towarzyskich wyjazdów do zakładów żeńskich, szczególnie do Włocławka, Wawra itp.

Wszystkie innowacje dawały wiele satysfakcji nie tylko kierownictwu, ale przede wszystkim podopiecznym. Tworzyła się w tym domu atmosfera rodzinna. Wielką pomoc żywnościową i odzieżową otrzymaliśmy od Polonii Amerykańskiej, jeszcze dziś pamiętamy te zielone koce i odzież, którą bardzo wszyscy sobie cenili, a która zaspokoila nasze boleśnie odczuwalne potrzeby.

Trzeba tu przypomnieć fakt, że Warszawa została prawie cała zniszczona, sklepów w okolicy nie było, zaopatrzenie bardzo słabe, dlatego pomoc z Ameryki była konieczna, i należy tylko dziękować Bogu za otrzymane dary.

Władze Polski Ludowej początkowo popierały tego rodzaju placówki dla biednej osieroconej młodzieży nie tylko w Warszawie, ale i gdzie indziej. Pan Freytag, jako kierownik Wydziału Opieki Społecznej, starał się w miarę możliwości zaradzić naszym potrzebom, lecz nie zawsze był w stanie. Nasi księża nie przejmowali się tymi trudnościami, lecz co mogli zawsze realizowali innowacje - podopieczni nie byli głodni, mieli zapewnione podstawowe warunki. W tym powojennym okresie wychowankowie tworzyli zespoły młodzieży zróżnicowanej pod względem wieku, przeżyć i doświadczeń życiowych, jakie wniosła wojna i nienawiść wśród ludzi. Znaczną część stanowili warszawiacy, którzy przeszli i przeżyli Powstanie Warszawskie, ale byli i chłopcy pochodzący ze wschodnich terenów Polski sprzed 1939 r., przyłączonych do Związku Radzieckiego. I tych też nieraz bardzo trudne drogi doprowadziły do „Antonina”. Opanowanie i wychowanie tak zróżnicowanej grupy młodzieży nastroczało niewątpliwie bardzo wiele problemów kierownictwu i wychowawcom Zakładu.

Ale idźmy dalej; w tym okresie rządziły władze partyjne laickie, które nie mogły znieść wychowania katolickiego, a wpływu na to wtedy żadnego nie mieli. Po pewnym czasie Kuratorium Okręgu Warszawskiego zaczęło wywierać nacisk na zakłady prowadzone przez księży, aby powołać organizacje młodzieżowe takie jak np. Związek Walki Młodych (ZWM), Związek Młodzieży Polskiej (ZMP) lub inne. Przewidując planowaną ateizację, kierownictwo Zakładu podjęło decyzję o zorganizowaniu drużyny harcerskiej. Większość wychowanków uważała ten krok za słuszny pod warunkiem utrzymania tradycji Baden Powela. Ta decyzja wynikała również z przekonania, że do tak zróżnicowanego zbiorowiska młodzieży należy wprowadzić zmiany w dotychczasowych metodach wychowawczych, w kierunku większej wzajemności, integracji wychowanków i ich większego zaangażowania w życie Zakładu. W obawie więc przed narzuceniem z góry swoich nie sprawdzonych organizacji młodzieżowych, w lutym 1947 r. została zorganizowana 15 WDH (Warszawska Drużyna Harcerska), w szeregi której wstąpiło około 80% wychowanków.

Niektórzy wychowankowie starsi, na czele z Jurkiem Ryszkowskim, należeli do ZHP i ci przodowali w organizowaniu drużyny. Z tych przyczyn Jurek został powołany na przybocznego, a zastępowymi zostali wybrani starsi koledzy cieszący się uznaniem.

Po zawiązaniu harcerstwa rozpoczęły się prace związane z przygotowaniem do złożenia przyrzeczenia i zdobycia stopnia harcerskiego „Młodzika” oraz wyjazdu na obóz letni. Pierwszy „bieg na Młodzika” odbył się w Łązniewie, po którym nastąpiło składanie przyrzeczenia harcerskiego.

Pierwszy obóz letni został zorganizowany w lipcu w okolicach Włocławka nad Jeziorem Wikaryjskim. Warunki obozowe były wspaniałe. Trzeba podkreślić, że tam obozowały inne drużyny i Komenda Hufca Wola-Ochota, z tym iż tamci rozlokowali się po drugiej stronie jeziora. Po przybyciu na miejsce obozowiska rozpoczęła się normalna praca, czyli postawiono namioty, urządzono kuchnię, stołówkę i inne obiekty towarzyszące.

Po spędzeniu pierwszego dnia w obozie, po kolacji, zapalono ognisko, na które złożyły się humory, śpiewy i skecze, na zakończenie zaś dnia modlitwa połączona ze śpiewem następujących słów :

„Idzie noc, słońce już,
Zeszło z pól, zeszło z gór, zeszło z mórz
W cichym śnie usnij już,
Bóg jest tuż, Bóg jest tuż,
Bóg jest tuż...”.

Po latach, mam nadzieję, iż niejednemu z harcerzy melodia i słowa tej pieśni modlitwy śpiewanej w głębokiej ciszy otaczającego lasu pozostaną w pamięci do końca życia. W następnych dniach rozpoczęło się normalne życie obozowe, wiele atrakcji i przygód. Pragnę tu podkreślić, że największą wzajemną sympatią u „Zuchów” cieszył się zastęp „Żubrów”. Najbardziej potrafił on rozweselić pozostałych, a najlepszy jego skecz wobec Komendanta Hufca to „Modlitwa do Allaha”. Reasumując, ogniska zawsze cieszyły się powodzeniem, gdyż w nich wykorzystano własne kompozycje i skecze, które m.in. podobały się Komendzie Hufca. Wiele innych atrakcji przeżywano w czasie pobytu na obozie, o których nie będę się rozpisywał. Kończąc ten wątek...

Należy powiedzieć, że harcerstwo z Zakładu cieszyło się wśród mieszkańców dzielnicy Ochoty, wielką popularnością, nawet poza jej granicami.

Nie chciałbym pominąć tutaj siostr Orionistek, które cichą swoją pracą w sferze gospodarczej wiele wkładu swego włożyły, abyśmy nie byli głodni i mieli czystą pościel i odzież. Ich cichą pracę też zaliczam do całokształtu wychowania młodzieży. Zdajemy sobie bowiem z tego sprawę, jak żmudną pracę podejmowały nie narzekając, lecz w skrytości wszystko wykonując, tak aby nikt nie został pokrzywdzony. Ich praca i modlitwa przynosiły również efekty, które zostały na pewno wynagrodzone przez Boga. My jako ci „maleńcy” możemy tylko podziękować i modlić się za nie, które za włożony wysiłek w Zakładzie dały wszystko z siebie.

Nie należy też zapominać o byłym najstarszym wychowanku p. Zygmuncie Sęku - człowieku o nieskazitelnym charakterze, wykonującym swoje obowiązki z sumiennością i pokorą. Jemu zawdzięczamy włożenie dużo pracy przy odbudowie Zakładu. On przecież wziął się za pracę murarską i wykonał ją w taki sposób, że niejeden murarz mógłby nauczyć się od niego, jak należy wykonywać ten zawód. Kierownictwo dużo skorzystało z jego pracy i pomocy. On czuł się współodpowiedzialny za ten Zakład. Wszystko to dawało mu tę pozycję. Jego przywiązanie do „Antonina” było takie, jak do własnego domu. Zmarł w 1954 r. na zawał serca w momencie, kiedy UB odbierało Zakład. Pochowany jest na Cmentarzu Bródnowskim.

Było też wiele innych osób, które położyły wielkie swe zasługi w tym Zakładzie. I o nich będziemy pamiętać tak długo, jak na tym świecie Bóg żyć nam pozwoli. Okres kierowania Zakładem przez ks. dyr. Dąbrowskiego należy uznać za przełomowy w tworzeniu systemu wychowawczego, opartego na większym zaufaniu do wychowanków, którzy dbając o swoją autonomię i statut wychowawczy dali wyraz zadowoleniu i społecznej trosce o opinię Zakładu w społeczeństwie dzielnicy Ochota.

Młodzież była odpowiedzialna za karność wewnętrzną, za wyniki szkolne, za wygląd zewnętrzny (estetykę), pomoc kolegom w nauce i utrzymanie porządku. Dlatego nikt nie wstydzi się, że był wychowankiem „Antonina”. Mieszkańcy Ochoty potrafili ocenić pozytywne wartości wprowadzone do regulaminu Zakładu, a wartościami tymi były - wychowanie dla Kościoła, państwa poprzez patriotyzm narodowy, samodzielność w podejmowaniu decyzji w sprawach kolektynu, a zwłaszcza przygotowanie do samodzielności w życiu osobistym. Także i ten okres działalności należy uznać za nowe czasy nie zastąpione w życiu Zakładu. W tym miejscu należą się pochwały pod adresem wychowawców, którzy pomagali kierownictwu w pracy nad zrealizowaniem zamierzeń i wprowadzeniem metod wychowawczych. Przywołajmy tu w pamięci przynajmniej następujących wychowawców : księży: Kołacińskiego, Batorego, Baraszkiewicza, Kowalczyka, Stanisława Jarnuszewskiego i kl. Guzowskiego.

Ponieważ ks. Dąbrowski 15 maja 1950 r. został powołany przez ks. Prymasa Wyszyńskiego na stanowisko dyrektora Wydziału do Spraw Zakonnych w Episkopacie Polskim, na jego miejsce został mianowany ks. Józef Józefiak, który współpracował z ks. dyr. Dąbrowskim. Ks. Józefiak miał już doświadczenie w pracy z młodzieżą, przyjmując tę zaszczytną funkcję szybko sobie zjednał wychowanków.

W pracy swojej był wspierany przez młodzież i księży współdziałających z nim. Do nich należał: ks. Kołaciński, ks. Jarnuszewski, ks. Bienisiewicz, kl. Guzowski. Mogę tu przytoczyć wspomnienie kolegi Zdzisława Lebedzia, który widzi go trochę inaczej:

„Ks. Józefiak przy swoim bezpośrednim sposobie bycia, a przy tym o bardzo zmiennych nastrojach, raz wymyślał od najgorszych, a za chwilę przygarniał do serca. Miał on niewątpliwy talent do wygłaszania kazań, był niewątpliwie popularnym wychowawcą. Wynika z powyższego, że ks. Józefiak szybko zaskarbił sobie zaufanie wychowanków, co ułatwiło w dobrym nastroju prowadzić bardzo odpowiedzialną pracę kierowniczą”.

Do smutnych przeżyć tego okresu należały częste intrygi ZMP. Pragnął ten Związek ingerować w metody wychowawcze, szczególnie w okresie kiedy odbywał się słynny proces pokazowy ks. bpa Czesława Kaczmarka, ordynariusza kieleckiego.

Zaczął próbować wprowadzić swoje metody wychowawcze zwane stalinizmem, kultem jednostki. Nie bacząc na te ingerencje praca w Zakładzie była tak doskonale ustawiona przez Zarząd, że dawała duże możliwości utrzymania dotychczasowego kierunku samodzielności wśród wychowanków - dla dobra Kościoła i Narodu. Pomimo tych działań, akcja laicyzacji postępowała w szybkim tempie, tym bardziej, że placówki kościelne i zakonne zostały pozbawione wszelkiej podstawy prawnej i nastawione na złośliwe traktowanie przez urzędników państwowych. To zapowiadało szybką likwidację naszych burs i zakładów zakonnych.

Ks. Józefiak zdawał sobie sprawę, że w tej sytuacji nasz dom stanie się pastwą tej polityki. Przez wiele kłopotów musiało przechodzić kierownictwo, co nie mogło nie rzutować na podopiecznych, którzy rozumieli do czego może dojść. Samorząd wszystko robił, aby utrzymać dotychczasowy system działania utrudniając tym, którzy ten system chcieli obalić. Władze starały się utrudniać tym zakładom, które miały bardzo dobre wyniki, działały na rzecz Kościoła i społeczeństwa, samodzielnie decydowały o własnych metodach i nie stosowały laicyzacji i zakłamania. Ten swój nowy system nie tylko próbowały wprowadzić w naszym Zakładzie, ale we wszystkich zakładach prowadzonych przez księży i zakonników.

W tym czasie w naszym Zakładzie wydawano periodyk pt. „Forum Antonińskie”, w którym pisywano o tym wszystkim, co dotyczyło naszego domu i sposobu działania, a nawet przeciwdziałania w stosunku do tych, którzy uważali, że laicyzacja będzie miała większe poparcie niż to jest obecnie. „Forum Antoninckie” miało na celu przede wszystkim przedstawiać wszelką działalność dotyczącą całokształtu pracy samorządowej. W tym poruszało sprawy imprez sportowych, akademii okolicznych, świąt patronackich, podawało do wiadomości sprawy omawiane na zebraniach.

Główne działania „Forum” to utrzymanie ducha wychowania katolickiego i patriotycznego.

Sprawami polityki nie zajmowano się.

Kiedy przypadały jakieś rocznice okolicznościowe, np. : święto patronackie, kościelne, narodowe itp. zapraszano gości - księży i ludzi świeckich.

W świątach patronackich i innych brały udział następujące osobistości: ks. inf. Mystkowski, proboszcz parafii św. Jakuba, lekarze, urzędnicy szkolnictwa, przedstawiciele rodzimych zakładów, byli wychowankowie z żonami i z dziećmi oraz z wnukami. Poza wymienionymi byli: ks kard. Stefan Wyszyński Prymas Polski, ks. abp Zygmunt Choromański, ks. bp Antoni Baraniak, ks. bp Antoni Pawłowski, ponadto zapraszano gen. Świetlika byłego wychowanka Zakładu w Łązniewie, państwa Kargolów, Tulczyńskich, Lenarczyków i wielu innych dobrodziejów naszego domu. Na te wszystkie zgromadzenia nie mogły patrzeć władze i dlatego robiły wszystko, aby utrudniać dotychczasowe działanie zakładów wychowawczych.

Na te spotkania wychowankowie przygotowywali samodzielnie występy artystyczne tak, aby wspólnie spędzano mile te dni uroczyste. Występy wykonywano w sali „muzycznej”, gdzie budowano sceny, a wychowankowie przychodzili odświętnie ubrani. Po częściach oficjalnych urządzano przyjęcia na świeżym powietrzu. Niezapomniane były te wszystkie uroczystości i wspólne występy. Takiej miłej atmosfery, jaka panowała w „Antoninie” do 1954 r., daleko było szukać w innych Zakładach. Przywiązanie do wychowawców i kolegów było szczere i serdeczne. Trudno było czasami orzec, do czego to zmierza. Odpowiedź jest krótka - po prostu staliśmy się jedną rodziną, która dbała o wszystko mając na oku dobro Kościoła i Ojczyzny. W czasach okupacji była to praca bardzo trudna, ale zdobyła wiele dobrych cech, i tych których ona charakteryzowała wyrosli na dobrych ludzi.

Tę dobrą atmosferę zniweczyła tragedia, a mianowicie zajęcie z włamaniem 26 na 27 sierpnia 1954 do Zakładu przez funkcjonariuszy bezpieczeństwa w towarzystwie tajniaków i nowego personelu. Po wielu przetargach z ks. dyr. Józefiakiem, przy groźbach i zastraszeniach, przemocy i bezprawiu stało się zadość. Zakończyła się działalność duchownych w prowadzeniu Zakładu.

Własność ich została odebrana bezprawnie w duchu nienawiści.

Cały dom otoczono, wyłączono telefon, nikt nie mógł wyjść ani wejść. Tak więc dom im. ks. Toporskiego wpadł w ręce reżimu Polski Ludowej: przejęto go całkowicie w stu procentowej gotowości na nowy rok szkolny 1954/1955.

Teraz spójrzmy na rzeczywistość.

W czasie okupacji niemieckiej wyrzucono nas z Zakładu i wywieziono do Niemiec na przymusowe roboty - powód Powstanie Warszawskie. Z tej niewoli wróciliśmy wszyscy razem z zadowoleniem.

Powróciliśmy do Łązniewa, a stąd pieszo do Warszawy, aby samodzielnie odbudować nasz dom. Sami przywróciliśmy go do użytkowania. Nikt z zewnątrz nie pomógł przy odbudowie, władze w tym czasie nie miały na takie cele pieniędzy. Własnymi rękoma pracowaliśmy ciesząc się, że następne pokolenia, którym zabrano najbliższych znajdą tutaj swoje miejsce. Byliśmy pewni, że nikt żadnej krzywdy im nie zrobi.

W czasie, kiedy uzyskaliśmy wolność i niepodległość, nastąpiła nowa niewola. Zabrali nam to, co sami doprowadziliśmy do użytku. Co na ten temat możemy powiedzieć? Powróciliśmy

pod nową okupację, która zabierając nasze dobro próbowała wychować własne pokolenie wychowanków i wpoić im nowy system wartości, a dzieciom laicyzację i wartości bez Boga.

Z aktualnych wtedy wychowanków nikogo nie usunięto, natomiast przyjęto nowych, a personel świecki rozpoczął nowy rozdział dziejów „Antonina”.

Mieliśmy nadzieję, że to nie na długo, że Opatrzność na pewno w krótkim czasie zwróci właścicielom - tj. księżom Orionistom ich Zakład.

Na tym zakończyłbym ten krótki opis. Jeśli coś pominąłem, będzie to efekt zapomnienia pewnych faktów czy epizodów.

Szczególne wyrazy podziękowania należą się ks. dr Bolesławowi Majdakowi za współpracę przy redagowaniu mojego opisu oraz Leszkowi Charewiczowi mistrzowi ujęć fotograficznych za udostępnienie zdjęć do uplastycznienia opisu.

E p i l o g

Niezależnie od wszystkich okoliczności, które doprowadziły do upaństwowienia „Antonina” w Warszawie przy ul. Barskiej 4, nasze kontakty i spotkania będą nadal prowadzone na poziomie dotychczasowym. Poprzez dość długi okres przebywania wśród księży Orionistów, staliśmy się bardzo przywiązani i nie możemy z powyższych powodów zerwać całkowicie kontaktu z tymi, którzy podali nam rękę w tych trudnych czasach i potrafili nas przygotować do samodzielności.

Ponieważ Zakład wszedł w zakres laicyzacji i świeckie osoby wprowadziły nowy styl pracy odsuwając księży, nasze dotychczasowe działanie nie zmieni się w/g przysłowia - „Tam gdzie się każdy wychował miejsce to należy uszanować”. Dlatego nasze spotkania mają swoją rację.

Dla utrzymania dalszych spotkań, pragnę te najważniejsze opisać, które nam zbliżyły wspólne działania.

Do nich zaliczyłbym 1980 rok, który był dla nas radosny ze względu na zbliżający się czas wyniesienia na ołtarze Sługi Bożego ks. Alojzego Orione. Dlatego zwróciliśmy się do ks. abp. Bronisława Dąbrowskiego o umożliwienie wyjazdu do Rzymu, aby w tym czasie podziękować Jemu za pomoc szczęśliwego powrotu z Niemiec, gdzie byliśmy wywiezieni w czasie Powstania Warszawskiego

W październiku br. udaliśmy się z pielgrzymką do Rzymu by uczestniczyć w ceremonii. Część wychowanków, których stać było na pokrycie kosztów mogli być spokojni, natomiast tym, którzy nie mogli zapłacić ks. abp Br.Dąbrowski dopomógł z własnych funduszy z czego ucieszyli się ci biedniejsi.

Pierwszą noc w podróży spędziliśmy w Austrii.

Na drugi dzień udaliśmy się do Rzymu gdzie odbyły się uroczystości związane z beatyfikacją. Uroczystość tę przeżywaliśmy tak, jak byśmy mieli kogoś najbliższego, wrażenia wielkie nie do opisania. Nasz Polak, Papież Jan Paweł II w asyście wielu dostojników Kościoła ogłosił publicznie, że ks. Orione od dnia dzisiejszego staje się Błogosławionym. Entuzjazm wielki na placu rzymskim. Księża Orioniści mają osobę wyniesioną na ołtarze. Tego nie da się opisać. Następnego dnia zostaliśmy przyjęci na terenie Watykanu w sali Klementyńskiej przez Ojca Świętego, do którego mogliśmy osobiście dojść i przeprowadzić krótką rozmowę całując przy tym w pierścień Piotrowy.

Następne dni poświęcone były odwiedzaniem terenów włoskich, byliśmy przyjmowani w majątku księży Orionistów, gdzie nas poczęstowano śniadaniem i włoskim winem, w dalszej kolejności zwiedzaliśmy Wenecję, Pizę i inne tereny. Wycieczki te dały nam wiele wrażeń i zadowolenia.

W drodze powrotnej zatrzymaliśmy się w Austrii, gdzie zwiedziliśmy Wzgórze Modlitwy i Pamiątek Kahlenbeg.

Tutaj pozwolę sobie na krótką historię.

Jest to miejsce historyczne dla nas Polaków, gdzie w drugiej połowie XVII w. Turcy zamierzali zdobyć całą Europę.

Dnia 11 września 1683 r. armia cesarska pod wodzą Karola V, Księcia Lotaryngi zajęła wzgórza Kahlenberg i Leopoldsberg. Karol V i Jan III Sobieski, rozbili tutaj swe kwatery główne.

Noc 12 września król Jan spędził również na Kahlenbergu. Tu o godz. 4 rano napisał list do swej żony Marysienki.

Tutaj przed kopią cudownego obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej o. Marko d'Aviano odprawił Mszę św., podczas której służył osobiście Jan III Sobieski i przyjął wraz z synem Jakubem Komunię św., a po Mszy św. odbył ostatnią przed bitwą naradę wojenną.

Bitwę rozpoczęły oddziały austriackie z Kahlenberga. Następnie do walki wkroczyło centrum złożone z oddziałów niemieckich i prawe skrzydło Wojska Polskiego. Do zniszczenia umocnień tureckich bardzo przydały się polskie armaty.

Turcy stawiali ciężki opór. Stopniowo jednak byli zmuszeni do wycofania się. Główne uderzenie złożone z 20 tys. husarii prowadził sam król Sobieski, kierując się ku głównemu obozowi Kara Mustafy. Turcy wtedy rzucili się do ucieczki. W ręce zwycięzców wpadły bogate łupy, w tym zielony sztandar Mahometa zdobyty przez Polaków. Sztandar ten posłał Sobieski następnego dnia papieżowi z listem zaczynającym się od słów „Veni, vidi, Deus vicit” („Przybyłem, zobaczyłem, Bóg zwyciężył”). Była to aluzja do słów Juliusza Cezara „Veni, vidi, vici”. Po tych wrażeniach wróciliśmy do kraju.

Należy się duża wdzięczność ks. apb Br. Dąbrowskiemu za umożliwienie uczestnictwa w uroczystości beatyfikacji ks. A. Orione i za wiele niespodzianek jakie przeżyliśmy podczas tej pielgrzymki.

Następnym uroczystym spotkaniem była 50-rocznica śmierci ks. Fr. Toporskiego w 1994 r., budowniczego domu sierot w Łązniewie i w Warszawie przy ul. Barskiej.

Pragnę nadmienić, że ks. Prałat najbardziej przywiązany był do „Antonina”, tutaj przeżywał swoje 50-lecie kapłaństwa w lutym 1944 r.

Wkrótce po tych uroczystościach zmarł, a zwłoki jego były na krótko przywiezione do „Antonina”, gdzie odbyła się ceremonia pogrzebowa.

Na 50-lecie istnienia Zakładu w 1951 r. wmurowana została nad głównym wejściem tablica z płaskorzeźbą głowy ks. Prałata, a na 50-lecie śmierci została wmurowana nowa tablica pamiątkowa wewnątrz budynku.

Następnie zorganizowano wystawę z działalności ks. Toporskiego na przestrzeni lat 1905-1939.

Główne uroczystości odbyły się w parafii św. Barbary przy ul. Emilii Plater, gdzie ks. Toporski rozpoczął swą pracę nad ratowaniem dzieci robotniczych, które znalazły się w ciężkim położeniu, czyli był to początek tworzenia małych środowisk opiekuńczych, aż do wybudowania nowego pomieszczenia dla większej ilości sierot w Warszawie przy ul. Barskiej.

Uroczystość rozpoczęto Mszą św., którą celebrował ks. Kard. Józef Glemp - Prymas Polski wraz z ks. abp Bronisławem Dąbrowskim. W tej uroczystości uczestniczyli księża Orioniści na czele z Prowicjałem, jak również byli i obecni wychowankowie z „Antonina” i inni zaproszeni goście oraz parafianie.

Podczas tej Eucharystii jeden z wychowanków przedstawił sylwetkę ks. Toporskiego i zasługi jakie dokonał dla biednych w czasie swego życia. Przedstawiciele byłych wychowanków złożyli wieńce na jego grobie na Powązkach.

Następne spotkanie było zorganizowane z okazji 50-lecia kapłaństwa ks. abp Bronisława Dąbrowskiego.

Uroczystość ta odbyła się w Rokitnie k. Warszawy dnia 10 czerwca 1995 r. w Sanktuarium NMP, rozpoczęta Mszą św. odprawioną przez jubilata wraz z księżmi Orionistami. Przybyli na

tą uroczystość byli wychowankowie z rodzinami i zaproszeni goście. Należałoby tutaj wymienić księży, którzy byli razem wyświęceni na kapłanów w tym czasie, lecz Bóg powołał ich do siebie. Byli to księża : Edmund Dąbrowski, Franciszek Kaczmarczyk i Jan Baraszkiewicz.

Po zakończeniu głównej części oficjalnej, były wspólne przyjęcia i składanie życzeń przez byłych wychowanków i przybyłych gości oraz przedstawicielki różnych zakonów. Bardzo często spotkania miały na celu utrzymania kontaktu z osobami, które współpracowały z naszym Zakładzie.

Były spotkania z okazji świąt Bożego Narodzenia połączone z łamaniem się opłatkiem, jak również w okresie Wielkiego Postu z rekolekcjami i wspólnym dzieleniem się święconką.

Jednocześnie należy podkreślić, spotkania smutne, takie jak pogrzeby tak księży jak i wychowanków.

Do 1996 r. było ich dość sporo, samych wychowanków ponad pięćdziesięciu i nie dużo mniej księży.

Pragnę tutaj choć na niektórych zwrócić uwagę.

Ks. Włodzimierz Michalski długoletni dyrektor „Antonina” od 1939 do 1947 r., który wiele poświęcenia włożył w wychowanie młodzieży. Nie opuścił nas nawet w najbardziej trudnej sytuacji w jakiej się wszyscy znaleźli w czasie okupacji i wywiezienia na przymusowe roboty do Niemiec podczas Powstania Warszawskiego.

Przeżył tam wraz z nami wszystkie upokorzenia ze strony okupantów, jak i po powrocie do Kraju.

Ks. Błażej Marabotto Superior Zgromadzenia ks. Orionistów wiele pracy włożył dla nas będąc w „Antoninie”, przebywając przez cały okres okupacji oraz w Akademiku, na „Zieleniaku” i w Pruszkowie. Jednak uważał, że musi wrócić do swoich jako przełożony i opuszczając zapewnił, że będzie wszystko robił w kierunku uwolnienia nas z niewoli. Zmarł na posterunku swojej pracy w 1947 r.

Ks. Gamcarek i ks. Jan Baraszkiewicz jako byli wychowawcy dbali o nas jak tylko mogli. Byli bardzo lubiani przez wychowanków jak i współbraci zakonnych.

Kl. Bożydar Guzowski - ratując swojego wychowanka nad morzem, poświęcił własne życie. Był bardzo lubiany, lubiany zawsze kiedy potrzeba było coś załatwić, wszystko robił, aby osoba była zadowolona z jego pomocy. Był bardzo skromny i miał wiele zasług.

Jeżeli chodzi o byłych wychowanków, bardzo dużo ich było związanych z „Antoninem.” Zawsze uczestniczyli w spotkaniach koleżeńskich. Pracowali sumiennie na swoich posterunkach, nie wstydząc się, że byli w Zakładzie prowadzonym przez księży Orionistów. Przykładem swoim pokazali, że byli solidnie przygotowani do życia samodzielnego, niektórzy zajmowali później wysokie stanowiska państwowe.

Kończąc te krótkie wspomnienia, mam nadzieję, że będziemy realizować wszystkie spotkania do czasu, jak długo nam Bóg pozwoli. Niech nowe pokolenie przejmie tą pałeczkę, aby na naszych wspomnieniach nie zakończyć, lecz tworzyć nową historię „Antonina”.

Relacja spisana w 1996 roku.

Kazimierz Adamowicz

Małe Dzieło Boskiej Opatrzności. Cicha Przystań

Niesiony na wzburzonych falach wojennego czasu, w zagrożeniu życia, często w chłodzie, głodzie, pragnieniu i poniewierce, znalazłem na krótki czas mojego wędrowania Cichą Przystań - Dom Czcigodnego Zgromadzenia Księży Orionistów w Warszawie przy ul. Barskiej 4.

Chociaż minęło już ponad czterdzieści lat, gdy opuściłem to szacowne miejsce, to jednak pobyt tam wywarł tak wielki wpływ na moje życie, że do dzisiaj z serdeczną miłością wspominam czas tam spędzony. Zachowałem także miłą pamięć o dobrych księżach wychowawcach, którzy mnie bezdomnemu okazali tak wiele serca i przychylności.

W bagażu mojej przeszłości wyniosłem działalność konspiracyjną, więzienie niemieckie, uczestnictwo w walkach o nasze Kresy Wschodnie, poniewierkę w Związku Sowieckim, rodzinę i dom oderwane od Ojczyzny. Opatrzność Boża pozwoliła mi znaleźć tu na Barskiej Dom i Przyjaciół serdecznych w postaci księży wychowawców i w gronie dobrych kolegów.

Trudno jest pisać wspomnienia po tylu latach, wiele szczegółów zatarło się już w pamięci i nie wszystko jasno i dokładnie da się dzisiaj odtworzyć, ale to, co pozostało przenoszę na te kartki „aby czas nie zatarł i niepamięć”.

Gdy ucichły wojenne salwy byłem trzymany w sowieckich lasach za Moskwą wraz z kilkoma tysiącami żołnierzy AK ze zgrupowań Obszaru Wileńskiego i Nowogródzkiego. Zostaliśmy zwolnieni dopiero w połowie stycznia 1946 roku.

W wagonach bydłowych, po dwudniowej podróży, pociąg zatrzymał się na stacji Biała Podlaska. Konwój sowiecki opuścił niepostrzeżenie nasz transport. Była noc. Przy transporcie pojawili się żołnierze polscy z jednostek KBW. Tak więc wydawało nam się, że nowa „ochrona” przejmuje nas w swoje władanie. Były to jednak tylko pozory. Puszczono nas po kilku dniach wydając zaświadczenia o zwolnieniu i tak mogliśmy się udać w dowolnie wybranym kierunku.

Stanąłem na rozdrożu. Młody wiek, brak doświadczeń samodzielnego bytu, chore kolano i najbliżsi za kordonem. Rozpoczynałem nowy etap w moim życiu. Gdyby nie schorzenie wyniesione z sowieckiego „raju” znalazłbym się prawdopodobnie w jednym z wielu działających jeszcze wówczas oddziałów partyzanckich, ale Opatrzność Boża wybrała inną drogę. Po krótkim pobycie w szpitalu w Białej Podlaskiej przybyłem do Warszawy.

A Warszawa cię przyjmie, czy przyjdiesz do niej schorowany i obdarty, czy przyjdiesz boso, czy w butach na drewnianej podeszwie, Warszawa się nie zmieniła, Warszawa została ta sama. Tak deklamował kolega na nieludzkiej ziemi. I ta Warszawa mnie przyjęła, mnie bezdomnego, Warszawa morza gruzów, Warszawa pełna grobów na placach i podwórzach, Warszawa biedy i niedostatku. Ale była to Warszawa, która potrafiła wszystkim się dzielić, Warszawa współczująca niedoli. Znalazłem tu otwarte serca, znalazłem pomoc w każdej potrzebie. Umarłe miasto już żyło.

Działy organizacje charytatywne, instytucje opiekuńcze, szpitale i ambulatoria, w kościołach sprawowana była Najświętsza Ofiara. Warszawa powstawała do życia w każdym możliwym zakątku.

Już od pierwszych chwil mojego przyjazdu spotkałem życzliwe serca. Lekarze i siostry udzielali mi pomocy medycznej przez wiele miesięcy, a gdy zdrowie powróciło nieco do normy zostałem przyjęty na naukę do Liceum Pedagogicznego. Jakże wiele zawdzięczam moim nauczycielom z tej szkoły ! Właściwie całą moją materialną egzystencję zawdzięczam dyrektorce Liceum p. Wandzie Dzierzbickiej - wielkiemu, doświadczonemu pedagogowi.

Zanim jednak rozpocząłem naukę, to Opatrzności Bożej zawdzięczam, że od pierwszych dni pobytu w Warszawie zostałem związany z instytucjami kościelnymi. Już pierwszą noc spędziłem pod dachem Sióstr Szarytek na Krakowskim Przedmieściu, a dalsze sześć miesięcy przebywałem w Domu Sióstr Felicjanek na ul. 6-go Sierpnia. Tam w części gmachu był Dom Noclegowy PCK, który obsługiwały Siostry prowadząc kuchnię i udzielając pomocy medycznej. Ze względu na stan zdrowia byłem umieszczony w Izbie Chorych i w związku z przedłużającym się pobytem spotkałem miłych, poważnych księży z nieznanego mi Zgromadzenia Księża Orionistów.

Z tego okresu zapamiętałem szczególnie jednego księdza smukłej budowy o poważnym obliczu, ale zawsze z uśmiechem i o czarnych falujących włosach. Ta twarz dobrotliwa towarzyszyła mi później w pamięci, choć na pewien czas straciłem ją z oczu.

Przywiązany do miejsca przez moje niedołęstwo obserwowałem ze smutkiem, jak moi koledzy zatrzymywali się na krótko pod gościnnym dachem sióstr i wędrowali dalej w poszukiwaniu nowego domu, a ja musiałem pozostawać nadal w Warszawie. Zazdrościłem im tej swobodnej wędrowki, możliwości zwiedzania ciekawych miejsc, szerokiej przestrzeni, a ja wciąż na miejscu. Widocznie jednak taka była wola Boża.

I tak więc kotwica zarzucona z konieczności związała mnie całym sercem z Warszawą na całe życie. Tu nawiązałem pierwsze serdeczne kontakty, tu rozpocząłem naukę, tu otrzymałem schronienie u Sióstr Urszulanek w Milanówku i stamtąd moja życiowa łódeczka dopłynęła na ul. Barską 4 w Warszawie.

Nie wiem, czy spełniłem pragnienia mojej matki, ale w moim samodzielnym życiu starałem się postępować godnie, aby w ten sposób sprawić jej radość. Dzisiaj myślę, że jej modlitwy sprawiły, iż moje życie popłynęło takim, a nie innym szlakiem. W duszy mojej starałem się być wiernym Bogu, a sługi Jego uważać za moich najlepszych przyjaciół. Opatrzności Bożej zawdzięczam, że życie moje bezdomnego partyzanta AK, więźnia politycznego i łagiernika toczyło się wśród ludzi życzliwych i którym z całą ufnością powierzyłem swój los. Tak też ten właśnie los Miłosierdzia Bożego dał mi szczęście stać się synem Małego Dzieła Boskiej Opatrzności Księdza Alojzego Orione.

Dzięki życzliwości przyjaznych serc, których tak wiele na mojej drodze spotkałem, zostałem przyjęty do Zakładu Księży Orionistów w Warszawie przy ul. Barskiej 4.

W mojej sprawie wystąpiła przezacna pani Kargolowa oraz Liceum Pedagogiczne. Panią Kargolową poznałem jeszcze w 1946 roku podczas pobytu u Sióstr Felicjanek i z rodziną tej Pani utrzymywałem kontakty przez bardzo długi czas. Tak więc, gdy moja sprawa była omawiana z księdzem dyrektorem Bronisławem Dąbrowskim ciekawie rozglądałem się dookoła.

Rozległy czerwony gmach tworzący jakby jedną stylową całość z kościołem św. Jakuba, przy nim ogród ze strzelistymi świerkami, kasztanami i licznymi krzewami, dwa boiska do siatkówki i koszykówki, wszystko to otoczone z trzech stron murem parkanem, a od kościoła drucianą siatką. Wewnątrz kaplica z Najświętszym Sakramentem i figurą świętego Antoniego, rozległe przestronne sypialnie, sale do nauki, świetlica z „Forum Antonińskim”, sala gimnastyczna, kancelaria i pokoje księży wychowawców, a na dole jadalnia.

Pomimo tak dużej grupy przebywającej młodzieży wszędzie widać było wzorową czystość.

Po kilkunastominutowej rozmowie moich pań protektorek (pani Kargolowa i sekretarka Liceum) z księdzem dyrektorem zostałem przyjęty jako jeden z wielu mieszkańców Domu. Poza rolę wychowanka miałem, jako przyszły nauczyciel, wspomagać księdza Józefa Józefiaka w opiece nad najmłodszą grupą chłopców. Młody ksiądz dyrektor przyjął mnie bardzo serdecznie życząc dobrego samopoczucia, a także przyjaźni kolegów w „Rzeczypospolitej Antonińskiej”. Po dwóch dniach od tego momentu zainstalowałem się w sypialni na drugim piętrze wśród gwarnej gromady chłopaków rozpoczynając egzystencję w nowym środowisku.

Dziś wydaje mi się, że nie miałem wielkiego wpływu na młodzież. Była to grupa już ze sobą zżyta, ja zaś przybywałem zupełnie nowy. Przechodziłem też proces adaptacji, z którym zawsze miałem duże problemy, toteż moje oddziaływanie wychowawcze miało raczej niewielki skutek. Czy ksiądz Józef był ze mnie zadowolony to trudno mi jest określić, ale też ja powoli wrastałem w to nowe środowisko stając się jego zwartą częścią. Poznawałem regulamin Domu, obyczaje i zwartą brać koleżeńską.

Każdy dzień rozpoczynał się modlitwą. Ksiądz Józef wkraczał rano do sypialni i swoim wysokim głosem wypowiadał słowa Modlitwy Pańskiej, którą podchwytywali wszyscy zrywając się z głębokiego snu. Rozpoczynała się poranna krzątania, mycie, ubieranie, sianie łóżek, porządkowanie sali. A ksiądz Józef spoglądał na śpieszących się chłopaków, uśmiechał się,

czasem zwrócił uwagę, ojcowskim serdecznym wzrokiem obejmował całą salę pilnując, aby wszystko pozostało uporządkowane.

Dobry to był wychowawca. Nigdy nie widziałem, aby kogokolwiek karcił, chociaż powody bywały, a rozbijający uśmiech jednał serca wszystkich wychowanków. Powoli gwar w sypialniach ustawał, wszyscy gromadzili się w jadalni, aby po posiłku udać się do swoich szkół. Każdy posiłek zaczynał się i kończył modlitwą. Obiad odbywał się sukcesywnie, zależnie od powrotu z zajęć szkolnych, a w godzinach popołudniowych następowało odrabianie lekcji oraz różne rozrywki. Po kolacji odbywała się wspólna modlitwa w kaplicy, a o godz. 22.00 Dom obejmowała ogólna cisza. Sprawiedliwy sen rozpoczynał swoje królowanie.

Poznając zwyczaje Domu oraz młodszych i starszych kolegów zżywałem się z tą atmosferą, którą z serdeczną życzliwością tworzył ksiądz dyrektor i księża wychowawcy stwarzając miłe ciepło, prawie rodzinnego domu.

Szczególną dobrocią i sercem darzył nas ksiądz dyrektor, zawsze zatroskany o swoich podopiecznych i sprawy Domu, na który z wolna nasuwały się ciemne chmury. Częste kontrole władz oświatowych poszukujących różnorakich uchybień zakłócały spokój i normalny tok pracy. W takich chwilach wspomagali księdza dyrektora starsi wychowawcy tworzący samorząd wychowawców, którego przewodniczącym był Zdzisław Lebieź.

Po władzach komunistycznych można było oczekiwać wszelkich prowokacji, np. typu Pawki Morozowa, i dlatego wyczuwaliśmy u wychowawców i księdza dyrektora duże wewnętrzne napięcie.

W jednym z kazań ksiądz dyrektor użył słów Juliusza Cezara podczas zamachu : „Et tu Brute contra me ? I upuścił miecz wielki Cezar, bo podłość wychowanka odebrała mu wolę obrony. A czy wśród nas, w tych ciemnych czasach, nie znajdzie się współczesny Brutus ?”.

Mając dość bogate doświadczenia z mojej przeszłości rozumiałem wiele analogii. Zdawałem sobie doskonale sprawę z groźby, jaką przyniosła do Polski ideologia bolszewicka. Mając kontakt listowy z rodziną na Kresach, przeżywałem bardzo skazanie mojej siostry na karę śmierci, zamienioną na 25 lat łagrów w Kazachstanie. Gospodarstwa rolne zagarnięto do kolchozu i rodzina stanęła na pograniczu nędzy. Prawie wszystkie kościoły pozbawiono księży skazując ich na wieloletnie więzienia i łagry. Wiele rodzin kresowych wywożono na poniewierkę w bezkresnych obszarach nieludzkiej ziemi. NKWD szalało wykonując zbrodnicze polecenia. Ludność polska przeżywała czarny czas ucisku i dyskryminacji tylko dlatego, że pragnęła zachować swoją wiarę i wierność narodowi. Czy więc i tu także będą działać równie potworne zbrojeckie prawa ? Tak myślałem i modliłem się w duchu, aby Bóg Wszechmogący zachował nas od wszystkiego złego, ziemi oderwane zjednoczył i uwolnił rodaków od okrutnego ucisku oraz zesłał pokój na umęczoną Ojczyznę.

Tymczasem życie toczyło się w Domu normalnym trybem. Przemili czcigodni księża otaczali nas swoją opieką mając zawsze dobre słowo dla nas i życzliwy uśmiech. Zaraz na początku rozpoznałem księdza Stefana Batorego z okresu mego pobytu u Sióstr Felicjanek, a który prowadził tam dla nas nauki rekolekcyjne oraz odprawiał niedzielne Msze Święte. W tamtym też czasie byłem kilkakrotnie na ul. Barskiej, bowiem w salach Zakładu były prowadzone kursy samochodowe przez inż. Prylińskiego. Nauki niestety nie ukończyłem ze względu na wysięk w kolanie i jego unieruchomienie powtarzane trzykrotnie, łącznie z dokonywaniem punkcji. Tak więc mój kontakt z Domem Oriońskim rozpoczął się wkrótce po przybyciu do Warszawy.

Z księżmi wychowawcami nawiązałem serdeczną więź. Na ich też prośbę chodziłem do szkół na wywiadówki lub w innych sprawach dotyczących młodszych kolegów. W moich wspomnieniach pragnę wymienić jeszcze księdza Kołacińskiego, księdza Jarnuszewskiego, księdza Misia, księdza Tomsika, księdza Baraszkiewicza. O każdym z księży można by napisać bardzo wiele, wszyscy bowiem wkładali w to Małe Dzieło swoje serce, czas i energię oraz nie

szczędzili wysiłku, aby Dom funkcjonował sprawnie, był należycie utrzymany, a wewnątrz i na terenie panował ład i porządek. Temu działaniu całego zespołu patronował z nieba i z portretu założyciel i opiekun potrzebujących ksiądz Alojzy Orione.

Spośród osób stanowiących rodzinę Domu Orińskiego były Siostry Orionistki. Swoją mrówczą pracą w kuchni zapewniały one smaczne i dobre posiłki w należytej obfitości, a podawane zawsze w określonej porze dnia. Wspominam o tym, gdyż po przeżyciach więziennych i sowieckich „pajkach” wyniosłem doświadczenie udręki głodu i pragnienia, które pozostają mi w pamięci do dzisiaj. Tak więc stąd, ja bezdomny tułacz zachowałem głęboką wdzięczność tym wszystkim, którzy w trudnym dla mnie okresie okazali serce i miłość wspierając z życzliwością w tej mojej drodze życia.

Do grona starszych kolegów zostałem przyjęty bardzo serdecznie. Znalazłem tam naszą brać kresową w osobach Zdziśka Lebedzia, Janka Nowogrodzkiego i Romka Paprockiego. Wędrowali oni inną drogą pod skrzydła Księży Orionistów i chociaż nie znaleźliśmy się wcześniej, to jednak regionalne więzi zawsze wytwarzają jakąś spójnię, która powstawała także ze znajomości wydarzeń, przeżyć i wspólnego losu. Do kręgu bliskich mi kolegów zaliczam także Janka Tunickiego, Stacha Topolskiego, Jurka Ryżkowskiego i wielu innych. Janka Tunickiego wspomagałem, w pewnym okresie, w nauce języka polskiego.

Tak więc wrastałem w środowisko antonińskie i czułem się w nim z każdym dniem coraz lepiej.

Wśród osób związanych na stałe z Domem był cichy i spokojny Pan Zygmunt Sęk. Można było Go spotkać często zatopionego na modlitwie w kaplicy lub odmawiającego różaniec podczas spacerów. W ciągu dnia krążył często po terenie spoglądając dobrotliwym okiem na rozbrykaną młodzież i muszę przyznać, że w jego obecności chłopcy nie odważyli się na większe psoty. Był to najstarszy wychowanek, chodząca historia Domu i jego założyciela księdza Franciszka Toporskiego.

Innym pracownikiem Zakładu był Pan Kwoczka, uczestnik wojny polsko-bolszewickiej. Jako osadnik gospodarował na Wołyniu, a po wkroczeniu tam bolszewików w 1939 roku podzielił los wielu polskich rodzin. Po przebyciu sybirskiej katorgi powrócił sam i związał swój byt z „Antoninem”, a ponieważ posiadał umiejętności szewskie naprawiał chłopcom buty w istniejącym warsztaciku. Nasze drogi po nieludzkiej ziemi zbliżyły nas i często wspominaliśmy o tym w wolnych chwilach. Także wśród kolegów było paru sybiraków, towarzyszy niedoli - Edek d'Erceville i Rysiek Hermanowicz. Tak więc w tej Antonińskiej Rodzinie tworzyła się uczuciowa więź wspólnych losów.

Życie wśród gwarnej i beztroskiej młodzieży płynęło radośnie i wesoło, a była to radość ze świadomości, że koszmar wojny pozostał za nami. Sądzę, że większość tej młodzieży nie zdawała sobie sprawy z niebezpieczeństw i zagrożeń jakie dla niej płyną od ustroju wniesionego na bagnietach sowieckich.

Pozornie wszystko układało się dobrze. Od czasu do czasu zjawiał się z wizytą były wychowanek Zakładu gen. Świetlik, przysyłał nawet filmy, ale to nie zmieniało sytuacji. Im bardziej system się umacniał, to zwiększała się ilość kontroli, aby wreszcie odebrać księżom Dom i pozbawić ich wpływu na wychowanie młodzieży.

W październiku 1948 roku zmarł Kardynał Hlond Prymas Polski. Kraj pogrzyżył się w żałobie boleśnie odczuwając tę stratę. Z ruin stolicy wędrowały pielgrzymki, aby złożyć ostatni hołd Wielkiemu Polakowi. My także udaliśmy się z księdzem dyrektorem i tam posuwając się w długiej kolejce modliliśmy się w duszy o dar Światłości Wiekuistej dla Księży Prymasa, a przechodząc obok trumny ze czcią całowaliśmy Jego stopy. W dniu pogrzebu przybyły do Warszawy delegacje z całej Polski. Kondukt pogrzebowy przemierzał szlak od szpitala do ruin Warszawskiej Katedry, a w nim my, wychowankowie Księży Orionistów.

Pierwszy dzwon żałobny rozdzwonił się z ocalałej wieży kościoła św. Michała, a jego echo długo niosło się nad milczącym pochodem. Wzdłuż trasy wypalone oczodoły domów ze smutkiem spoglądały na idącą Polskę za trumną swego Prymasa.

Idąc w szeregu z „Antonińską” bracią niosłem wieniec w kształcie lilijki. Byliśmy ubrani w czarne mundury i jako zwarta grupa budziliśmy ogólne zainteresowanie. Kondukt powoli zbliżał się do celu, jeszcze żałośnie odezwała się sygnaturka Sióstr Wizytek i wkrótce stanęliśmy wśród gruzów Starego Miasta i zwalisk zburzonej Katedry. Tam w ruinach świątyni spoczęło ciało Księdza Prymasa. Wśród wielu wieńców i kwiatów od całego narodu okrył skromny grobowiec i nasz „Antoniński” wieniec. Ze smutkiem rozchodziły się tłumy wiernych niosąc w sercu troskę o losy Kościoła, Ojczyzny i Narodu.

Czas płynął szybko. Byliśmy zajęci zdobywaniem wiedzy i nie spostrzegliśmy jak z woli Ojca Świętego Kościół Polski otrzymał nowego Prymasa - Księdza Stefana Wyszyńskiego. Dla Kościoła w Polsce rozpoczynał się najtrudniejszy czas, a w katowniach UB mordowano najlepszych synów Ojczyzny. Wielu tych, którzy przez całą wojnę prowadzili walkę zbrojną, zostało straconych lub skazanych na wieloletnie więzienie. Ja także nie czułem się bezpiecznie ze swoją przeszłością. Uważałem jednak, że naukę należy kontynuować dokąd to będzie możliwe.

W tych trudnych czasach pobyt na Barskiej był bardzo miły. Wszyscy Księża Wychowawcy nadzwyczaj serdeczni, a koledzy uczynni i szczerzy, zawsze chętni do pomocy. Całodzienne zajęcia wypełniały czas, a jeżeli były wolne chwile można było pograć w siatkówkę lub koszykówkę na istniejących boiskach, a w zimie na sali w ping-ponga. W siatkówkę grywali także bardzo chętnie, razem z nami, i księża wychowawcy. Podczas takich zajęć na dworze mieszkańcy okolicznych domów przyglądali się ciekawie naszym rozgrywkom, a koledzy zawzięcie kibicowali z istniejących trybun. Tak więc to nasze życie w licznym gronie chłopców było ciekawe i urozmaicone, trzeba dodać, że był jeszcze prowadzony chór, a na małej scenie można było zorganizować również ciekawe przedstawienia.

Święta Bożego Narodzenia - to bardzo wielkie przeżycie. Od kolebki nasiakaliśmy tym pradawnym polskim obyczajem. Najpierw wsłuchiwalismy się w ten uroczysty czas oczekiwania, w czas roratnich nabożeństw adwentowych, tych skrzących się od świecidełek witryn sklepowych i choinek wkraczających do naszych domów. Najważniejszym elementem obyczaju była jednak Wigilia.

Chojnka rozjarzona światłem płonących świeczek napełniała swoją wonią cały dom. Stół zasłany sianem, nie drobna garsteczka, ale całe brzemię przykryte białym obrusem, a na nim białe opłatek i zestaw potraw wigilijnych. Jakże trudno było oderwać się od tej domowej atmosfery, kręgu najbliższych, kolęd śpiewanych w rodzinnym gronie. Serce ścisłał żal za utraconą przeszłością. Nie mogłem pozostać na Barskiej i pojechałem szukać namiastki rodziny u dalekich krewnych.

Karnawał w „Antoninie” charakteryzował się innym nastrojem młodzieży. Na świetlicy stał duży gramofon z tubą, z którego płynęły taneczne melodie, przy których chłopcy rozwijali swoje umiejętności tańca. Sztuka ta była w tym okresie niemal koniecznością. Z internatów żeńskich, prowadzonych przez siostry zakonne, przychodziły zaproszenia na zabawy karnawałowe. Byliśmy więc w Milanówku u Sióstr Józefinek i u moich dobrych Sióstr Urszulanek oraz na Starym Mieście. „Antoniacy” potrafili się bawić, byli weseli, szarmancy, dobrze tańczyli i ujmę swemu Domowi nie przynosili. Umieeli też ładnie zaśpiewać czy odegrać jakąś wesołą scenkę. Nasza starsza grupa była też zapraszana na prywatki, gdzie wesoło i z humorem spędzaliśmy czas, ale o określonej porze wracaliśmy, aby nie budzić Domu zbyt późnym powrotem. Księża wychowawcy nie sprzeciwiali się takim wyprawom i darzyli nas pełnym zaufaniem, wszak byliśmy przecież dorośli, to tylko wojna zabrała nam lata przeznaczone normalnie na naukę.

Nie będę zatrzymywał się dłużej nad okresem Wielkiego Postu i Wielkanocy. Czas upływał na intensywnej nauce, a rozkład dnia nie ulegał zmianie. Byliśmy w tej luksusowej sytuacji, że ojcowie wychowawcy zapewniali nam wszelką posługę duszpasterską od porannej modlitwy do wieczornej, przez niedzielne Msze Święte, rekolekcje i spowiedź.

Dziś, po tylu latach, trudno jest przypomnieć treść głoszonych nauk, ale jeżeli nie jesteśmy zawadą dla ludzi i bliskich, jeżeli pozostajemy wierni Bogu, Kościołowi i jego kapłanom, to oprócz wpływu naszych pobożnych matek, jest to zasługa czcigodnych dobrych księży wychowawców.

Na Święto Zmartwychwstania wykonałem z Edkiem d’Ercevillem grób w Kaplicy. Na skalnym wzgórzu stały trzy krzyże, ten trzeci przełamany symbolizował bluźniącego łotra. Wydaje się, że był ładny jak na nasze artystyczne możliwości. Może wtedy ktoś zrobił zdjęcie, przydałoby się przypomnieć, wszak jakieś małe punkciki, jakiś drobny ślad pozostawiało się po sobie.

Bardzo źle znoszę wszelkie zmiany. Łatwiej się żyje i działa w ustalonych już schematach, tymczasem władze szkolne zdecydowały się na zamknięcie mego Liceum mającego już bogatą historię i tradycję sięgającą czasów sprzed pierwszej wojny światowej. Ciężko przychodziło mi żegnać moich dobrych nauczycieli, którym tak wiele zawdzięczałem.

Ze strony Samorządu Szkolnego zorganizowaliśmy delegację, wystosowaliśmy petycję z prośbą o anulowanie decyzji, niestety starania nasze nie odniosły skutku i koniec roku szkolnego 1948/1949 zakończył się pożegnaniem szkoły, jak i nauczycieli - wspaniałych pedagogów przedwojennej kadry.

Z żalem rozstawaliśmy się z instytucją, która znikła z plejady dobrych warszawskich szkół. Ostatni rok nauki miałem rozpocząć w Liceum Pedagogicznym przy ul. Otwockiej, zaś wakacje letnie przepracowałem na koloniach letnich w Michalinie jako wychowawca dzieci ze szkoły podstawowej przy ul. Brzeskiej.

Rok szkolny rozpocząłem w nowej szkole. Należało zapoznać się z nowymi nauczycielami i z ich sposobem nauczania oraz z nowymi kolegami i ich widzeniem rozgrywającej się rzeczywistości. Opory przystosowawcze miałem bardzo duże. Różnice wychowawcze i dydaktyczne między obu szkołami były zasadnicze. Został przede wszystkim zwiększony nacisk ideologii komunistycznej, religia stała się przedmiotem nadobowiązkowym, a dyrektor serwował nam idee pedagogiczne i światopoglądowe materialisty Spassowskiego - patrona szkoły.

Młodzież licealna zrzeszona w ZMP bałwochwalczo uwielbiała Stalina zawieszając jego portret i sowiecką gwiazdę na naczelnym miejscu świetlicy, a lekcję religii ostentacyjnie opuszczała. Nie mogąc tego znieść poważnie myślałem o zmianie szkoły, jednak po zastanowieniu się zamiar ten porzuciłem.

A w Domu Antonińskim też zaistniały przemiany. Zaprzeszał pełnić funkcje dyrektorskie dobry i poważny Ksiądz Bronisław, został bowiem powołany przez Księdza Prymasa na stanowisko Dyrektora Spraw Zakonnych w Sekretariacie Episkopatu.

Tak więc opuszczał stanowisko drogi Ksiądz, który wyciągnął życzliwą dłoń przyjmując mnie serdecznie do grona swoich wychowanków. Mimo zmiany miejsca pracy, to nie rozstawał się z nami na zawsze, pozostał stałym mieszkańcem, chociaż dla młodzieży Antonińskiej miał coraz mniej czasu. Dyrektorstwo tymczasem obejmował ksiądz Józef Józefiak. Zmiany w kierowaniu Domem nie były tak odczuwalne, jak miało to miejsce ze szkołą.

Aby zmniejszyć moje stresowe udręki postanowiłem poświęcić nieco więcej czasu dla dobra Domu i koleżeńskiej braci. Zaproponowałem więc księdzu dyrektorowi i kolegom z Samorządu zorganizowanie wieczornicy poświęconej twórczości Adama Mickiewicza. Dyrektor i koledzy przyjęli moją propozycję z zapalem. Wybrałem więc odpowiednie teksty z dzieł wieszczą, a które przemawiały i do mojej psychiki i do przeżyć minionego i aktualnego czasu. Jakże mocno poruszały nerwy drgnień sercowych słowa Inwokacji „*Litwo, ojczyzno moja, ty jesteś jak zdrowie...*” czy „*Panno Święta, co Jasnej bronisz Częstochowy i w Ostrej świecisz Bramie...*”.

A dalej Koncert nad koncertami Jankiela z podkładem muzycznym, czy polonez i „*patrzcie, patrzcie młodzi, to może ostatni, co tak poloneza wodzi...*”.

Odegranie scen z „Dziadów” z „Panem” w kaplicy i opowiadanie Jana o odprawie kibitek na Sybir oraz Wielka Improwizacja poruszało serca.

Z innych utworów wybrałem „Świtez”, „Redutę Orдона” i parę innych, których tytuły uciekły mi dzisiaj z pamięci. Ze strony księdza dyrektora i księży wychowawców nie miałem żadnych zastrzeżeń co do charakteru i treści dobranych utworów.

Moją przewodnią myślą było rozniecać w młodych sercach miłość Ojczyzny i wolę poświęcenia dla niej, aż do ofiary życia.

Prace nad przygotowaniem występu trwały kilka tygodni. Przygotowałem słowo wiążące i w rocznicę śmierci Adama Mickiewicza wystawiliśmy nasz spektakl. Przybyło trochę zaproszonych gości, wszyscy księża wychowawcy i pracownicy Domu oraz bracia koleżeńska, z trudem mieszcząca się w sali.

Do dzisiaj widzę, z pozycji konferansjera, jak wielka była cisza na sali, wszyscy chłonili treści płynące ze sceny, a każdy utwór nagradzały rześiste brawa. Rolę „Pana” w kaplicy przy trumnie wspaniale wykonał Józio Koralewski, on też deklamował „Ostatniego poloneza”, ja wykonałem „Opowiadanie Jana” i „Redutę Orдона”, Romek Paprocki wykonał „Koncert Jankiela” i wiersz „Do matki Polki”, a innych wykonawców dzisiaj już nie przypominam sobie, jedynie jeszcze wykonawcę podkładu muzycznego - Witkowskiego.

Występ trwał około półtorej godziny, a za wykonanie otrzymaliśmy duże brawa i gratulacje. Przygotowanie tych występów pochłonęło mi dużo czasu. Najpierw przygotowanie poszczególnych utworów, zestawienie ich w jedną wspólną całość oraz przygotowanie sceny. Nie żałowałem jednak mego zaangażowania w ten spektakl, bowiem zawarłem w nim i moje własne odczucia. Z tym występem byliśmy jeszcze przyjmowani w Domu Księża Orionistów we Włocławku, gdzie Siostry Orionistki prowadziły internat dla dziewcząt.

W obecności księdza Ordynariusza powtórzyliśmy nasz występ, a dodatkową atrakcją stało się runięcie kurtyny podczas odgrywania sceny przy trumnie w kaplicy, ale Józio Koralewski i uczestnicy tego wydarzenia bez tremy wykonali swoje role.

Po zakończeniu, w serdecznych słowach, podziękował nam ksiądz biskup, a podopieczne sióstr nagrodziły nas obfitymi brawami.

To moje zaangażowanie dla naszego Domu zostało docenione przez księdza dyrektora i księży wychowawców, wprawdzie obniżyło ono moje osiągnięcia w nauce, ale i bez tego na skutek ideologicznych nacisków było mi trudno spokojnie kontynuować naukę. Pomimo tego miałem w projekcie przygotowanie podobnej uroczystości opartej o twórczość Juliusza Słowackiego. Dobierałem odpowiednie utwory i ich wykonawców, tego jednak pomysłu nie zdołałem już zrealizować.

Ze względu na wielokrotnie powtarzane przez dyrektora liceum slogany, że nieprawomyślni matury nie otrzymają, nie przejdą „jak słoń przez ucho igielne”, skorzystałem z okazji i przystąpiłem do wcześniejszego egzaminu maturalnego w Mławie.

Kuratorium zebrało tam kandydatów na nauczycieli języka rosyjskiego i po zdaniu egzaminów maturalnych skierowało na specjalny kurs do Poznania.

Przez moje kontakty z Rosjanami znałem ten język bardzo dobrze, a przez czteroletni okres zdobywałem znajomość gramatyki i literatury rosyjskiej na lekcjach nadobowiązkowych.

Z Mławy powróciłem ze świadectwem maturalnym w kieszeni. Wyniki wpisane na świadectwie mogę uważać za dobre, chociaż wszystkie świadectwa wcześniejsze były znacznie lepsze. Przykro mi było rozstawać się z Domem, w którym zdążyłem zapuścić już korzenie, ale każdy dzień życia stawia człowiekowi coraz to nowe problemy i trzeba je było ciągle rozwiązywać. Ksiądz dyrektor i księża wychowawcy gratulowali mi zdobycia matury, a na „Forum Antonińskim” znalazło się serdeczne pożegnanie.

Żegnając serdecznie moich dobrych księży wychowawców i całą bractwo Antonińską udałem się 1 marca do Poznania.

Ukończyłem tam półroczny kurs z wynikiem bardzo dobrym, dającym mi prawo do nauczania języka rosyjskiego w szkołach średnich oraz prawo złożenia egzaminu uproszczonego na uniwersytecie równoważnego z ukończeniem fakultetu języka rosyjskiego. Tak więc zaczynałem dalej żyć na własny rachunek.

Mimo zmian w mojej egzystencji nie zerwałem łączności z Domem na Barskiej. Za każdym pobycem byłem serdecznie przyjmowany. W każdej trudnej sytuacji znajdowałem tam oparcie i pomoc. Ksiądz dyrektor Bronisław Dąbrowski błogosławił mój związek małżeński z koleżanką szkolną Marynią, a gdy miałem trudności finansowe otrzymałem potrzebną mi pożyczkę w pełnym zaufaniu i bez żadnych poręczeń.

Smutkiem i goryczą napełniał nas fakt, że władze komunistyczne odebrały księżom nasz Dom, na nasze zaś miejsce umieściły chłopców z poprawczaka. Ale były też i radosne chwile, bowiem ojciec Bronisław Dąbrowski otrzymał sakrę biskupią. Cieszyliśmy się bardzo, że nasz dobry wychowawca otrzymał tak wielkie wyróżnienie.

Dziś z rozrzewnieniem wspominam te przeszłe dzieje. Z młodszej czupryny pozostały resztki, a czarny kolor zamienił się w srebro. Dorosłe córki ukończyły studia i obdarowały nas gromadką wnuków. Opatrzność Boża dała im dobrych, porządných mężów. Cieszymy się bardzo, że tworzą dobre katolickie rodziny. Tymczasem my, wszyscy „Antoniacy” powoli starzejemy się. Ubyło spośród nas tak wielu już dobrych, serdecznych wychowawców, a wśród nich udał się już przed oblicze Pana nasz pan dyrektor Marian Tulczyński. Zmniejszają się też ciągle szeregi Antonińskiej braci.

Niech Miłosierdzie Boże obdarzy ich nagrodą wiekiustą. Księżom Wychowawcom niech Bóg Najwyższy ześle łaskę dobrego zdrowia za Ich dobroć i serce, które w trudnych dla nas chwilach było zawsze pomocą i oparciem.

Relacja spisana w 1992 roku.

Jan Hermanowicz

Wspomnienie

Aby móc w pełni zrozumieć treść wspomnień o ojcu ks. Abp. Bronisławie Dąbrowskim, muszę pokrótce opisać sytuację mojej rodziny po II wojnie światowej. Ojciec mój zginął w obozie koncentracyjnym Stutthof k. Gdańska. Z Grodna matka zabrała nas trojga rodzeństwa i przyjechaliśmy do Polski w sierpniu 1945 roku. Najstarszy brat Ryszard miał 14 lat, ja 10 i najmłodszy Władysław 4 lata. Osiedliliśmy się w Augustowie (obecnie woj. warmińsko-mazurskie). Żyło nam się ciężko. Dopiero w lutym 1946 roku matka otrzymała pracę w szpitalu w charakterze salowej. Dodatkowo dorabiała praniem i sprzątnięciem, a ponadto pracowała w aptece przyszpitalnej, którą prowadziły zakonne Siostry Rodziny Maryi. Do domu wracała późnym wieczorem, a niekiedy na noc zostawała w szpitalu (gdy wypadł jej dyżur).

Siostry zakonne, aby pomóc mojej matce, załatwiły miejsce dla starszego brata Ryszarda na Barskiej 4 (wówczas dyrektorem był ks. Michalski). Ja tam trafiłem w 7 miesięcy później dzięki naszemu ojcu ks. abp. Bronisławowi Dąbrowskiemu, który pełnił funkcję dyrektora. Jak to się stało, o tym niżej.

Zima roku 1947/48 była bardzo mroźna. Z braku dostatecznego na tę porę roku ubrania (a może odpowiedniego wyżywienia), ciężko zachorowałem i „wylądowałem” w tamtejszym szpitalu. Któregoś dnia, podczas sprzątnięcia apteki, matka usłyszała jak siostry na górze rozmawiały między sobą. Jedna z nich odezwała się mniej więcej tej treści: „ *Boże, jak ta Hermanowiczowa cierpi, nie dość, że Niemcy męża zamordowali, to teraz temu średniemu pozostała godzina życia* ” - tak miał powiedzieć doktor Sadowski. Jak to usłyszała, zaczęła

rozpaczać bardzo. Siostry usiłowały ją uspokoić. W dniu następnym napisała list do brata do Warszawy.

Z listem brat udał się do ojca ks. Bronisława Dąbrowskiego, a ten po przeczytaniu, dał bratu pieniądze na bilet i kazał mnie przywieźć na Barską.

W Warszawie, znanymi mi sposobami załatwił mi miejsce w szpitalu pod przybranym imieniem brata (jako Ryszard, a nie Jan). W szpitalu przebywałem około dwóch miesięcy. Zostałem wyleczony na tyle, że od tamtego czasu brakuje mi pół podniebienia. Ale za to żyję od tamtego czasu już 51 lat, a nie godzinę, jak przepowiedział lekarz z Augustowa.

Ze szpitala odebrał mnie Maniek Grochowski, który był studentem Akademii Medycznej i pełnił na Barskiej funkcję pomocnika doktora Tulczyńskiego. Po obiedzie, Grochowski przyprowadził mnie przed oblicze ojca. Ksiądz dyrektor mnie zapytał - gdzie chciałbym być ? Czy w Augustowie u matki, czy na Barskiej razem z bratem? Z jednej strony to tutaj, z drugiej zaś wolałbym być u matki, bo pomyślałem sobie: tutaj chłopcy mają dobre ubrania, jedzą regularnie posiłki i do syta, ale za to ten mur z żelazną bramą, pomalowany na czarno, jak w więzieniu. Zaś u matki pełna wolność i swoboda.

Zapewne wówczas musiałem mieć niewyraźną minę. Ojciec dobrotliwie uśmiechnął się do mnie i powiedział: *„Skoro Jasiu jesteś niezdecydowany, to ja za ciebie zdecyduję, zostaniesz tu u mnie, a że nic nie ma za darmo, to twój straszny brat za ciebie będzie pełnił obowiązki. W tym czasie skończysz szkołę podstawową, a później...to się zobaczy”*.

Jak się później okazało, to z tym murem i żelazną bramą nie było tak groźnie. Chociaż regulamin dotyczył wszystkich wychowanków, to w praktyce wyglądało różnie. Byli tacy, którzy po ukończeniu 18 lat musieli odejść z Barskiej, a którzy nie ukończyli 18 lat zostali przenieszeni do domów państwowych (nieliczna grupa). A byli również i tacy, którzy ukończyli szkoły średnie i studia i pozostawali w Domu do usamodzielnienia się - ich była zdecydowana większość. W miarę upływu lat, ten regulamin jakoś dziwnie łagodniał. Ja przez ostatnie dwa lata pobytu na Barskiej, praktycznie musiałem wracać do Domu przed godziną 22.00 i było wszystko w porządku. W tym czasie praktycznie chodziłem do dwóch szkół: kończyłem szkołę średnią, a po południu - za zgodą ojca - na wieczorowe kursy stenografii, które mi załatwił profesor ze szkoły średniej - który równocześnie był kierownikiem kursu. Zdobyta wiedza była bardzo przydatna na studiach. Brak było podręczników, nawet skryptów, za to ja uczęszczając na wykłady, miałem dokładne notatki (mogłem zanotować 220 głosek na minutę). W tym czasie matka mego kolegi, zwróciła się do ks. Dyrektora z prośbą (wówczas funkcję dyrektora pełnił ks. Józef Józefiak), abym pomagał jej synowi w nauce. Wtedy miałem pewne „alibi” na przebywanie poza domem - jeżeli sytuacja tego wymagała. W 1949 roku kończę szkołę podstawową. Przed wyjazdem do matki na wakacje ojciec przeprowadził ze mną rozmowę mniej więcej tej treści : *„Jasiu, masz słabe stopnie i o ogólniaku nie ma co marzyć”* - miałem duże braki, w 6 klasie byłem tylko 80 dni, resztę przechorowałem, a już w 7 klasie nie udało się nadrobić - *„pozostaje więc ci szkoła zawodowa. Proponuję ci handlową, do której uczęszcza Henio Ostrowski”*.

A była to wówczas jedna z lepszych szkół średnich ekonomicznych w Warszawie. Tak więc w roku 1949 rozpocząłem naukę w szkole średniej. Początkowo słabo : na pierwsze półrocze miałem dwie oceny niedostateczne, zaś później coraz lepiej. Ostatecznie osiągnąłem takie wyniki w nauce, że odroczone mi nakaz pracy i otrzymałem skierowanie na studia - SGP i S.

I sprawdziły się słowa Ojca: *„Jak dasz radę, to może i dalej będziesz kształcić się”*. Dokonany wybór szkoły przez Ojca, był wyborem trafnym. W tym zawodzie pracowałem 40 lat.

Wracam do wspomnień, do „Antonina”. Jeszcze wcześniej, w roku 1948 szkoła podstawowa zafundowała wyjazd do Wrocławia, na wystawę Ziem Odzyskanych. Przed wyjazdem, od Mańka Sowińskiego wypożyczyłem książkę Juliusza Verne „80 tysięcy mil podmorskiej żeglugi”. Książka ta pochodziła z naszej biblioteki, którą prowadził wówczas ks. Stefan Batory. Przez roztargnienie zostawiłem ją w miejscu, gdzie nocowaliśmy we Wrocławiu. Po powrocie do

Domu skłamałem i nie powiedziałem, że ta książka zginęła. Ksiądz ogłosił, aby ten, co książkę pożyczył, zwrócił ją do biblioteki - co z wiadomych przyczyn było niemożliwe. Któregoś ranka służyłem do Mszy Świętej Ojcu. Po Mszy Świętej, Ojciec powiedział, żebym zgłosił się do kancelarii po śniadaniu. Raz jeszcze mnie zapytał : „ *Więc jak to było z tą książką ?*”. Ja po raz drugi skłamałem. Wówczas Ojciec wyjął rozpakowaną paczkę, w której była książka. Oddał mi ją i powiedział tylko, że mogę już iść do szkoły. Poczulem taki wstyd, że już po upływie 50 lat od tamtego czasu, gdy wspomnę, to oblewam się rumieńcem. Kara była tym większa, że Ojciec nie czynił mi wówczas wyrzutów.

Inny przykład. Z każdym dniem było coraz gorzej na Barskiej, zwłaszcza z ubraniem. Wydierały się ubrania pochodzące z darów UNRRA. Siostry reperowały jak mogły, no i rzecz jasna i warsztat szewski miał dużo pracy. Mimo to chodziliśmy dobrze ubrani, nawet lepiej jak nasi rówieśnicy z miasta. Święto Mikołaja było okazją do uzyskania niedoborów w ubraniu. Święty Mikołaj (a był nim wówczas ks. Stefan Batory), podając mi paczkę wraz z różgą przeczytał wierszyk : „*Nie pal Jasiu papieroska, bo masz mleczko koło noska*”. W paczce były ciastka, cukierki i ciepłe wełniane skarpety. Jakież było moje zdziwienie, gdy po pewnym czasie święty Mikołaj wyczytuje mnie po raz drugi i przy następnej paczce otrzymałem nowe czarne trzewiki. Rzeczywiście były one mi bardzo potrzebne, bo w tych, które otrzymałem od pana Zygmunta, a które brat mój przebił w warsztacie szewskim na moją nogę, nie dało by się chodzić wkrótce. A tymczasem już w czasie kolacji, Maniek Sowiński powiedział, że buty te ja omyłkowo dostałem, a należały się jemu. Co również powiedział ks. Kołaciński. Po kolacji poleciałem na „górną sypialnię”, gdzie spali młodszy koledzy. Przymierzyłem jeszcze raz i płakałem, po czym udałem się do kancelarii i zapukałem do drzwi. Przyjął mnie Ojciec i zapytał : - „*Jaką masz do mnie sprawę?*”. Ja powiedziałem, że zwracam niesłusznie dane mi buty przez św. Mikołaja. Ojciec na to odpowiedział: - „*Ty dostałeś buty?*”.

- „*Tak*” rzekłem.

- „*A w związku z tym, do ciebie należą i nikt ci ich nie odbierze*”.

Później, gdy stałem się dorosły, myślami wracałem do tego zdarzenia i doszedłem do wniosku, że Ojciec przed rozdaniem paczek dokonał przeglądu i zapewne stwierdził, że jestem bardziej w danej chwili potrzebujący, aniżeli Maniek. Musiał więc zapewne odczepić od paczki Mańka buty, a że nie znalazł mojej paczki, kazał zrobić drugą. Ot, taki to był nasz ukochany Ojciec.

Kolejne zdarzenie, które do dziś pamiętam.

Wszyscy koledzy, którzy do szkół średnich dziennych uczęszczali, otrzymywali stypendium, które w pełnej wysokości wynosiło 4000 złotych miesięcznie. Połowę tej kwoty należało oddać na utrzymanie, gdyż kwota przekazywana przez Kuratorium była bardzo skromna i wynosiła 2000 złotych, zaś pełne utrzymanie (bez ubrania) wynosiło 5000 złotych na osobę. Pierwsze stypendium w roku szkolnym otrzymywało się w grudniu, po pierwszym kwartale z wyrównaniem od września. Stypendium przyznawała Rada Pedagogiczna szkoły, po uwzględnieniu postępów w nauce i zachowaniu zainteresowanego ucznia.

W grudniu 1949 lub 1950 roku (dokładnie nie pamiętam), mając 16 tysięcy złotych, udałem się do kancelarii w celu uregulowania długu. Odliczając 8 tysięcy złotych Ojcu i tak sobie powoli do drzwi dochodziłem, a Ojciec wówczas zapytał, co mnie trapi. Odpowiedziałem, że na Wielkanoc będę mógł kupić sobie ubranie z zaoszczędzonych pieniędzy, na co mi odpowiedział, że mogę już teraz kupić, z czego się bardzo ucieszyłem i zobowiązałem się dług spłacić do końca roku, zwracając do kasy po 3 tysiące złotych. Kiedy odchodziłem, Ojciec powiedział, abym przyniósł paragon. Następnego dnia, po szkole udałem się na zakupy. Znalazłem odpowiedni garnitur za 15.500 złotych. Po kolacji udałem się w nowym ubraniu do kancelarii. Ojciec pochwalił wybór, przyjął paragon, a resztę (500 zł) kazał mi pozostawić na drobne wydatki, no i zdawało mi się, że sprawa się zakończyła.

A tymczasem, gdy miesiąc później zgłosiłem się do kancelarii, by przekazać pierwszą ratę wraz z zaległościami 3 tysięcy długu, Ojciec wziął do ręki pieniądze, otworzył kasetę, po

czym dodał jeszcze 2 tysiące złotych i powiedział mi, abym za te pieniądze kupił sobie buty. Całość długu mi darował i powiedział, że od następnego miesiąca mam wpłacać do kasy połowę mojego stypendium, tak jak wszyscy inni. Później doszedłem do wniosku, że Ojciec zapewne chciał mnie sprawdzić, czy jestem już odpowiedzialny za swoje czyny. Gdybym tych pieniędzy nie przyniósł, to nie tylko nie mógłbym sobie kupić nowych butów, ale jeszcze musiałbym spłacić zobowiązania, jakie dobrowolnie przyjąłem. Ojciec nasz był kochany, ale również, gdy trzeba było, był surowy i sprawiedliwy.

Odszedłem z Barskiej w 1953 roku i rozpocząłem studia na SGP i S. Z przyczyn, o których nie chce pisać, nie kontaktowałem się z Barską przez 17 lat.

W roku 1970 niespodziewanie na mój obecny adres, przyszło zaproszenie, abym przyszedł na spotkanie z byłymi wychowankami na ul. Barską, gdzie będzie również nasz Ojciec. Zaproszenie dostałem od księdza Stefana Batorego. Przyszedłem tam. Było dużo moich kolegów i naszych księży wychowawców. Po jakimś czasie przyjechał Ojciec. Byliśmy wszyscy zebrani na „okrągłaku”.

Ojciec rozejrzał się po wszystkich, po czym podążył w moim kierunku (tak mi się wydawało). Podbiegłem, chciałem ucałować pierścień, lecz nie udało się. Ojciec mnie objął, uściskał i powiedział, że Ojca nie należy po rękach całować. Po czym zapytał: „*Co Jasiu słyszałeś u ciebie?*”. Ja zanim odpowiedziałem, zapytał czy matka jeszcze żyje. W ten sposób dał dowód, że o mnie pamiętał po tylu latach. Odpowiedziałem, że matka nie żyje od 4 lat (zmarła w roku 1966, przeżywszy 63 lata, czyli prawie tyle, co ja mam obecnie).

Od tamtego czasu już takich czułych spotkań nie było. Później zawsze witałem się i żegnałem z Ojcem stosownie do mego statusu. Zawsze byłem tym średniakiem i wiedziałem, gdzie moje miejsce. Od tamtej pory starałem się brać udział w spotkaniach z Ojcem zarówno na Barskiej, jak i w Łązniewie.

To pierwsze spotkanie z Ojcem, po tylu latach na Barskiej (Ojciec odszedł do pracy w Episkopacie na 2 lata przed moim odejściem z Barskiej) odebrałem jak w przypowieści biblijnej o Dobrym Pasterzu, gdzie Dobry Pasterz zostawia swoje stado, udając się na odnalezienie zbłąkanej owcy, odnajduje ją i z radością przynosi do stada. Tak to chyba i ze mną było.

Wreszcie ostatnie spotkanie z Ojcem w listopadzie 1997 roku w siedzibie Ojców Orionistów na ulicy Lindleya, na którym był również mój brat Ryszard, który specjalnie przyjechał z Białegostoku i tego dnia odjechał. Przyjechał do Polski z Filadelfii do swojego biskupa w Białymstoku, celem dokończenia spraw związanych z przyjęciem jego misji w USA, przez Kurię. Miał możliwość spotkania się z kolegami, których nie widział od 50 lat, a przede wszystkim z Ojcem. Odchodząc do siebie, przy drzwiach, zwrócił się do nas Ojciec ze słowami: „lekarz kazał mi leżeć w łóżku, lecz poczułem się z wami lepiej. Do zobaczenia na kolejnym spotkaniu 2 stycznia, w tym samym miejscu”. I jeszcze dodał: „Kocham was, moi chłopcy”. Były to ostatnie słowa Ojca.

Spotkaliśmy się wcześniej, bo już 29 grudnia, lecz tylko z doczesnymi zwłokami i w kilka godzin później pożegnaliśmy na Cmentarzu Powązkowskim. Cóż jeszcze mogę dodać ...? Ograniczyłem się tylko do siebie. Dzięki Ojcu dotychczas żyję, zawdzięczam mu również życie, zawód jak i to, że dzięki temu pracowałem na różnych odpowiedzialnych stanowiskach. Dzięki temu mam godziwą emeryturę i nie muszę martwić się o dobra doczesne z braków środków. Ojca wychowanie również zaowocowało.

Mam jedną córkę, lecz ona nigdy nie miała tyle, na co miała ochotę. Na potrzeby ponad przeciętną (mimo, że ojca było stać), umiała zarobić. Dlatego wszystkie wakacje w czasie studiów, wyjeżdżała „na saksy”, na okres dwóch miesięcy. Jeden miesiąc przeznaczała na wypoczynek. Jak wracała z zagranicy, była dumna, że zarobiła tyle, co ojciec prawie za rok, będąc dyrektorem (taka kiedyś była relacja dolara do złotówki). Teraz zaś jest lekarzem, ma

przeuroczą córkę i męża, który jest głową domu. Zrobiła specjalizację II stopnia, a od września ma otwarty przewód doktorski.

Ja zaś z żoną jesteśmy na emeryturze. Dla wypełnienia czasu, pracuję na część etatu w szkole średniej zawodowej (Zespół Szkół Budowlanych w Pruszkowie). Pracę tę kontynuuję po przejściu na emeryturę (a przed tym na rentę) - w sumie już 22 rok. Młodzież pochodzi raczej z rodzin mniej zamożnych i dla niektórych przydałby się taki Dom, jaki był na ulicy Barskiej. Charakter człowieka jest bardzo podatny na otoczenie, zwłaszcza w wieku 13 - 20 lat. Żaden dom państwowy, nie zastąpi naszego Domu z ul. Barskiej. Wychowawcy tacy, jak księża Orioniści, nie mieli własnych rodzin i mogli poświęcić swój czas skrzywdzonym przez życie.

Chociaż nasz Dom, to nie była rodzina w pełnym słowa znaczeniu, ale była rodziną zastępczą, kształtującą pozytywnie młodych podopiecznych. Pamiętam słowa Ojca w jednym ze spotkań : „ *Chłopcy, jak na was patrzę, to myślę, że bylibyśmy w stanie obsadzić cały rząd* ”.

Myślę, że miał rację. Dzięki temu, że byliśmy na Barskiej, mogliśmy skończyć studia o różnych specjalnościach. Obecnie reprezentujemy różne stanowiska polityczne - od lewicy po prawicę. Elementem wspólnym, co nas łączy, to życzliwy stosunek do ludzi oraz dla tych wszystkich, którzy chcą uczciwie pracować dla domu i całej rodziny, a to jest Polska.

To wynieśliśmy z Barskiej, a w szczególności od naszego Ojca - księdza arcybiskupa Bronisława Dąbrowskiego, który był dla nas jak ojciec, bo prawdziwego nam wojna zabrała.

Relacja spisana w 1998 roku.

Ks. Stefan Batory

Wspomnienie

Z Pruszkowa - całą naszą „Barską” wraz z innymi pogorzalcami z Warszawy - ruszyliśmy pociągiem w kierunku zachodnim w nieznaną. Pewnie do któregoś obozu. Trzy doby jazdy o jednej misce jakiejś brei. Wreszcie w ciemną noc w lesie pociąg zatrzymał się i kazano nam wysiadać. Druty, szeregi baraków. Ciżba ludzi. Wrzaski, przekleństwa, płacz.

Był to obóz w Bietigheim. Po jakimś czasie z tegoż Bietigheim, Niemcy naszą „Barską” przewieźli do Heilbronn. Osadzili w baraku fabrycznym firmy KNORR przeznaczając do pracy w tej firmie. Było to dla nas pomyślnie - byliśmy bowiem razem, sami swoi. Ale tak bardzo chcieliśmy się do domu. Warszawa. Co z Warszawą ?

Barska... Wyło, skowyczało coś w piersi.

Wszyscy myśleli o jednym ... uciekać.

Uciekać..., ale jak, dokąd, którądy ?

Zbliżał się grudzień... zima. Grudzień... nasza ukochana Nowenna do Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Maryi Panny. Wtedy kl. Bronisław, stary „sodalis marianus”, z którym o tym rozmawiałem, powiedział: „Przypomnijmy o tym ks. Michalskiemu - dyrektorowi - i zaproponujmy mu intencję błagalną tej nowenny o rychły powrót do kraju. Będziemy się modlić wraz z naszym Ojcem Założycielem śp. ks. Alojzym Orione”. I tak się modliliśmy nie wyobrażając sobie, jak to może nastąpić. Czekaliśmy na jakiś cud. Nowenna się skończyła, uroczystość Najświętszej Maryi Panny minęła - przemodlona, przepłakana A wojna szalała..., a my trzy tysiące kilometrów od kraju.

Matko, ratuj !

Wieczorem po posiłku gromadziliśmy się zazwyczaj w jednej „sztubie” na Różaniec i rozmowy. Ks. Józef Kołaciński, znany jako człowiek pogodnego humoru, jak umiał i mógł tak nas rozweselał swoimi facecjami. Założyliśmy we dwóch rodzaj teatryku na zasadzie, kto kogo przegada, a obecni nas podzegli. To trochę rozweselało nas. Ale i wtedy co chwila ktoś wychodził

Wspomnienia „Antoniaków”

z baraku, aby posłuchać, czy huk artylerii się nie zbliża. Kl. Bronisław twierdził zawsze, że armaty grzmą coraz to bliżej. Alianci nacierali. To budziło otuchę.

Któregoś wieczoru bez tzw. voralarmu rozwrzeszczał się alarm ostry, gwałtowny. Artyleria! Do schronów! Na stanowiska ! Szybko !

I zaczęło się trzęsienie ziemi. Trwało to nieskończoność... pół godziny...

Kiedy nastąpiła cisza, zaczęliśmy wydobywać się na powierzchnię. Otoczyło nas morze ognia.

Matko Boska! Ratuj! „Pod Twoją obronę...”.

Wychodząc wypatrywaliśmy swoich. Co chwila okrzyki - żyjesz ? żyjesz? żyjesz ? Kiedy zbliżaliśmy się do swojego baraku, oczom nie wierzyliśmy. Barak stał cały. Nietknięty. Wszyscy przeżyli, szła radość ! A miasto przeszło dziewięćdziesięcio-tysięczne płonęło w dole jak okiem sięgnąć. My mieliśmy gdzie głowę skłonić. Ale nikt tej nocy nie spał. Następnego dnia pożar miasta trwał. Nami nikt się nie interesował - na razie. Pożywiliśmy się czym kto miał w baraku. Czekaliśmy. Spotkawszy się z kl. Bronisławem zapytałem z głupia :

- Co dalej szary człowieku ? A może by nas teraz wypuścili...? Nic tu po nas. A trzeba żywić... Może by się teraz udało do Krakowa pod „opiekę” Hansa Franka ?

- To i mnie przyszło na myśl - odrzekł kl. Bronisław. Pogadajmy z przełożonym ks. Michalskim.

Ks. W. Michalski nie miał nic przeciw temu. Spróbować można. Ale trzeba zbadać jakie są możliwości w tym względzie. Najpierw techniczne, potem administracyjne - gestapo, arbeitsamt, kolej... Ofiarowałem się pójść na te zwiady. Nagle okulałem, rękę wziąłem na temblak, obandażowałem głowę jakimś ręcznikiem i wio... do miasta. Tak poszkodowanego chyba nie zagarną do roboty.

- Broniek ! Nie wypuszczaj różańca z ręki!

Wszystkie urzędy były w gruzach... Ale na tych gruzach, przy stolikach już siedzieli urzędnicy. Urzędowali.

Matko Boża i nasza! Wstąpiła w serce otucha. Spróbujemy. Może się uda. Po moim powrocie i sprawozdaniu wszyscy byli takiego zdania : Chłopi ! Do modlitwy ! Nie ustępować Matce Bożej. Poprosiliśmy siostrę Samarytankę władającą dobrze językiem niemieckim, aby zredagowała podania do wszystkich urzędów i poszliśmy załatwiać. Swoje prośby umotywowaliśmy naszą nieprzydatnością tutaj, w tej sytuacji i wobec tego chęcią udania się pod opiekę niemiecką do Krakowa. Chwyciło. Uzyskaliśmy wszystkie pozwolenia.

Wyjechaliśmy nie omieszkając w dwóch grupach. Matko Boża i nasza ! Prowadź, czuwaj !

Długa, ciemna, ale spokojna podróż i wreszcie Kraków. A w Krakowie pełno handlujących warszawiaków. I znajomi chętni do pomocy. Teraz do Pruszkowa. Dalej pociągi nie dochodziły. W Pruszkowie Siostry Samarytanki „wyładowały” nas w swoim Domu i zaprosiły na nocleg. Łaźniew był blisko, a tam nasi.

Następnego dnia już byliśmy w łaźniewskiej przystani.

W kaplicy łaźniewskiej wpatrzeni w obraz Częstochowski, obraz Matki Bożej i naszej, roniąc łzy wdzięczności czekaliśmy na święta Bożego Narodzenia w domu.

Czy to nie był dla nas cud Bożego Miłosierdzia przez ręce i serce Matki Bożej i naszej ?

Relacja spisana w 1992 roku.

Stanisław Kuba

Wspomnienia z pobytu na Barskiej 4 w okresie od dnia 1 września 1948 do 31 sierpnia 1952 r.

Do Antonina na Barską przybyłem w dniu 1 września 1948 roku z Otwocka z Zakładu wychowawczego Sióstr Elżbietanek. Przyjął mnie sam ks. dyrektor Bronisław Dąbrowski. Był to bardzo uroczysty dzień z racji imienin ks. Dyrektora. Pogoda była piękna, obiad odbył się na „okrągłaku” w parku zakładowym.

Od samego początku poczułem się bardzo dobrze w nowym środowisku, gdyż życie zbiorowe nie było mi obce. Jeśli dobrze pamiętam - przecież minęło od tego czasu 42 lata - to ks. Józef Józefiak zaprowadził mnie do sypialni i przydzielił mi łóżko nr 18. Po jednej stronie spał kolega Andrzej Szaszkiwicz, po drugiej kolega Tadeusz Witkowski.

Kiedy przyszła pierwsza niedziela, wszyscy bez wyjątku starzy i nowi wychowankowie zostali zapoznani z regulaminem, który przedstawił ks. dyrektor.

Moimi pierwszymi wychowawcami byli Księża : Józef Józefiak, Józef Kołaciński, Stefan Batory, Jan Baraszkiewicz, w okresie późniejszym Kazimierz Piłatowicz, Stanisław Jarnuszewski, Władysław Bienisiewicz. Nad wszystkim czuwał ksiądz prowincjał Włodzimierz Michalski.

W Antoninie była liczna grupa wychowanków, którzy umieli służyć do Mszy Świętej, ja też się do nich przyłączyłem. Służyłem wszystkim księżom kiedy było trzeba, ale najczęściej razy służyłem ks. dyrektorowi, być może dlatego cieszyłem się u księdza dyrektora dużymi względami.

Ks. dyrektor prawie codziennie po Mszy Świętej porannej mówił słowo do wychowanków. Pewnego razu od ołtarza powiedział : „ *Moi chłopcy, chcę wam powiedzieć przykrą wiadomość, jak zejdziecie na śniadanie, to nie zdziwcie się, że chleb nie będzie posmarowany, a kawa gorzka, bo nie mamy pieniędzy* ”.

Zdziwienie było duże, bo chleb był z masłem i kawa słodka. Jak to się stało ? No właśnie, jakaś niewidzialna ręka położyła w zakrystii na ołtarzu pieniądze, które siostra wzięła i przekazała na zakup masła i cukru. Tak ! Tak ! Tu musiała zadziałać ręka Bożej Opatrzności.

Relacja spisana w 1992 roku.

Henryk Kuczkowski

Wspomnienia z Powstania Warszawskiego i dalszych moich losów z pobytu w Niemczech

W czasie wybuchu Powstania Warszawskiego o godz. 17-tej w dniu 1 sierpnia 1944 roku przebywałem na terenie Zakładu Wychowawczego w Warszawie przy ul. Barskiej 4, w którym to zakładzie przebywało ponad 100 chłopców - sierot wychowanków księży Orionistów, sprowadzonych przez założyciela Domu Dziecka ks. Franciszka Toporskiego.

Na terenie Zakładu stacjonował oddział wojsk niemieckich z dywizji „Herman Goering” sprowadzonych z Włoch w celu udzielenia pomocy na froncie wschodnim. Toteż od samego początku powstańcy zaatakowali nasz dom, było ostre strzelanie i po trzech godzinach Niemcy zostali wykurzeni z naszego terenu, a wychowankowie czynnie pomagali powstańcom, wynosili rannych z pola walki, wynosili z samochodów niemieckich zdobytą broń, amunicję i inne urządzenia wojskowe oraz żywność przeznaczoną dla jednostek

wojskowych, stacjonujących w różnych częściach miasta. Po zdobyciu Zakładu powstańcy odeszli na punkt zborny na ul. Niemcewicza i stamtąd następnego dnia opuszczali Ochotę idąc w kierunku Lasów Kabackich. Niestety oddziały niemieckie zaatakowały ich na odcinku Pęcice, gdzie zostali zdziesiątkowani, wówczas bardzo dużo poległo powstańców, wśród nich żołnierze, którzy uczestniczyli w zdobywaniu naszego domu.

Po trzech dniach Niemcy zaatakowali czołgami nasz Zakład, jednakże zastali w schronie wyłącznie mieszkańców tego domu, a więc księży, siostry i wychowanków. Wśród ludzi znajdujących się w schronie byli także ranni niemieccy żołnierze (oficerowie, dzięki którym uratowaliśmy się od niechybnej śmierci). Atakujący Niemcy usłyszawszy krzyk niemieckich rannych żołnierzy odrzucili na bok rozpieczętowane granaty w drugą stronę i dzięki temu nie doszło do masowej masakry. Wyprowadzono nas ze schronu na podwórko z podniesionymi rękoma i dowiedziawszy się od rannych Niemców, że mieli dobrą opiekę lekarską, darowali nam życie.

Zaprowadzili nas do Domu Akademickiego na pl. Narutowicza, gdzie leżało 5-ciu zabitych Niemców i nam powiedzieli, że za każdego jednego zabitego Niemca zostanie z nas rozstrzelanych 10-ciu Polaków.

W Akademiku byliśmy traktowani jako zakładnicy. Umieszczono nas w malutkich pokojach, nie dawano jedzenia, tylko podtrzymywano nas przy życiu dając nam raz dziennie napój, tj. lura z kawy zbożowej. Wśród zakładników byli również mieszkańcy z pobliskich domów z ul. Grójeckiej. Codziennie odbywały się egzekucje na podwórzu w Akademiku, z okien widzieliśmy jak na podwórzu ludzie zakopywali zabitych Polaków.

Po paru dniach głódówki opadały nam siły, nie mogliśmy się podnosić, oczy zachodziły mgłą. Jednak po 6-ciu dniach zwolniono nas z Akademika wyprowadzając na ul. Grójecką do słynnego „Zieleniaka”. Tam działy się orgie, włosowcy rabowali co się dało, zdejmowali buty, zabierali zegarki i wszystko, co im do ręki wpadło.

W drodze od Akademika do „Zieleniaka” prowadzili nas żandarmi niemieccy. Byli oni bezsilni wobec Ukraińców-włosowców, którzy wdzierali się do tłumu zmierzającego na „Zieleniak” i rabowali co się dało, szukali złota. Widziałem jak trzech włosowców tratowało człowieka, który był podobno potomkiem Czarnieckiego. Gdy padł na ziemię, jeden kopał go w głowę i zabił na miejscu, wtedy zabrali mu woreczek ze złotem.

Na „Zieleniaku” byliśmy dwa dni, nad ranem widzieliśmy stosy zabitych, zgwałconych kobiet przez dzicz ukraińską. Z „Zieleniaka” Niemcy przeprowadzili nas na Dworzec Zachodni i tam w wagonach bydłowych przywieźli nas do Pruszkowskich Zakładów Kolejowych. Tam już otrzymaliśmy trochę żywności i to głównie od miejscowej ludności, która rzucała przez płot chleb, warzywa i inne artykuły żywnościowe.

W hangarach byliśmy dwa dni, a potem wywieziono nas wagonami bydłowymi (po 50-60 osób w wagonie) do Niemiec. Jechaliśmy prawie tydzień i wreszcie wyładowano nas w miejscowości Bietigheim, gdzie znajdował się obóz przejściowy, w którym mieściło się przeszło 3 tysiące ludzi różnych narodowości (Włosi, Czesi, Polacy, Rosjanie i inni).

Tam przebywaliśmy przeszło miesiąc i tam byliśmy zatrudnieni u różnych gospodarzy (bauerów). W czasie podróży w Niemczech w miejscowości Cotbus niemieckie kobiety widząc nas podchodziły do wagonów dając nam okrycie i jedzenie.

Do obozu w Bietigheim dotarliśmy 20 sierpnia 1944 roku. Tam wzięto nas do łaźni, wykąpano, odwszawiono i umieszczono w barakach, gdzie były piętrowe łóżka. Dano nam granatowe fartuchy, a na lewej stronie fartucha w okolicach piersi naklejone były plakietki z literą „P” (Polen). Rosjanie mieli na plakietkach litery „OST”, Francuzi i Włosi mieli także takie plakietki, ale jakie mieli litery - nie pamiętam.

W obozie byliśmy zatrudnieni w gospodarstwach rolnych i u Niemców - mieszkańców Bietigheim w pracach remontowych w domach mieszkalnych i przy budowaniu domków jednorodzinnych.

Wspomnienia „Antoniaków”

Po miesięcznym pobycie w obozie wywieziono nas do pracy w fabryce „Knorr” w Heilbronn nad Neckarem. Fabryka zatrudniała około 10 tysięcy robotników z krajów podbitych przez nazistów hitlerowskich. Ja pracowałem w transporcie do rozwożenia węgla i ziemniaków dla miejscowych pracowników „Knorra”. Sześciu wychowanków, którzy mieli powyżej 15 lat zostało wydelegowanych do okopów na Lini Zygfrida (nad Renem). Wśród nich i ja byłem i tam przeżywaliśmy straszliwe chwile, bowiem na froncie tym były silne walki z Aliantami. Samoloty bombardowały nasze pozycje, które trzeba było naprawiać. Zakwaterowano nas w miejscowości Bad Krozingen i codziennie wożono nas samochodami na odcinki frontu niemieckiego. W dniu 8 grudnia 1944 roku Alianci rozpoczęli wielką ofensywę wkraczając na teren Niemiec. Robotników, którzy pracowali przy umacnianiu okopów (około 2 tysiące osób) ewakuowano w ostatniej chwili, załadowali nas do ostatniego pociągu z terenu frontowego i przez Szwajcarię powróciliśmy do fabryki „Knorr” w Heilbronn. Przeżyliśmy w Heilbronn silne bombardowanie miasta, gdzie zginęło ok. 60 tysięcy jego mieszkańców. Myśmy ocaleli ze względu na przebywanie podczas bombardowania w porządnym schronie przeciwlotniczym. Fabryka „Knorr” została całkowicie zbombardowana, a myśmy byli zatrudniani przy odgruzowaniu fabryki i budynków mieszkalnych.

W dniu 24 grudnia 1944 roku cała nasza grupa z Warszawy (wychowankowie i księża wychowawcy) na podstawie specjalnego zezwolenia władz miejscowych wróciła do kraju - do Domu Dziecka w Łązniewie koło Błonia.

Relacja niedatowana.

Zdzisław Lebieź

Wspomnienia

1. Droga do Antonina

W roku 1945 w dniu 1 listopada wysiadłem na Dworcu Gdańskim z pociągu repatriacyjnego wiozącego mnie z Mostów - miasteczka, a właściwie wsi nad Niemnem w powiecie grodzieńskim.

Wozem konnym, przez gruzy Muranowa i bazar przy ul. Pańskiej zajechaliśmy z kolegą Edmundem Zdanowiczem na ul. Złotą 56, gdzie u pani Józki mieszkała ciocia i babcia Edmunda. Mieszkała ona w suterenie, składającej się z pokoju i kuchni wraz ze wspomnianą babcią, p. Wackiem - znajomym z Powstania Warszawskiego, koleżanką p. Marysią, przybyło nas dwóch, ku memu zaskoczeniu wszyscy przyjęli nas bardzo życzliwie. Pani Józka zdecydowała, że syn będzie spał z nią, a my dwaj w jego dziennym łóżeczku, przy tym dodała - „a co, w powstanie było jeszcze gorzej”.

Następnego dnia udaliśmy się na cmentarz wojskowy, bo w czasie trwania Powstania, w Mostach, w stodole zakopani w sianie słuchaliśmy komunikatów radiowych, bo groziło więzienie za posiadanie radia. O dziwo, największe wrażenie robiły groby młodych powstańców i żołnierzy nie z 1939 roku, lecz 1920 roku i pomnik Orłąt Lwowskich - może dlatego, że należałem do Orłąt w Mostach.

Edmund, który był oblatany w wielkim świecie, bo przed wojną bywał w Warszawie, zdecydował, że będziemy pracowali, a wieczorem będziemy chodzili do szkoły. Następnego dnia, zgodnie z radą p. Wacka, udaliśmy się na ul. Miodową, róg Koziej, gdzie mieściło się gimnazjum. W sekretariacie pani zdecydowała, że warunki przyjęcia do gimnazjum będą uzgodnione po zdaniu egzaminu z matematyki i fizyki, w tym celu pokazała gdzie udać się do klasy, w której odbywają się lekcje z matematyki i tam profesor od razu nas przeegzaminuje. Zgodnie z jej poleceniem udaliśmy się do klasy, profesor pozwolił nam usiąść w pierwszej

ławce i zadał nam zadanie. Po rozwiązaniu polecił wyjaśnić, jak doszliśmy do wyników. Zadania te były łatwe. Po egzaminie profesor zaczął wypytywać nas skąd przybyliśmy i doradził - ku naszemu zdziwieniu - abyśmy udali się do pani Krasnodębskiej, na ul. Bagatela 10, która może nas umieścić w internacie. Udaliśmy się do niej pod wskazany adres. Na 10-tym piętrze przyjęła nas ta pani ubrana odświętnie. Po wysłuchaniu Edmunda (bo ja raczej stałem z tyłu), że przyjechalibyśmy z Mostów, bo Rosjanie chcieli nas wcielić do wojska. Zapytała nas ostro „a co, armia rosyjska jest taka zła, czy co?”. Ja zamarłem, ale Edmund, chyba podniesionym głosem odparł, że „przecież jesteśmy Polakami i chcemy służyć w wojsku polskim, a ponadto chcemy się uczyć”. Pani Krasnodębska straciła chyba pewność siebie i już łagodnym tonem z pewną życzliwością powiedziała: „ja wam dam kartkę i z tą kartką udacie się na Barską 4, tam jest zakład prowadzony przez księży. Jeżeli zgodzą się was przyjąć, wtedy dam wam skierowanie”.

2. W Antoninie

Tego samego dnia (a była już godz. 16-ta) udaliśmy się na Barską 4. Do internatu przechodziło się przez małą furtkę w dużej żelaznej bramie obsadzonej w potężnym murze.

Dom wydał mi się niby twierdza ze znacznymi uszkodzeniami wojennymi. Na dziedzińcu chłopiec poinformował nas gdzie możemy spotkać dyrektora. Zaprowadził nas na korytarz tuż przy klatce schodowej i poszedł powiadomić dyrektora. Z góry patrzyliśmy jak dwaj chłopcy grali w ping-ponga, a cała grupa w różnym wieku im kibicowała. Pamiętam jak Krzysiek krzyczał „gola, dołóż mu żeby pamiętał”. Za chwilę przyszedł ksiądz wysoki, postawny, w złotych okularach. Zaprosił nas do małego pokoju obok klatki schodowej i głosem dość ostrym z jakąś wadą w wymowie zapytał czego sobie życzymy.

Edmund, który jeszcze w Mostach mieszkał na plebani był bardziej obyty w obcowaniu z księdzem, zreferował więc naszą sprawę. Ksiądz z niedowierzaniem - z akcentem wschodnim powiedział tak : „wy stare byki będziecie dawali zły przykład młodszym wychowankom, a ponadto my swoich wychowanków w waszym wieku wysyłamy w świat, to po co będziemy przyjmowali jeszcze obcych”.

We mnie zamarło serce - koniec nadziei, ale Edmund okazał się bardziej dzielny i bez wahania odrzekł : „Przecież my jesteśmy Polakami i przy tym dobrymi katolikami, a ponadto my chcemy się uczyć, a nie gorszyć maluczkich, o czym ksiądz może przekonać się, jak nas przyjmie”.

Dalszych pertraktacji nie pamiętam, ale zaskoczyła mnie zmiana losu i życzliwość z jaką ksiądz Michalski (bo o nim poprzednio była mowa) powiedział : „nu, tak ja was przyjmę i przekonam się co potraficie, u nas chłopcy nie tylko się uczą, ale ciężko pracują przy odbudowie zakładu”.

Ostatnie słowa znakomicie poprawiły samopoczucie, bo co jak co, ale nauka i praca nigdy nie sprawiały mi trudności. To rzekłszy ks. Michalski polecił nam przyjść z całym dobytkiem w Wigilię Bożego Narodzenia 1945 roku. Tak stałem się członkiem rodziny „Antoniaków”.

2.1 Pierwsze dni

W Wigilię Bożego Narodzenia, z samego rana z naszym dobytkiem udaliśmy się na Barską 4 przyjął mnie młody krępy ksiądz i zaprowadził nas najpierw do „studium” i wskazał miejsce przy stole, objaśniając jak należy zachowywać się i jaki jest rozkład zajęć, następnie zaprowadził do sypialni i wskazał łóżka zaznaczając, że sypialnia służy tylko do spania i sprzątanania, a nie wylegiwania się. Przy tej okazji poinformował o sposobie zachowywania się na terenie Zakładu i co to są „minusy” i jakie jest ich następstwo - kto dostaje „minusa” siedzi w niedzielę w Zakładzie i nie ma żadnego odwołania - choćby wzywano was do chorego; „minus” to „minus” i basta.

Sypialnia zrobiła na mnie duże wrażenie, takiej ilości łóżek w jednej sali nigdy nie widziałem, przy tym wszystkie łóżka stały równiutko i ładnie zasłane. Zastanawiałem się, jak tu będzie można spać? Przy obiedzie inny ksiądz - Jan Baraszkiewicz posadził nas przy pierwszym stole obok starszych wychowanków. Zaskoczyły mnie duże miski porcelanowe, jak się okazało służyły do pierwszego i drugiego dania. Zupę rozlewał z dużego kotła Tomaszewski, a drugie danie przynosił dyżurny każdego stołu, które wydawały siostry przez bęben z kuchni.

Po obiedzie przeprowadził z nami wywiad ks. Baraszkiewicz, obejrzał nasze ubranie i zdecydował, że po świętach mamy zgłosić się do magazynu, a teraz wyda nam koszulę nocną. Następnie wezwał nas do kancelarii ks. Kowalczyk i tam usłyszawszy, że mamy zamiar chodzić do szkoły na ul. Miodową zdecydował: „coście zwariowali, ciągnąc się przez całą Warszawę, ja was zapiszę do gimnazjum im. Konarskiego obok na ul. Reja, ale nastąpi to dopiero w styczniu 1946 roku po przerwie świątecznej”.

Ponieważ był to dzień Wigilii, kolacja była bardzo uroczysta, przy dużym stole pod ścianą siedzieli księża i wychowawcy z innymi członkami domu, a wychowankowie przy pozostałych stołach ustawionych w podkowę. Koledzy poinformowali kto kim jest w tym Domu. Przy stole było dużo życzeń, a atmosfera była bardzo serdeczna, dużo śmiechu i żartów, czułem się bardzo szczęśliwym, tak jak i wszyscy inni wychowankowie. Po kolacji była uroczysta Msza św. w kaplicy, chyba połączona z pasterką. Chłopcy, a my z nimi bardzo głośno i z dużym zaangażowaniem śpiewaliśmy kolędy. Karolek Pyć zawzięcie grał na fisharmonii. Wszystko to bardzo mnie cieszyło i dało poczucie bezpieczeństwa i jakiejś dziwnej atmosfery rodzinnej.

Pierwsze zetknięcie się z wychowankami wywarło na mnie różne odczucia. Pomijając co powiedział ks. Michalski bardzo mnie dziwiło dlaczego wychowankowie o zbliżonym wieku muszą odejść z Zakładu, a nas przyjęto. Ponadto słuchając opowiadań o ich wspólnych przeżyciach Powstania oraz deportacji i powrotu do „Antonina” widziałem ich życie i jakiś żal, że muszą odejść, o czym wychowawcy, a w szczególności ks. Kowalczyk im przypominał w sposób dość stanowczy, aby nie powiedzieć złośliwie. Chłopcy reagowali na to śpiewając różne dwuznaczne piosenki, a najczęściej parafrazując piosenkę „Hej ho, hej ho, na zachód by się szło”, co zresztą stało się, gdyż znaczna ich część właśnie wyjechała na zachód i osiedliła się we Wrocławiu i Szczecinie. Przyczyna odejścia była stosunkowo prosta. Opieka Społeczna odmówiła opłacania wychowanków, którzy nie uczęszczali do szkół, a większość starszych kolegów pracowała w prywatnych i państwowych zakładach pracy.

Tak jak zapowiedział ks. Kowalczyk, zaraz po przerwie świątecznej wezwał nas do siebie i kazał iść razem z nim do szkoły im. Konarskiego. Po drodze napominał nas: „pamiętajcie, macie się uczyć dobrze”.

W gabinecie przyjął nas dyrektor Czerwiński - mężczyzna po pięćdziesiątce, skromnie ubrany. Bardzo życzliwie rozmawiał z ks. Kowalczykiem. Po wysłuchaniu o co chodzi spojrzął na nas i orzekł, że w naszym wieku uczniowie kończą naszą szkołę i nie mogą nas przyjąć do pierwszej klasy, ale przyjmą nas od półroczka do drugiej klasy. I tak się stałem uczniem drugiej klasy Gimnazjum im. Konarskiego przy ul. Reja. I w ten sposób zostałem w pełni wychowankiem „Antonina”.

2.2 Wychowawcy

Zacznę od tych, którzy najczęściej przebywali z wychowankami. Na początku mego pobytu był to ks. Henryk Kowalczyk, bardzo energiczny i przy tym bardzo wybuchowy, co wykorzystywali chłopcy robiąc mu różne psikusy

Drugim wychowawcą, który najwięcej czasu poświęcał chłopcom był ks. Jan Baraszkiewicz.

Nie wiem czy się nie mylę, ale wydaje mi się, że ks. Baraszkiewicz. pochodził ze wsi, bo miał „duszę” dobrego gospodarza, jego namiętność to pełny magazyn wszelkich dóbr, stąd przydomek „kutwy”. Przy każdym wydawaniu odzieży nagadał, biadolił i zawsze starał się wypchnąć co „pośledniejsze” ubrania lub buty. Chłopcy mieli na księdza metody i zawsze wybierali co chcieli, bo ks. Jan miał dobre serce. Pasją ks. Jana była drużyna harcerska, dla niej oddałby wszystkie swoje skarby. Drużyna im. św. Antoniego nr 15 WDH zawsze była najlepiej umundurowana w hufcu, a może i Chorągwi Warszawskiej. Miał ks. Baraszkiewicz swoich pupili, a był nim Kazio Kudełka ze swoim mini foto na poddaszu, gdzie razem z księdzem robili zdjęcia. Co nowego wpłynęło do magazynu, widać było na Kudełce. Ks. Baraszkiewicz odszedł na studia i zamknął się z deską kreślarską, cyrklami i książkami w pokoju na I-szym piętrze. Jak opuścił „Antonin” i czy skończył studia - nie pamiętam.

Ks. Stefan Batory rzadko z nami przebywał, bo w tym czasie - gdy byłem w Zakładzie - ks. Batory studiował, wyjątek stanowiły święta Bożego Narodzenia, kiedy ks. Batory przygotowywał „Jasełkę” i sam grywał główną rolę Heroda. Co to były za przedstawienia, a jakie tłumy widzów przychodziły, tak że studium pękało w szwach. Ja grywałem rolę diabła, ale zasadniczym moim zajęciem było pilnowanie porządku przy wpuszczaniu widzów. Ile przy tym nasłuchiwałem się płaczu dzieci i matek, obelg i gróźb pijanych. Jasełka tak spopularyzowała Zakład, że znały nas prawie wszystkie matki Ochoty, a szczególnie tego przystojnego Heroda.

Rzecz dość dziwna - ks. Batory, który niewiele z nami przebywał, a wszyscy darzyli Go nieukrywaną sympatią i wydaje się, że osiągnął to przez swój sposób bycia z pewnym dystansem, ale i z dużą serdecznością. Nigdy nie słyszałem żeby kiedykolwiek podniósł głos lub na kogoś krzyczał. W kaplicy on jedyny, jak klękał to na oba kolana i pochylał nisko głowę, jak się żegnał to dokładnie. Jemu to należy przypisać zasługę, że do dnia dzisiejszego spotykamy się z okazji różnych uroczystości.

No i oczywiście postać pierwszej wielkości - ks. Włodzimierz Michalski - dyrektor Zakładu i prowincjał w jednej osobie, przynajmniej na początku mego pobytu. On - stróż porządku i sędzia w jednej osobie. Najbardziej pamiętam go poza pierwszym spotkaniem jako tego, który najczęściej wygłaszał słowo na dobranoc, po wieczornej modlitwie w kaplicy i odczytywał „księgę minusów”. Obie te czynności robił z wielkim dostojemstwem, a zarazem bezpośrednio trafiającym do wychowanków. On jedyny w słowie na dobranoc udzielał praktycznych rad swoim wychowankom.

Inne wydarzenie, które wzbudziło podziw dla ks. Michalskiego było mianowicie po nalocie Urzędu Bezpieczeństwa i Milicji na Zakład, już nie pamiętam kiedy, wpadli w nocy na sypialnię i kazali ubierać się, a następnie wyczytywali z książki meldunkowej kto zameldowany na prawo, a kto nie - na lewo. Po tej selekcji niezameldowanych okazało się dwóch wychowanków : Daniel Sutarzewicz i Bogusław Szwabik oraz taki mały „kumpel”, na którego nikt nie zwracał uwagi, a okazał się być „wtyczką” UB. Zabrali wszystkich trzech i księdza Bronisława Dąbrowskiego i ks. Michalskiego. Po dwóch dniach zwolnili księży, a potem i kolegów, „kumpel” nie wrócił.

W dwa miesiące po tym wydarzeniu ks. Michalski, jak zwykł to robić w niedzielę wieczorem, siedział na scenie w studium i wyczytywał listę oraz „minusy”, komentując je dość złośliwie. Naraz za oknami padł strzał, w piętnaście, może dwadzieścia minut później wpada do studium dwóch milicjantów i chyba kapitan podniesionym głosem spytał „kto tu strzelał?”. Sala zamarła, a ks. Michalski odczekawszy dłuższą chwilę ze spokojem odrzekł : „dzisiaj u nas nikt chyba grochu nie jadł, to i nie mógł strzelać. Idźcie szukać gdzie indziej, bo tu nie znajdziecie”.

Inny incydent potwierdzający znakomite podejście ks. Michalskiego do kształtowania charakterów wychowanków może być zdarzenie, w którym sam uczestniczyłem. W internacie

było dwóch Olczyków, starszy pozostający w koleżeńskich stosunkach z wychowawcami i potencjalny kandydat na zakonnika i jego brat, który te stosunki starał się wykorzystać. Młodszy Olczyk zabawiał się kopaniem pustej puszkę po konserwie na „okrągłaku” i kopał ją w moją stronę. Na zwróconą mu uwagę kopnął puszkę tak, że trafiła mnie w głowę. W zamian ja uderzyłem go w twarz. Olczyk poleciał na skargę. Czekałem na reprimendę, ale nikt mnie nie wzywał. Upłynęło kilka dni, wzywa mnie sam ks. Michalski do kancelarii, sądziłem że ma dla mnie jakieś polecenie. Ku memu zaskoczeniu ks. Michalski spokojnym głosem udzielił mi reprimendy zakończywszy uwagę „pamiętaj, że chociaż jesteś siłaczem, to siłą jeszcze nikt niczego nie osiągnął”.

Osobowość ks. Michalskiego pozostanie dla mnie na zawsze fascynacją. Podziwiała go również świecka prasa, jak „Przekrój”, „Kobieta i Życie”, itp., jak również często chodziłem z jego polecenia po węgorki i inne delikatesy, a wydawało mi się, że zakonnik-ksiądz to taki ascetyczny człowiek, trochę oderwany od życia.

Mniej udzielający się księży to ks. Ratajek zwany „Partyziano”, gdyż był we włoskiej partyzantce. Ks. Ratajek namiętnie grywał w szachy i w trudnej dla siebie sytuacji tak się denerwował, że łapał figury w obie ręce i nie było siły, aby udowodnić mu, którą figurą powinien się ruszyć. Spór zwykle kończył się ogłoszeniem remisu. Był to „dusza człowiek”, podobnie jak ks. Baraszkiewicz, którego pamiętam zawsze z życzliwym uśmiechem na ustach. On często wypytywał wychowanków o ich rodziny, cieszył się jeżeli słyszał, że wszystko jest dobrze i serdecznie martwił się, o ile ktoś miał kłopoty.

Ks. Lewicki był z nami chyba dość krótko, ale zapamiętałem Go jako namiętnego gracza w piłkę nożną. Podkasywał sutannę i ganiał za piłką głośno dopingując innych.

Nie pamiętam daty, kiedy rozeszła się wieść, że ks. Kowalczyk obejmuje probostwo w rodzinnym Łochowie, a na jego miejsce przychodzi nowy wychowawca. Nowy dyrektor i wychowawca, na pierwszy rzut oka wydawał się sympatyczny.

Nowy dyrektor częściej od ks. Michalskiego przebywał ze współwychowankami i o dziwo zaczął prowadzić rozmowy z wychowankami na temat funkcjonowania Zakładu, to było pełnym zaskoczeniem. Rozmowy odbywały się coraz częściej, indywidualnie i zbiorowo. Rozmowy te później zaowocowały powołaniem w Zakładzie „samorządu”, ale o tym jeszcze wspomnę. Z nowym dyrektorem przyszedł nowy „duch” do Zakładu.

Aby w tym rozdziale przedstawić wszystkich wychowawców należy wspomnieć chyba najbarwniejszą postać - ks. Józefa Kołacińskiego. Był to wychowawca, który wszystkich wychowanków traktował jak młodszych braci i przy tym bardzo lubił z wychowankami płatać różne figle. Pamiętam jak ks. Król przywiózł z demobilu wojsk Andersa, gdzie był kapelanem, dwa wagony wszelkich dóbr. W jednym owoce cytrusowe, w drugim mundury. Dobra te według naszych informacji miały być sprzedane i za uzyskane pieniądze miał być wybudowany kościół w Kaliszu. My, starsi wychowankowie, rozładowaliśmy wagony i dobra porozwoziliśmy do Zakładu. Owoce poszły do magazynu ks. Baraszkiewicza, a mundury na strych.

Ks. Józef Józefiak przyszedł do Zakładu chyba od razu na stanowisko dyrektora po oddelegowaniu ks. Dąbrowskiego do pomocy sekretarzowi Episkopatu ks. Biskupowi Choromańskiemu. Ks. Józefiak przy swoim bezpośrednim sposobie bycia, a przy tym o bardzo zmiennych nastrojach, miał on niewątpliwy talent do wygłaszania kazań. Niestety te piękne, krasomówcze kazania nie były doceniane przez wychowanków, natomiast jak wygłaszał kazanie w Łazniewie na pogrzebie ks. Michalskiego to wszystkie panie w kościele szlochały.

Podobnie było na odpuście w Zielenicach. Miał też talent do „intryg” w dobrym znaczeniu, kiedyś przed wyborami do samorządu w sali muzycznej wywiesił hasło „Głosuj na

kandydatów kierownictwa”, co tak zbulwersowało wychowanków, że wszyscy wzięli udział w wyborach, a ks. Józefiakowi o to chodziło.

Ks. Józefiak był niewątpliwie bardzo popularnym wychowawcą. Po wyjściu z Zakładu, w chwilach bardzo trudnych przychodziłem do księdza Józefiaka pożyczać pieniądze, zwykle 500 zł do pierwszego. Regularnie pieniądze zwracałem, a czwartego przychodziłem po dalszą pożyczkę, na co ks. Józefiak zwykł mawiać „dla ciebie zawsze pożyczę” i tak to trwało nawet kilka miesięcy.

Nie pamiętam jak zjawił się w Zakładzie ks. Jarnuszewski, cichy i pokornego serca i takim pozostał w moich wspomnieniach. Ks. Guzowskiego pamiętam jak sypiał z nami na dużej sypialni i jak się budził, to nigdy nie wstawał z łóżka, a wyskakiwał tak, jak z ognia.

Był jeszcze w Zakładzie Pan Zygmunt Sęk - człowiek o mentalności kościelnego czyli sługi Bożego, a wykonywał swoje obowiązki z dużą sumiennością i pokorą. Jemu zawdzięczam zdobycie biegłości w pracach murarskich przy odbudowie górnych pięt Zakładu. On czuł się właścicielem Zakładu, tak jakby miał polecenie od kogoś, aby dbał o ten Zakład i w ogóle powtarzał „Cholewa, jak będą tak dalej rządzić, to wszystko pójdzie na marne”. Zupełnie nie mogłem zrozumieć niechęci Pana Sęka do Pana Kwoczka - szewca, repatrianta z za Buga

2.3. Dzień jak co dzień w „Antoninie”

Rozkład zajęć - o godz. 6-tej „Benedicamus Domino - Dreo gratias” i poranny pacierz, ubieranie się, mycie i do kaplicy, potem śniadanie, przed śniadaniem „Pobłogosław te dary”, sprzątanie - kto miał dyżur, do szkoły.

Śniadanie to pajda chleba z dżemem i margaryną. Pajdy chleba ułożone na tacy roznosił wychowawca wzdłuż stołu, co bardziej „żarłoczni” brali dwoma rękami z obu stron i smyk pajdę chleba na kolana pod stół. Z reguły zawsze tych pajd nie starczało i siostry musiały je „dorabiać”. Skombinowane pajdy w większości ks. Baraszkiewicz znajdował wyschnięte w naszych schowkach. Przy śniadaniu ks. Baraszkiewicz karciał chomikowanie chleba, ktoś złośliwie zauważył „ktoby takie podle jedzenie chomikował”. Ks. Baraszkiewicz wykrzyknął „Obyś takie jedzenie miał do końca życia, durniu jeden z drugim !”. Na to padła spokojna odpowiedź „Deo gratias”. Wszyscy razem z księdzem roześmieli się.

Obiady jedliśmy w zależności od tego, kiedy kto wracał ze szkoły. W niedzielę obiady były zawsze lepsze, bo z dodatkiem mięsa i tu dopiero chłopcy wykazywali się sprytem w zdobywaniu dodatkowych porcji. Najprostszym sposobem było podbieranie dodatkowych porcji za nieobecnych na obiedzie. Innym sposobem to szybko zjeść zupę i otrzymać drugie danie, a następnie wypłukać miskę po zupie i podać dyżurnemu ją po raz drugi. Przy tej metodzie były kłopoty z buraczkami, które nie bardzo dawały się usunąć i miska wracała pusta, bez dodatkowej porcji. Trzeci sposób to zgłosić się w pół godziny po obiedzie i wmówić siostrze, że nie było się na obiedzie. Ta metoda dawała rezultaty, o ile coś w kuchni pozostało.

Kolacje miały przebieg podobny jak śniadanie, z tą różnicą, że nikt mnie nie kontrolował na noc. Pamiętam jedną kolację, na którą zabrakło chleba czerstwego, świeży dowozili wprost na kolację tak, że siostry tylko kroiły i podawały na stoły, a chłopcy sami smarowali marmoladą. Ku zaskoczeniu ks. Baraszkiewicza, którego siostry wezwały, bo zabrakło chleba, którego miało starczyć na następny dzień. Ks. Baraszkiewicz apelował o zachowanie umiaru w jedzeniu. Zawsze dostawaliśmy czerstwy chleb.

2.4. Wielkie i małe wydarzenia w „Antoninie”

Pierwszym wielkim wydarzeniem była wizyta ks. Prymasa Wyszyńskiego. W sali muzycznej zbudowano małą scenę, na której ustawiono tron. Dom wyczyszczono jak nigdy, wychowankowie otrzymali nowe ubrania. A Jerzy Ryszkowski miał wygłosić powitanie

w imieniu wychowanków. Chwila była bardzo uroczysta, śpiewaliśmy piosenki. Pamiętam, że dużo radości wywołały spodnie Ryszkowskiego, które w czasie powitania bardzo drżały. Wszystko wypadło bardzo dobrze.

Wydarzeniem powtarzającym się były obchody dnia św. Antoniego. Wtedy to przy pogodzie ustawiano stoły pod kasztanami na „okrągłaku” w parku przyzakładowym, spraszano gości. W pierwszym okresie centralną postacią był gen. Świetlik, były wychowanek z Łązniewa. Dziwiło nas to, gdyż gen. Świetlik był ministrem spraw wewnętrznych. Obserwowałem tego generała, miał z reguły obojętną twarz, aczkolwiek zajmował specjalnie dla niego przygotowany klęcznik w kaplicy. Nie pamiętam żeby jego przemówienia nawiązywały do jego pobytu w Zakładzie, za to dużo mówił o przyjaźni polsko-radzieckiej i zaletach ustroju socjalistycznego i wadach wstecznego kapitalizmu. Dla wychowanków była to okazja, aby chomikować ciasto w krzakach i strzelania do siebie z pestek czereśni. Uroczystości te miały charakter rodzinny, chociaż nie dostarczały okazji do kontaktów z byłymi wychowankami, bo przyjeżdżało ich bardzo niewiele. Dopiero znacznie później, chyba z braku aktualnych wychowanków, stały się zjazdem byłych wychowanków i trwają one do chwili obecnej, co roku 13 czerwca. Spotkania te mają zupełnie inny charakter niż dawne.

Wydarzenie, które zmieniło oblicze Zakładu to powstanie drużyny harcerskiej. Inicjatorem powołania drużyny był Janek Tunicki, który namówił ks. Baraszkiewicza. A ten zdołał przekonać ks. Michalskiego i powstała Drużyna nr 15 WDH im. św. Antoniego. Niewiele wychowanków pozostało poza drużyną, większość to harcerze. Ambicja ks. Baraszkiewicza było to, aby drużyna była najlepszą nie tylko w Hufcu Wola-Ochota, ale i w Warszawskiej Chorągwi ZHP.

Rozpoczęły się przygotowania do uroczystości. W pierwszej kolejności zostaliśmy ubrani w mundury harcerskie, lecz zamiast czapek w berety „andersowskie”. Pamiętam, że pierwszy występ we Włochach pod Warszawą z okazji zlotu Hufca wprowadził wszystkich w osłupienie co to za drużyna, skąd się wzięła. Ks. Baraszkiewicz chodził w pełnej „glorii” i jeszcze wzmógł działania, wyposażył w werble i trąbki i ponownie odniósł sukces na zlocie w Laskach, gdzie składaliśmy przyrzeczenie harcerskie.

Powstanie drużyny spowodowało integrację wychowanków wokół zastępów i wprowadziło poczucie odpowiedzialności za całą zbiorowość Zakładu. Pamiętam jak podejmowano działania, aby mój zastęp był najlepszy.

Pierwsze ognisko zorganizowano na placu Zakładu, pozwoliło nie tylko na pokazanie się publicznie, ale i było prawdziwym przełomem, bo popisywały się harcerki - pierwsze dziewczyny na terenie Zakładu.

Dalsze losy wychowanków były ściśle związane z programem działania drużyny, obozy, biwaki, wycieczki, nowe życie w Zakładzie. Nie obyło się bez drobnych incydentów. Pamiętam, rano były zbiórki i maszerowanie wokół Zakładu z gromkim śpiewem, kiedyś po porannej musztrze, było to w niedzielę, gromko śpiewaliśmy „Chodziłem po polu”. Wieczorem „na dobranoc” ks. Michalski skarcił za wykrzykiwania o jakiś tam dziewczynach. Reprimendę dostał ks. Baraszkiewicz i drużynowy. Powstanie drużyny i zmiana na stanowisku dyrektora legło u podłoża powstania samorządu.

2.5. Samorząd w „Antoninie”

Jak już wspominałem nowy dyrektor ks. Bronisław Dąbrowski prowadził rozmowy ze starszymi wychowankami w sprawach, którymi poprzednie kierownictwo nigdy nie dzieliło się z wychowankami. Taką rozmowę przeprowadził i ze mną. Będąc uczniem Państwowego Liceum Komunikacyjnego zetknąłem się z kolegami mieszkającymi w państwowych internatach, od których dowiedziałem się o istnieniu samorządów i ich roli w tych zakładach. Tymi informacjami podzieliłem się z dyrektorem, nie pamiętam jego reakcji.

Prawdopodobnie te rozmowy zaowocowały decyzją dyrektora o zwołaniu zebrania starszych wychowanków w małym studium. Na tym zebraniu w słowie wstępnym ks. Dąbrowski w sposób ogólny zachęcał zebranych do podzielenia się spostrzeżeniami i propozycjami jak najlepiej zorganizować życie w Zakładzie. Pierwszy zabrał głos Janek Tunicki, który w tym czasie był harcerzem i prezesem koła ministrantów. Zaproponował powołanie zespołów pracy do sprzątanania. Poparł go chyba Stasio Topolski. Ja ze swej strony zaproponowałem powołanie samorządu, który będzie organizował i nadzorował wszystkie prace i będzie pełnił rolę pośrednika pomiędzy Kierownictwem i wychowankami. Ks. Dąbrowski zgodził się na tę propozycję i zaproponował powołanie tymczasowego zarządu. Kolega Jurek Ryszkowski zaproponował na prezesa tymczasowego zarządu mnie, na co wszyscy się zgodzili i tak powstał załączek samorządu. Ustalono, że zostanie opracowany statut, a następnie odbędą się wybory do zarządu.

My, młodzi zapaleńcy : Jurek Ryszkowski, Janek Nowogródzki, Romek Paprocki, Daniel Sutarzewicz i Staś Topolski zabraliśmy się do opracowania statutu. W pierwszej wersji statutu wyeliminowaliśmy całkowicie Kierownictwo Zakładu i jak pamiętam dzięki życzliwemu stanowisku ks. Dąbrowskiego i jego radom powstał statut i odbyły się wybory do samorządu. Na prezesa wybrano mnie, a do zarządu weszli jako wiceprezes Janek Nowogrodzki i członek zarządu Romek Paprocki. Zabraliśmy się do pracy z zamiarem pokazania kierownictwu jacy my jesteśmy dzielni. Na pierwszy ogień poszły „minusy” i porządek oraz współpraca z bliźniaczymi zakładami. Były zabawy, przedstawienia, no i dyscyplina.

Z najważniejszych wydarzeń to walka z kradzieżami. Udało się wykryć złodziei pieniędzy i beretów. Odbyły się sądy koleżeńskie, był prokurator, obrońca i wydano wyrok. Skutki tego procesu były dobre, ale nie udało się reedukacja złodziei, musieli oni odejść z Zakładu.

Była też i opozycja, chyba w osobach Janka Tunickiego i Stasia Topolskiego, którzy nawet złożyli „votum nieufności” dla zarządu, ale wniosek upadł. W moim odczuciu samorząd spełnił zamierzenia Kierownictwa, a szczególnie ks. Dyrektora, który aż do odejścia życzliwie udzielał wszelkich rad i ewentualnej pomocy w rozwiązywaniu problemów związanych z prowadzeniem samorządu w Zakładzie. Działal On w sposób bardzo taktowny, tak że nigdy nie odczuwaliśmy bezpośredniej ingerencji, czego nie mogę powiedzieć o Jego następcy ks. Józefiaku, który posuwał się nawet do wydawania bezpośrednich poleceń członkom zarządu.

Pamiętam jak raz siedzieliśmy w małym studium kiedy zabrzmiał dzwonek na wieczorną modlitwę, a ponieważ zabrzmiał dość słabo, udaliśmy że nie słyszeliśmy i siedzieliśmy dalej na obradach. Wpadł Dyrektor ks. Bronisław i podniesionym głosem (co zdarzało mu się rzadko) powiedział „Co to znaczy, pogłuchliście czy co ? I prezes tu radzi”. Ja udałem obrażonego i odrzekłem „A co ma tu do rzeczy prezes ? Proszę nie pomiatać prezesem, bo nie słyszeliśmy dzwonka”. Potem w słowie „na dobranoc” ks. Dąbrowski nawiązał do tego incydentu, ja poczułem się winny i po modlitwie poszedłem do kancelarii i przeprosiłem Dyrektora, co go tak wzruszyło, że przytulił mnie do siebie, a ja poczułem się jeszcze gorzej i postanowiłem już nigdy nie robić takich „numerów”.

3. Opieka św. Antoniego

Na początku mego pobytu stosunek do opowiadań o opiece św. Antoniego nad Zakładem traktowałem dość lekko. Teraz mogę stwierdzić, że opieka ta ma swoje potwierdzenie w następujących faktach.

Nie brałem udziału w przeżyciach przed Powstaniem i w czasie Powstania, ale jak wytłumaczyć uniknięcie śmierci przez wychowanka, do którego w kancelarii oddano trzy strzały z bliskiej odległości, a on nawet nie został ranny ?

Wybuch Powstania zaskoczył wychowanków podczas przerwy rekreacyjnej, kiedy byli rozproszeni po całym Domu. W czasie strzelaniny było wielu zabitych i rannych po obu

Wspomnienia „Antoniaków”

stronach, ale nikt z naszych wychowanków i wychowawców nie odniósł żadnego obrażenia. Deportacja do Akademika na pl. Narutowicza, na „Zieleniak” i do Niemiec, a potem powrót prawie wszystkich wychowanków i wychowawców, jak to można wytłumaczyć ?

Pierwsze wakacje w „Antoninie” spędziliśmy nad jeziorem koło Izbicy Kujawskiej, prawie 100 wychowanków i opiekun Pan Zygmunt, nie pływający. Całe dni chłopcy dokazywali w jeziorze, które przy samym brzegu miało 2 metry głębokości. Połowa wychowanków nie umiała pływać, a na jeziorze baraszkowali, urządzali wojny, przewracali łódki, kajaki, pływali na żerdziach i żadnemu nic się nie zdarzyło. W tym samym czasie nad jezioro przyjechała rodzina z dwojgiem dzieci w naszym wieku. Gdybyśmy nie uratowali jednego z nich dziecko utonąłoby na pewno. Porównując te wydarzenia odpowiedź nasuwa się sama - tylko Opatrzność czuwała nad nami, bo nie Pan Zygmunt.

W czasie wyprawy nad morze wszyscy wychowankowie się w nim kąpali, a utonął ks. Guzowski, nie zaś wychowanek.

Przebywałem w Zakładzie przez bądź co bądź sześć lat i w tym czasie żaden wychowanek nie umarł, a nawet nie pamiętam, aby któryś poważnie chorował, a i co o tym sądzicie ?

Ja jednak wierzę w opiekę św. Antoniego !

Moje wspomnienia zakończę taką refleksją - tylko dzięki księdzu Stefanowi Batoremu i Arcybiskupowi Bronisławowi Dąbrowskiemu do dnia dzisiejszego spotykamy się i wspominamy nasz wspólny DOM, Zakład pod wezwaniem świętego Antoniego przy ul. Barskiej 4 w Warszawie.

Wspomnienia spisane w 1992 roku.

Jan Nowogródzki

Wspomnienia z „Antonina”

Do Antonina zostałem przyjęty na jesieni 1946 roku, mając już za sobą dość długą drogę życiową : od Wasiliszek na Wileńszczyźnie, przez służbę w wojsku, pracę w elektrowni w Elku, zajmowaniem się gospodarstwem rolnym na Kaszubach, a w końcu przyjazd do Warszawy i dostanie się na Wydział Elektryczny Liceum Towarzystwa Kursów Technicznych (TKT). Przyjmował mnie do Zakładu ks. Dyrektor Michalski, który widząc przed sobą chłopaka w żołnierskim mundurze (w tym czasie było to moje jedyne ubranie) miał bardzo poważne wątpliwości, czy taki typ nadaje się do przyjęcia do zakładu. No, ale zostałem przyjęty z zastrzeżeniem, że jeżeli palę papierosy, to na papierosa mam przychodzić do jego gabinetu.

Dzisiaj, gdy piszę te wspomnienia od tamtego czasu upłynęło już ponad 45 lat. Przez ten okres, tj. prawie pół wieku, wiele wydarzeń zatarło się lub uleciało z pamięci. Ale wiele też zostało do dzisiaj, a niektóre wspomina się z wielką przyjemnością. Dla mnie do takich miłych i sympatycznych wspomnień należy między innymi powołanie w „Antoninie” drużyny harcerskiej, jej pierwszy okres działania oraz jak zyskałem przydomek „Ojciec” albo „Ociec” czy „Baćko”.

Na powołanie drużyny harcerskiej w „Antoninie” wpłynęły niewątpliwie tak sytuacja, jak i warunki wewnątrz i na zewnątrz zakładu. Po pierwsze, w tym powojennym okresie wychowankowie przebywający w „Antoninie” tworzyli zbiorowisko młodzieży bardzo zróżnicowanej pod względem wieku, przeżyć i doświadczeń życiowych oraz przyzwyczajień środowiskowych. Pochodzili z różnych środowisk i różnych stron kraju. Znaczną część stanowili warszawiacy, którzy przeszli i przeżyli Powstanie Warszawskie, ale było też sporo chłopców pochodzących ze wschodnich terenów Polski sprzed 1939 r., których też nieraz

bardzo trudne drogi doprowadziły do „Antonina”. Opanowanie i wychowywanie tak zróżnicowanej grupy młodzieży narażało niewątpliwie bardzo wiele problemów kierownictwu i wychowawcom zakładu.

Z drugiej strony panującej w owym okresie władzy partyjnej i państwowej trudno było się pogodzić z tym, że zakład dla młodych chłopców prowadzony jest przez księży, a one nie mają żadnego wpływu na wychowywanie tej młodzieży. Dlatego też Kuratorium Okręgu Warszawskiego, któremu zakład podlegał, zaczęło wywierać naciski aby w zakładzie powołać organizację młodzieżową, a według ówczesnej władzy najlepszą byłaby organizacja ZWM (Związek Walki Młodych). Biorąc pod uwagę powyższe uwarunkowania i okoliczności kierownictwo zakładu podjęło decyzję powołania w zakładzie drużyny harcerskiej.

Była to bardzo słuszna decyzja, bowiem w owym czasie harcerstwo było organizacją o tradycjach baden-powelowskich, a jednocześnie wytrącała Kuratorium podstawę do zastrzeżeń, że w zakładzie nie ma organizacji młodzieżowej. Decyzja ta wynikała również z przekonania Kierownictwa zakładu, że w tak zróżnicowanym zbiorowisku młodzieży należy wprowadzić zmiany w dotychczasowych metodach wychowawczych, w kierunku większej wzajemnej integracji wychowanków i ich większego zaangażowania w życie zakładu.

Jest luty 1947 roku - w „Antoninie” zostaje powołana 15 WDH, do której wstępuje około 80 % wychowanków. Ułatwieniem w organizowaniu drużyny jest to, że wcześniej należeli do harcerstwa Jurek Ryszkowski i Stasio Caban. Oni też przede wszystkim podjęli prace i działania związane z organizowaniem drużyny. Jurek został przybocznym, a zastępowymi starsi „Antoniacy” cieszący się uznaniem wśród kolegów, którzy jednak nie mieli za sobą doświadczeń w pracy harcerskiej. Ja zostałem zastępowym zastępu „Jeleni”, który w moim przekonaniu (i bez chępliwości) był jednym z najlepszych zastępów w drużynie, stanowił bowiem zgrany zespół życzliwych i oddanych sobie kolegów.

Natychmiast po powołaniu drużyny rozpoczęły się prace związane z przygotowaniem do złożenia przyrzeczenia i zdobycia stopnia harcerskiego - „młodzika” oraz do wyjazdu na obóz letni. Bieg na „młodzika” odbył się w maju w Łązniewie, a potem odbyło się składanie przyrzeczenia harcerskiego.

Na obóz letni wyjechaliśmy w lipcu, w okolice Włocławka nad Jezioro Wikaryjskie. Warunki obozowania były wspaniałe : dookoła wysoki las sosnowy, woda jeziora czysta, dno piaszczyste, a jego łagodne brzegi pozwalały na wytyczenie dość dużego i bezpiecznego kąpieliska. Nad jeziorem obozowały również inne drużyny i Komenda Hufca Wola-Ochota, z tym że rozlokowali się po drugiej stronie jeziora. Po przybyciu na miejsce rozpoczęliśmy rozbijanie obozu, stawianie namiotów, masztu na flagę oraz urządzenie kuchni i stołówki. Stołówkę stanowił rów głębokości ok. 0,5 m spełniający rolę ławy, a wykopany i usypany na przedpolu piasek był naszym stołem.

Po kolacji było pierwsze obozowe ognisko, piosenki, a na zakończenie pieśń-modlitwa :

„Idzie noc, słońce już
zeszło z pól, zeszło z gór, zeszło z mórz...
W cichym śnie usnij już,
Bóg jest tuż, Bóg jest tuż,
Bóg jest tuż...”

Myślę, że niejednemu z nas melodia i słowa tej pieśni-modlitwy śpiewanej w głębokiej ciszy otaczającego lasu pozostaną w pamięci do końca życia.

W następnych dniach rozpoczęło się normalne życie obozowe - pobudka, gimnastyka i mycie się w jeziorze, podniesienie flagi na maszt i śniadanie. Następnie zastępy wyruszały na wycieczki w celu zapoznania się z okolicą i zdobywania sprawności harcerskich. W czasie jednej z takich wycieczek zastęp „Żubrów”, do którego należeli najstarsi wychowankowie, „rozeznał”, że w sąsiedniej miejscowości Warząchewka jest prowadzona przez harcerki kolonia zuchów. Aby poznać się bliżej i zaprzyjaźnić z „zuchami” zastęp „Żubrów” zaczął

tak układać trasy swoich wycieczek, że przeważnie przebiegały one do kolonii „zuchów”. Wobec tego, że wiadomość o „kolonii zuchów” rozeszła się w drużynie, inne zastępy zaczęły również tak planować swoje wycieczki, aby można było odwiedzić „zuchów”. Należy jednak przyznać, że największą i zresztą wzajemną sympatią u „zuchów” cieszył się zastęp „Żubrów”. Zastęp „Żubrów” nie ukrywał swoich chęci do jak najczęstszego odwiedzania „zuchów” i w swoim skeczku przedstawionym na ognisku przy Komendzie Hufca w „modlitwie do Allacha” wśród innych prośb znalazło się i takie „błaganie” : „o tramwaj do Warząchewki, prosimy cię Allachu...”. W sumie ognisko przy Komendzie Hufca z występami i piosenkami poszczególnych drużyn bardzo się wszystkim podobało, z tym, że najbardziej rozbawiło błaganie „Żubrów” w ich „modlitwie do Allacha”.

Do obozu drużyna wracała rozbawiona i w wesołym nastroju. Wrażenia z ogniska usuwały chęć do snu tak, że pomimo obowiązującej „ciszy nocnej” było gwarно i trwały opowiadania wrażeń z ogniska często przerywane głośnym śmiechem. Niestety, w namiocie „Jeleni” było zbyt gwarно i hałaśliwie, a moje prośby : „przestańcie hałasować, uspokójcie się, dość już tego” nie odnosiły pożądanego skutku. Wtem do namiotu wszedł nasz wychowawca - ks. Jan Baraszkiewicz i polecił wszystkim, z wyjątkiem zastępowego, wyjść przed namiot. Koledzy wyszli i ja też z nimi, ale otrzymałem polecenie powrotu do namiotu. Ks. Baraszkiewicz udał się tymczasem do namiotu Komendy Drużyny, a jak sądzę jego decyzja w stosunku do mnie wynikała prawdopodobnie z tego, że słyszał moje uciszanie, a nie wiedział, że wcześniej zachowywałem się tak, jak inni koledzy. Jednak w sumie cała ta sytuacja naszego zastępu nie wyglądała ciekawie. Wychowawca coś tam rozmawiał w Komendzie, koledzy stali przed namiotem w piżamach i było im zimno, bo chociaż było lato to jednak noce były dość chłodne, a ja siedziałem w namiocie i zastanawiałem się, co może być dalej. No, ale przede wszystkim żal mi było kolegów, że marzną, wziąłem więc koce, zaniósłem je kolegom i za chwilę wszyscy byli okryci i cieszyli się, że nie jest już im zimno. Również jakoś nie myśleli już o karze, która może ich spotkać, a przecież mogło nastąpić nawet usunięcie z obozu i powrót do Warszawy. No, ale czekamy...

Po pewnym czasie wrócił nasz wychowawca z przybocznym druhem Jurkiem i był zaskoczony, że koledzy stoją okryci kocami. Zapytał więc ostrym głosem : „Kto wam przyniósł te koce i po co ?”. Otrzymał wypowiedzianą cichymi głosami odpowiedź : „Koce przyniósł nam zastępowy, bo się martwił byśmy nie zmarzli”. Po tym wyjaśnieniu nastąpiła chwilowa kłopotliwa cisza. Niespodziewanie całą tą nieprzyjemną sytuację i napiętą atmosferę rozładowała wypowiedziana z uśmiechem żartobliwa uwaga druha Jurka : „Ten wasz zastępowy to ojciec, bo dba o was jak ojciec, pewnie musicie go lubić ?”. Na co otrzymał zgodną odpowiedź - „No pewnie”. Po tej odpowiedzi roześmieli się wszyscy, nawet ks. Baraszkiewicz, chociaż usilnie starał się powstrzymać od śmiechu. Zastęp otrzymał polecenie powrotu do namiotu i zachowania ciszy, a ustalenie kary zostało odłożone do jutra. Sprawa kary - która nie była tak surowa, jak myśleliśmy - to już inna historia.

Określenie druha Jurka podobało się kolegom tak, że zastępowy zastępu „Jeleni” zyskał w zastępie, później w drużynie, a następnie i w „Antoninie” przydomek „Ociec” lub „Ojciec”, a czasem „Baćko”.

Relacja spisana w 1992 roku.

Marian Pakoca

Wiersze

Orioniści mnie kształtowali

To Wyście mnie kształtowali
Duszę do Boga zbliżali
Wy Orioniści, kapłani
Wy księża moi kochani.
Wy zakonnice wybrane
Bogu tak miłe kochane
Tutaj na Barskiej w stolicy
Duch mój się chował w kaplicy.
Święty Antoni go wspierał
By mężny był, nie zamierał
Duszy przynosił otuchę
Gdy trzeba przynosił skruczę.
Me serce Świętemu tam biło
Na Barskiej do Niego tuliło
Do dzisiaj duszy osłoda
Jej blaskiem, mej duszy uroda.
Do dzisiaj jej nic nie potrzeba
Choć biedna wystarcza jej chleba
Maryję nad wszystko miłuję
Bożej łaski wciąż potrzebuję.
Wstawcie się za mną kapłani
Niech zło jej już nie tumani
Niechaj dobrocią nasiąknie
Waszą dobrocią przesiąknie.
Kapłańskiej dobroci jej trzeba
By Boga sięgnęła i nieba
Aby Bogiem się nasyciła
Zanim serce skryje mogiła.
Me serce dla Was wciąż bije
W nim miłość do Was się kryje.
To Wyście je kształtowali
Duszę do Boga zbliżali.
Wierszem Wam za to dziękuję
Was miłosierdziem miłuję.
Siostry, kapłani kochani
Wy moi umiłowani.
Za Was odmawiam pacierze
Przy Was wzrastałem ja w wierze.
Wam Orioniści dziękuję
Księdza Orione całuję.

28 lipca 1991 r.

Ojcie Arcybiskupie

O mój Ojcie Ukochany
Bronisławie drogi
Sprawiedliwy Duszpasterzu
W sutannie bez togi.

W Twoje dłonie namaszczone
Daję mego ducha
Niechaj Ciebie mój Kapłanie
On się zawsze słucha.

Póki życie w Tobie jeszcze
Miej go w opatrności
Teraz stale tu na ziemi
A później w wieczności

Kiedy Bóg mnie wcześniej wezwie
Nie zapomnę Ciebie
A gdy ducha mego zbawi
Bogu powiem w niebie

O dobroci Twojej Ojcie
Mej duszy Pasterzu
I jak wielki Papież Polak
Maryi Rycerzu

Ja za Ciebie wciąż się modłę
Pamiętam o Tobie
Kiedy Ciebie stracę Ojcie
Zostanę w żałobie.

Niechaj Pan Bóg da Ci zdrowie
Tyś z krzyżem związany
Drogi mój Arcybiskupie
Księżu ukochany

Cały Polski Episkopat
Wciąż na Twojej głowie
Mocą Ducha nim kierujesz
I księża posłowie

Bóg Ci zapłać dobry Ojcie
Za Twój ą opiekę
Ja mą duszę rozpostarłem
Przed Bogiem jak rzekę.

Pobłogosław jej na drogę
Niech do Boga płynie

Wspomnienia „Antoniaków”

Ona z Tobą i przy Tobie
Z Bogiem się nie minie.

Tyś mej duszy jest kapłanem
Orionisto drogi
Z moich wierszy bukiet kwiatów
Kładę Ci pod nogi.

Błagam, przyjmij go zacny Ojcze
Niech je Kościół wyda
Niechaj moje to pisanie
Duszom szczęście przyda.

4 marca 1992 r, Środa Popielcowa

Wychowankowie Księża Orionistów

To my, ze znanej bursy
Chłopcy z Barskiej cztery
Ze stolicy, z Warszawy
Mamy dobre maniere

W nas je zaszczepili
Księża Orioniści
Idziemy poprzez życie
Nieznając nienawiści

To my, antoniacy
Z małego Antonina
Gdy naszych Ojców spotkamy
Weseleje nam mina

Jego Eksceleńcja Bronisław
Arcybiskup Dąbrowski
Przywódcą jest naszej wspólnoty
Od Niego dla nas płyną
Dobra przymioty

Z Ojcowskim błogosławieństwem
Nam je przekazuje
Lecz dobra Swej duszy
Nigdy nie ujmuje

Bo dobroć Boża
Jest wszak nieskończona
Przez wybrańców Boga
Dawana nam ona

Wspomnienia „Antoniaków”

Dzięki Ci Arcypasterzu
I Ojczy naszemu wspólnoty
Twój trud nie poszedł na marne
Wśród nas nie ma niecnoty

My wierni Bogu, Ojczyźnie
Tobie i naszej wierze
Za Twoje zdrowie i Ojczy
Odmawiamy pacierze

Święty Antoni ich słucha
Królowa Polski błogosławi
W Waszej i w naszej pracy
Bo każdy z nas imię Jej sławi

My dzięki Waszej lekcji
Umiemy modlić się szczerze
Z wiarą idziemy przez życie
I umrzeć pragniemy w tej wierze

Nasz Mistrzu, Arcybiskupie
Ojczy i Dobry Kapłanie
Miłość Twoja ojcowska
Na zawsze niech z nami zostanie

Miałeś nas tylu synów
Rodziców nam zastąpiłeś
W biedzie nie dałeś zginąć
Dobroć w nas zaszczepiłeś

Przez Swoich Kapłanów i Siostry
Co byli tak nam oddani
Ty i Oni w naszej pamięci
Na zawsze jesteście kochani

Polskie „Bóg zapłać” składamy
Na Barską te słowa niesiemy
Choć bursy tam dzisiaj już nie ma
W kaplicy zostawić pragniemy

Niesiemy te słowa z wdzięcznością
Z serc naszych gorących dziś płyną
Rozgrzanych Waszą miłością
Z Wami nasze serca nie zginą

Antoniacy w Powstaniu Warszawskim

Wspomnienia „Antoniaków”

Wiersz napisany na podstawie opowiadań Antonia Jana Tunickiego

Bronili świętej Wiary
Bronili polskości
Jak wszyscy Antoniacy
Pragnęli wolności

Pragnęli jej z Narodem
I za nią walczyli
Za Wiarę, za Ojczyznę
W powstaniu się bili

A księża Orionści
Duchem ich wspierali
Na roboty do Niemiec
Niejednych zabrali

Przy linii Maginota
Różaniec mówili
Przez Szwajcarię jechali
Do kraju wrócili

Niejednego wszak cudu
W wygnaniu doznali
Nasi księża i chłopcy
Maryi wspaniali

Wielebny Ksiądz Batory
Pamięta te chwile
Nie lubi o tym mówić
Wspomina niemile

Niemiecki obóz przeżył
Tunicki sierota
Wielu z nich zginęło
To chłopcy, biedota

Ten dom swój w Antoninie
Wszyscy wysławiają
A księży Orionistów
Wielbią i kochają

Święty Antoni sprawia
Wstawia się za nami
A Matka Boża czuwa
My są Polakami

To dzięki Orionistom
Modlić się umiemy
Ze świętym swym Patronem

Wspomnienia „Antoniaków”

Przez życie idziemy

Powstanie jest za nami
Wolność już nastąpiła
Modlimy się wszyscy
Orionistom chwała

Wielebny Ksiądz Orione
Dziś błogosławiony
Na wieki wieków, zawsze
Przez nas będzie czczony

Antoniaków pieśń dziękczynna

Dobry domie, Antoninie
Dziś dla ciebie pieśń ta płynie
Lat młodszych tyś wspomnieniem
Dla obecnych lat westchnieniem

Pamiętamy dawne czasy
Antonińskiej pełne krasy
Gwarem, wrzawą rozbrzmiewałeś
Wychowanków wielu miałeś

Bursą naszą ty nam byłeś
Biednych chłopców wykarmiłeś
Antoninie, Antoninie
Niech o tobie sława słygnie

Wszystkim dałeś ty schronienie
W szafkach miejsce też na mienie
Książek trochę i ubranie
Całe nasze posiadanie

Internacie, Antoninie
Myśl o tobie w nas nie zginie
Dzisiaj ciebie już nie mamy
Lecz kaplice odwiedzamy

Wykruszyły się szeregi
Już nie pełne są po brzegi
Zmarli ci, co w przodzie stali
Młodszy ich już pochowali

Dzisiaj nas już nie przybywa
Z roku na rok nas ubywa
Coraz zmniejsza się wspólnota
Dobrzy chłopcy nie hołota

W Antoninie wychowani

Antoniacy wszyscy zwani
Wiarą przodków pobratani
Poprzez księży pokochani

Orioniści nasi księża
Oni nas wychowywali
Wciąż dobroci nauczali
W wierze ojców umacniali
Tak ofiarnie pracowali

Wielebni księża
Wasza praca plon wydała
Wyrośliśmy - Wam dziś chwała
Bóg wam zapłać
Za te trudy
Niechaj grają stare dudy
I radości pieśń rozbrzmiewa
Kto Antoniak niech ją śpiewa

Naszym księżom
Pieśń dziękczynna
Polska, prosta, żadna inna
Aby serca Ich wzruszyła
Im radości przysporzyła
Nim pokryje nas mogiła

Kaplica na Barskiej 4

Małeńka kaplica na Barskiej
Z bursy mojej została
Do mszy świętej tam kiedyś służyłem
Kapliczko ty moja wspaniała

Po latach trzydziestu z górą
W twych progach ponownie stanąłem
Ołtarz świętego Antoniego
Duszą i wzrokiem objąłem

I uklęknąłem od razu
Zmówić jak dawniej pacierze
Za lat minionej młodości
Bym do starości trwał w wierze

Święty Antoni
Ogniu seraficznej miłości
Rozpal me serce płomieniem
Daj ostrożność w mądrości

Przywiedź mą duszę zbłąkaną
Jak najczęściej w próg swej kaplicy
Tyle lat tutaj nie byłem
A mieszkałem przecież w stolicy

W mieście gdzie stoi kaplica
Mej pięknej ubogiej młodości
W której prosiłem patrona
O naukę powściągliwości

Opatrzność Boża to sprawia
Że żyję i mogłem tu wrócić
Tu przed figurkę świętego Antoniego
Bom z serca nie pragnął jej zrzucić

Jaśnieją w pamięci obrazy
Z dawnych minionych lat
Kaplicy z ulicy Barskiej
W mej duszy widnieje twój ślad

Przystań świętego Antoniego

Jestem sobie antoniaczek
Święty Antoni to mój znaczek
Z niego jestem bardzo dumny
Proszę włóżcie go do trumny

Wraz z różańcem co używam
Z nim modlitwy swe odbywam
Te przedmioty - moje mienie
Od nich płyną łask strumienie

W rzekę życia się zlewają
Mnie do Boga przybliżają
I do Matki Przenajświętszej
Mej patronki najjaśniejszej

Skromna łodzi życia mego
Wpłyn do portu świętego Antoniego
Cześć Mu oddaj i honory
Niech nie straszne ci upiory

Tyś choć licha pewnie płyniesz
Przez ocean ty przepłyniesz
Więc do portu tego zdążaj
Za życzeniem mym podążaj

Nikt cię w drodze nie zatrzyma
Bo ty płyniesz z Antonina

Od mych Ojców Orionistów
Z dusza moją, bez turystów

Na spotkanie upragnione
Poprzez życie wymarzone
Tam w przystani Wszystkich Świętych
W majestacie niepojętych

Romuald Paprocki

Mój pobyt w „Antoninie”

Do Antonina przybyłem w styczniu 1948 roku. Studiowałem wtedy na 1-szym roku Politechniki Warszawskiej i od początku stycznia znalazłem się bez dachu nad głową. Moi rodzice mieszkali wtedy w Łowiczu, dokąd przyjechaliśmy po tzw. repatriacji z Wilna.

Do końca grudnia mieszkałem jeszcze w Domu Akademickim na Placu Narutowicza. Dostałem się tam w lecie 1947 roku jako słuchacz kursu przygotowawczego na Politechnikę, a więc oficjalnie - tylko na dwa miesiące. Nie udało mi się natomiast dostać stałego przydziału w tymże domu jako studentowi. Administracja Domu Akademickiego tolerowała do końca grudnia niewielką już grupkę takich jak ja nielegalnie mieszkających, ale od stycznia trzeba było poszukać sobie innego lokalu. I wtedy właśnie moja matka dowiedziała się o istnieniu zakładu wychowawczego dla chłopców na Barskiej, prowadzonego przez księży Orionistów. Zjawiłem się tam z Matką w styczniu 1948 roku. Przyjmował nas ówczesny dyrektor Domu ksiądz Bronisław Dąbrowski. Rozmowa była krótka i rzeczowa - w jej wyniku znalazłem się w „Antoninie” na całe cztery lata.

Na początku musiałem się wdrożyć do pewnych panujących tu rygorów : wielka zbiorowa sypialnia, określony czas snu i posiłków, wspólne modlitwy, konieczność opowiedzenia się przy wychodzeniu z Domu, dyżury przy pracach porządkowych. Ja zaś byłem przyzwyczajony do dużej samodzielności, bo przez ostatnie dwa lata, uczęszczając do liceum w Białymstoku, mieszkałem poza rodziną. Początkowo ze starszym rodzeństwem, a ostatni rok - sam. Tutaj i tak miałem więcej niż inni swobody ze względu na to, że zajęcia na uczelni odbywały się w różnych porach dnia.

W tym czasie było nas w „Antoninie” dwóch studentów, poza mną Daniel Szutarzewicz, popularnie zwany „Daniłko”, zawsze ruchliwy i bardzo aktywny, szybko chodzący i szybko mówiący. Pozostali chłopcy chodzili do szkół podstawowych i średnich - przeważnie zawodowych i techników. Rozpiętość wieku była duża, byli między nimi i starsi ode mnie, bo ja miałem to wyjątkowe szczęście, że w czasie wojny nie straciłem ani jednego roku, ucząc się w Wilnie na tzw. kompletach tajnego nauczania. Nie ze wszystkimi los obszedł się tak łaskawie i wielu miało po parę lat przerwy w nauce. Teraz za to pęd do wiedzy był ogromny, starano się odrobić te stracone lata. Stąd te kursy zerowe, przygotowawcze itp., żeby jakoś wyrównać poziom wykształcenia.

Wśród chłopaków wyraźnie przewodził nieco ode mnie straszny Zdzisiek Lebieź, zaprzyjaźniłem się z nim wkrótce i tak już zostało na długie lata, aczkolwiek apodyktyczny sposób bycia i ostry język Zdzicha łatwo mogły razić co wrażliwszych kolegów. Trzymaliśmy się zwykle czwórką razem z nim, Jurkiem Ryszkowskim i Jankiem Nowogrodzkim, którego nazywaliśmy między sobą „Baćko” ze względu na wschodni akcent i rysy, no i wiek. Janek pochodził z Nowogrodzyczyny i miał za sobą bogatą przeszłość, udział w partyzantce tam na Wschodzie i służbę w Ludowym Wojsku Polskim. Ale takie było to nasze pokolenie przedwcześnie dojrzałe w latach wojny, pozbawione dzieciństwa, niejednokrotnie bardzo

ciężko doświadczony. Ja na przykład byłem jednym z bardzo nielicznych, mających oboje żyjących rodziców.

Moja sytuacja w „Antoninie” była o tyle jeszcze szczególna, że moim kolegą na Wydziale Mechanicznym Politechniki był ksiądz Jan Baraszkiewicz, orionista, mieszkający w naszym Domu na Barskiej. Przedtem był tu wychowawcą, teraz zajęcia na uczelni nie pozwalały na to. Skierowany został na studia, bo Zgromadzenie Orionistów zamierzało zorganizować warsztaty mechaniczne, aby zgodnie z założeniami dać swym wychowankom konkretny fach. Na Politechnice ks. Janek budził sensację jako jedyny kapłan. Lubiliśmy bardzo przysłuchiwać się jego dyskusjom światopoglądowym z grupą oficerów studiujących na naszym Wydziale. W dyskusjach tych ks. Janek dzięki przygotowaniu filozoficznemu odnosił niejednokrotnie - ku naszej wielkiej ucieście - spektakularne zwycięstwa. Z uwagi na wiek niektóre przedmioty szły mu ciężko, ale na ogół dawał sobie nieźle radę. Miał zresztą do tej techniki wyraźne zamiłowanie. Przez te lata wspólnych studiów zaprzyjaźniłem się z nim serdecznie, bardzo odpowiadała mi jego bezpośredniość, żywy i impulsywny charakter. Nieraz uczyliśmy się razem, więc byłem częstym gościem w jego pokoju, położonym na skraju korytarza na pierwszym piętrze.

W „Antoninie” mieszkał jeszcze jeden ksiądz Orionista, studiujący polonistykę na Uniwersytecie Warszawskim. Był to ks. Stefan Batory, wysoki, o smukłej, przystojnej twarzy i ciemnych, z lekka kędzierzawych włosach. Widywaliśmy go rzadko, jeżeli natomiast prowadził wspólne nabożeństwo zwracały uwagę jego kazania - krótkie, ale pełne treści, doskonałe w formie. Raz do roku ks. Batory występował jako św. Mikołaj, z własnymi wierszykami i piosenkami nawiązującymi do różnych życiowych (często sercowych) perypetii wychowanków. Ostry dowcip mieszał się tam z łagodną drwiną. Chłopcy zachodzili nieraz w głowę, skąd ks. Batory wiedział o tych, tzw. mało zdawałoby się znanych sprawach.

Bezpośrednią opiekę nad naszą czeredą kilkudziesięciu chłopaków sprawowali księża wychowawcy; w pamięci utkwił mi szczególnie ks. Józef Kołaciński ze swym nieustannym lekkim uśmiechem, później ks. Józef Józefiak i ks. Stanisław Jarnuszewski. O nasze sprawy bytowe dbały siostry zakonne, mieszkające w wydzielonej części budynku, na parterze. Miały pełne ręce roboty z praniem i cerowaniem bielizny, no i gotowaniem dla takiej „bandy głodomorów”. Czasy były ciężkie, były to pierwsze lata powojenne, więc wyżywienie było raczej skromne. My zaś przy swoich kilkunastu latach apetyty mieliśmy wręcz nienasycone. Nie mieliśmy więc skrupułów, jeżeli komuś udało się „skombinować” dodatkowe drugie danie podczas posiłków obiadowych.

Przy „Antoninie” istniała drużyna harcerska nr 15 W.D.H. imienia św. Antoniego Padewskiego. Należeli do niej wszyscy aktywniejsi chłopcy, a że w ogóle mieszkając w jednym domu byliśmy bardzo zżyci ze sobą „15-tka” tworzyła ślicznie zgrane towarzystwo. Drużynowym był jakiś druh z zewnątrz (nie pamiętam już nawet jego nazwiska), ale na codzień przewodził przyboczny, czyli Jurek Ryszkowski. Ta sytuacja powtarzała się później i w innych konfiguracjach personalnych (Jurek został wkrótce drużynowym „15-tki”), co znalazło odbicie w dwuwierszu ks. Batorego na kolejnych „mikołajkach” : „ Jakiś ryś w „piętnastce” jest bardzo widoczny ? // Drużynowy się bawi, rządzi druh przyboczny” ...

Nie należałem dotychczas do harcerstwa, mimo że jego ideały pasowały dokładnie do moich zapatrywań. Nie sprzyjały temu ani lata wojny, ani bardzo trudne pierwsze dwa lata powojenne. Uważałem, że ze względu na wiek (ukończone 18 lat) już się do tego nie nadaję. Tu w „Antoninie” mogłem zweryfikować ten pogląd; do „piętnastki” należało wielu chłopców w moim wieku. Na wiosnę 1948 roku zostałem więc członkiem zastępu „Żubrów”, do którego zgodnie z nazwą należeli najstarsi chłopcy i którym dowodził Zdzisiek Lebieź. Tej samej wiosny złożyłem uroczyste przyrzeczenie harcerskie, a w lecie wziąłem udział w obozie nad Jeziołem Ostrzyckim na Kaszubach. Był to dla mnie pierwszy, a jednocześnie ostatni prawdziwy obóz harcerski, bo już w następnym roku pod naciskiem władz ZHP zaczął

coraz szybciej zmierzać w kierunku organizacji harcerskiej mającej wychowywać młodzież w duchu socjalistycznym, przygotowując ją do wstąpienia do ZMP. Był to oczywiście koniec naszej 15 WDH, w nowej rzeczywistości nie było miejsca na drużynę harcerską w takim środowisku i o takim patronie. W 1949 roku została ona przeniesiona do szkoły podstawowej przy ul. Raszyńskiej, zmienił się też jej patron na gen. Karola Świerczewskiego. Paru nas uczestniczyło w rozruchu tej nowej „piętnastki”, ja latem 1949 roku prowadziłem jeszcze podobóz tej drużyny w ramach obozu Hufca „Ochota” w Bardzie Śląskim, ale wkrótce musiałem się rozstać z tą organizacją - zbyt wiele mnie różniło...

Ale to były czasy późniejsze, w 1948 roku przeżywałem bardzo głęboko swą harcerską przygodę i biwak w Zielonce, letni obóz nad Jeziorem Ostrzyckim, biegi na kolejne stopnie, zdobywanie sprawności - była to spóźniona nieco rekompensata za zabrane przez wojnę dzieciństwo.

Wśród innych drużyn Hufca „Ochota” 15 WDH wyróżniała się zżyciem i zgraniem, wyróżniała się również zewnątrznie. Dzięki darom, które księża Orioniści otrzymywali dla naszego Domu od różnych zagranicznych organizacji charytatywnych występowaliśmy wszyscy jednolicie i to nieźle umundurowani, o co nie było łatwo w tych trudnych powojennych czasach. Byliśmy poza tym bardzo rozśpiewani, w śpiewie zajmowaliśmy czołową pozycję nie tylko w Hufcu, ale w całej Chorągwi Warszawskiej. W tym chórze śpiewałem i ja, aczkolwiek los poskąpił mi nieco głosu i słuchu.

Ważnym wydarzeniem w życiu „Antonina” było założenie w 1949 roku samorządu wychowanków. Było to zgodne z duchem czasu, samorząd miał pomóc kierownictwu Domu w rozwiązywaniu problemów wychowawczych, no i stanowić wizytówkę dla władz oficjalnych. Prezesem został wybrany Zdzisiek Lebień. Była to szczęśliwa okoliczność, Zdzisiek był silną indywidualnością, potrafił wypracować swój styl działania, narzucając go innym chłopcom i zachować, mimo różnorodnych nacisków. Ja byłem członkiem Zarządu, a potem przewodniczącym Sądu Koleżeńskiego. Nie napracowałem się na tej funkcji, mieliśmy chyba tylko jedną rozprawę.

W miarę upływu czasu nasza grupka uległa rozbiciu. Janek i Jurek wyprowadzili się z „Antonina”, do Domu przychodzili teraz nowi, młodszy chłopcy, co było właściwie sytuacją normalną, ale powodowało, że my - starsze wiekiem i stażem pokolenie - stawaliśmy się coraz bardziej wyobcowani. Ja ostatecznie pożegnałem się z „Antoninem” w grudniu 1951 roku, gdy po podjęciu pracy w Zielonce (jeszcze przed ostatecznym zakończeniem studiów) dostałem tam samodzielne mieszkanie. Do Domu na Barskiej wpadałem jeszcze, początkowo często, później coraz rzadziej, w miarę, jak wciągała mnie coraz bardziej praca zawodowa, a później życie rodzinne. Pozostały wizyty każdego 13-go czerwca, w dniu św. Antoniego, który był zawsze naszym świętem. Było to i jest okazją do kolejnych spotkań z dawnymi kolegami, do konfrontowania postaw, osiągnięć itp.

Moja sytuacja w „Antoninie” była nietypowa, gdyż nie zastępował mi on - jak innym chłopcom - domu rodzinnego. Miałem przecież oboje żyjących rodziców i dom, do którego często jeździłem.

Gdy jednak sięgam pamięcią do tego odległego czasu, bo sprzed czterdziestu laty, to widzę go w jasnej, cieplej tonacji, a gdy myślę o „Antoninie” mówię po prostu „DOM”.

Wspomnienie spisane w 1991 roku.

Jerzy Ryszkowski

Brama (opowiadanie)

Wyszedł pośpiesznym krokiem ze Studium trzymając kilka książek pod pachą. Szybko przemierzył pusty korytarz i zatrzymał się krótko przy poręczy galeryjki, spojrzął na gimnastyczną salę w dół i zatrzymał wzrok na bocznej ścianie, która była ekranem podczas wyświetlania wojennych filmów amerykańskich z walk na Pacyfiku. Marzył o podróżach, by tam kiedyś pojechać, być, zobaczyć zielone, strzępiaste palmy i wyspy Okinawa, Truck, Midway, gdzie tonęły lotniskowce, Filipiny, gdzie wylatywały w powietrze olbrzymy - pancerniki i słynny, nie do zdobycia, Singapur.

A tymczasem - wrócił z dalekiej podróży - omiótł ostatnim spojrzeniem wejście do kuchni - królestwo Sióstr, które nas żywiły i w jadalni, do której wchodziło się zawsze w karnym szeregu i z nadzieją, że może uda się zrobić „szacher-macher”.

Rzucił ostatnie spojrzenie na schody, którymi się zawsze wracało z miasta i szybko ruszył do wyjścia przez salę muzyczną, opustoszałą o tej porze. Dobrze, że nikogo nie ma - myślał sobie - chciał być sam przy tym niby pożegnaniu. Na muzycznej znów dopadły go wspomnienia. Pod ścianą z gazetką oto stoją stoliki, świadkowie zażartych bojów w szachy, które ściągały przysięgłych szachistów i kibiców takich jak ks. Ratajek i ks. Józefiak, a czasem przychodził nawet sam ksiądz Prowincjał, by kibicować i często rozstrzygać spory gry w ulubioną damkę. Zaś przy fortepianie zamkniętym i cichym kiedyś stali chłopcy, wszyscy z drużyny harcerskiej i często do dwunastej w nocy ćwiczyli na cztery głosy z organistą parafii św. Jakuba słynną pieśń ludową „...czemu Kalino w dole stoisz, czy ty się letniej suszy boisz?”. Jednak cierpliwość została sownie nagrodzona, bo w konkursie śpiewaczym drużyna zdobyła pierwsze miejsce w Chorągwi Warszawskiej ZHP i zgarnęła prawie wszystkie co cenniejsze nagrody. A ks. Baraszkiewicz, opiekun drużyny, cieszył się razem z nami i niemniej niż my i nie musiał kupować werbli i fanfar.

A dziś - otrząsnął się ze wspomnień - wszystko się kończy, przecież to ostatni dzień pobytu, ostatnie minuty w Zakładzie, koniec z dziecinadą, jesteście dorośli, dziś idziemy w świat, od dziś sam sobie sterem i okrętem. Wypadł z muzycznej i prawie biegiem przeleciał przedpokój kancelarii, by znaleźć się na schodach mrocznej, pachnącej smarami i piwniczną stęchlizną klatki, prowadzącej na podwórze i główną uliczkę od piwnicy do zabudowań gospodarczych.

Prędeż, prędeż - nagle przypomniał sobie - bo tam już pewnie Janek i Daniel czekają od dobrych kilku chwil, siedzą na wozie i się niecierpliwia - myślał - zbiegając po schodach po dwa stopnie i trzymając kurczowo w rękach odnalezione książki, które zawieruszyły się gdzieś na małym studium.

Nie śpiesz się tak, hamował rękę, bo chłopaki pomyślą, że ci się tak bardzo śpieszy do tej wolności. Będziesz jej miał chłopie po same uszy - przyszła refleksja. W uszach miał jeszcze słowa pożegnania księdza Dyrektora Dąbrowskiego, że „...cudowną rzeczą jest samodzielność, niezależność lub wolność - jak wy to nazywacie. Pamiętaj Jurek, tu jest twój Dom, jego drzwi są zawsze otwarte i przyjazne. Nie zapominajcie, że tu znajdziecie pomoc, zrozumienie i pociechę. Tu spędziliście najpiękniejsze lata, lata waszej młodości, tu rodziły się wasze przyjaźnie, tu uczyliście się je cenić, tu była szkoła waszego życia. Nie jest wiele warta niezależność i wolność gdy brak jest oparcia i zrozumienia wśród najbliższych, i dlatego przypominam, znajdziecie to wszystko, czego może wam zabraknąć tam, właśnie tu, w waszym, w naszym wspólnym Domu - nie zapominajcie o nim”.

„Jak można zapomnieć - dziwił się - chyba nigdy nie zapomnę, bo tego się nie zapomina”.

Wyskoczył z ciemnej klatki i zatrzymał się na chodniku przed stojącym mocno wyładowanym wozem, do którego był już zaprzęgnięty Kary. Był późny wieczór. Słońce widać jeszcze nie zaszło, bo dwupiętrowy dom z czerwonej cegły i wysokim parterem rzucał

jeszcze wyraźny, choć już rozmywający się cień. Przy koniu jak zwykle kręcił się Edek Sawalich i coś poprawiał przy uprzęży Karego.

Na wozie stali Janek Nowogródzki i Daniel Sutarzewicz, układając i przykrywając derką wyposażenie, które wyfasował nieoceniony ksiądz Baraszkiewicz - poczynając od prozaicznych skarpetek, po materace, prześcieradła, koce, poduszki i prawdziwe kołdry armii amerykańskiej z dostaw UNRR-y, a wszystko to po to, aby jego chłopaki miały jako takie wygody na nowej, samodzielnej drodze życia. Obok wozu i Karego, na chodniku stała grupka chłopców, którzy nie mając co ze sobą robić i z musu spędzając wakacje w Zakładzie przyszła pożegnać i popatrzeć jak ci starsi i już dorośli koledzy opuszczają Zakład i jadą na tzw. „swoje”. Obok chłopców kręcił się niespokojnie piesek na trzech łapach zwany Pikusiem, weteran Powstania Warszawskiego.

„Wskakuj” - krzyknął Janek w końcu do niezdecydowanego Jurka, podając rękę i wciągając go do środka wozu, „czemu stoisz i się gapisz, zaraz będzie ciemno, a droga daleka. Pikusia nie widziałeś” - dorzucił tak jakoś miękko i delikatnie.

„Ruszamy” powiedział cicho i smutnie Danek, zaś Edek chwycił stojący obok bat i zwinnie wskoczył po kole na wóz, cmoknął donośnie na Karego, a ten leniwie ruszył uliczką brukowaną dużymi kamieniami polnymi w kierunku mającej w tężejącym wieczornym mroku bramie. Stojący na chodniku chłopcy poruszyli się niezdecydowanie, lecz po chwili nabrali animuszu i zaczęli iść razem z wozem trzymając się jego burty, nucąc z cicha pożegnalną piosenkę śpiewaną w drużynie, aż buchnęła dźwięczną, głośną melodią hen wysoko, aż zdawało się pod niebo - „Na pożegnanie wszyscy razem // czuj czuj czuwaj ! // Z całego serca wszyscy razem // czuj czuj czuwaj ! // Więc zaśpiewajmy wszyscy z gazem // Może ostatni raz śpiewamy razem // Już czas, już czas, żegnamy was. // Na pożegnanie jeszcze raz // czuj czuj czuwaj ! // Żegnamy was .”.

Tak jak nagle pieśń wzbiła się głośno w niebo, tak nagle się urwała i zrobiło się cicho, chłopcy stanęli, pomachali na pożegnanie rękami i zostali, kierując się w stronę kasztanów na Okrągłak.

A przed nami brama, coraz bliżej, coraz bliżej i bliżej. Odgłos podkutych kopyt Karego walących w bruk uliczki, odbity od ścian starej piekarni, obok której przejeżdżał wóz, spotęgowany echem nieznośnie wciskał się pod czaszkę, aż do bólu w skroniach nie pozwalając na skupienie i uświadomienie, że dzieje się rzecz najważniejsza w życiu trzech młodych ludzi. Że oto nadchodzi chwila kiedy wychodzą, a właściwie wyjeżdżają za bramę. Za tę bramę, która była częścią ich życia.

Brama była zawsze postrachem dla wszystkich. Wcześniej czy później każdy usłyszał, że jak się nie poprawi, że jak się nie weźmie w garść, że jak nie przestanie - to dla niego nie ma miejsca w tym Domu i pójdzie za bramę, albo wyleci za bramę.

Brama była tą częścią życia, która wisiała jak chmura gradowa nad niepokornymi i krnąbrymi i nad tymi pechowcami, co im się coś sromotnie bez ich woli przytrafiało. Tak na dobre to było straszenie, bo być musiało częścią systemu, częścią życia, a zostało częścią systemu współżycia, zabaw i żartów.

W końcu wóz minął bramę, Kary ledwie zdążył skręcić z bramy w kierunku Placu Narutowicza, gdy za plecami jadących rozległ się prawdziwy zgrzyt dawno nie smarowanych zawiasów i głośny jak piorun łoskot zatraskujących się skrzydeł bramy. Zawtórowało mu echo odbite od ocalałych, lecz wypalonych murów wielkich czynszowych kamienic. Wszyscy jak na komendę odwrócili głowy do tyłu, by ujrzeć zawarte czarne skrzydła stalowej bramy, zawieszzone na potężnych zawiasach wpuszczonych w grube mury kolumn wykonanych z czerwonej cegły i wkomponowanych w mur otaczający Zakład. W tym momencie ktoś z drugiej strony bramy włączył prąd zapalając trójkątną latarnię identyfikacyjną z napisem BARSKA 4.

„Kawał życia za nami” - powiedział stłumionym głosem Janek, „Wszystko się skończyło” - dorzucił przez zaciśniętą krtani Danek. „Nie ma co żałować - odezwał się trzeźwo i beznamiętnie Edek - już niejednego podwoziłem i każdy się urządził, urządźcie się i wy. Księża o was nie zapomną, a zwłaszcza ksiądz Baraszkiewicz. Krzyczy, krzyczy, straszy bramą, a w końcu coś wymyśli, czymś wspomůže i razem się wszyscy cieszą”.

Nie było im jednak tym razem do cieszenia się. Człowiek za bramą, jeszcze chłopiec, wyrwany z kręgu przyjaciół, opieki i ciepła, to tak, jak marynarz za burtą i niknący w oddali statek.

„Kawał życia poza nami” - powiedział Janek. Właśnie jak przechodził pierwszy raz przez bramę był w wojskowym płaszczu na sobie i rogatywce z orłem na głowie i dwoma belkami na naramiennikach. Dziś jedzie furką na „swoje”. Janek ma w kieszeni dyplom technika z TKT, legitymację kierownika robót instalacji elektrycznych największego szpitala w Warszawie i perspektywę studiów w Szkole im. Wawelberga. W Zakładzie był pomocnikiem księdza wychowawcy na górnej sypialni, a w drużynie harcerskiej pełnił funkcję przybocznego. Współorganizator Samorządu, w którym był wiceprezesem - kawał życia ! I bram się nie bał, podobno.

A Danek - pierwszego przejścia przez bramę dokonał już w czapce studenta Politechniki Warszawskiej. Przyszedł świeżo po maturze. Miał pełną głowę pomysłów, z których najważniejszym był pomysł budowy kolei do Pułtuska. Zrównoważony, spokojny, ministrant i przewodniczący koła, współorganizator Samorządu. Na furce wiózł indeks PW, zaliczone dwa lata studiów i wpis na V semestr Wydziału Komunikacji - kawał życia.

I Jurek. Przez bramę przeprowadziła ich matka, był z młodszym bratem. Ten dopiero się bramy nie bał ! Nie bał się niczego. Choć go lubił ks. Baraszkiewicz, to jednak wylewał za bramę. A Jurek bał się bramy i skończył szkołę Konarskiego zdobywając świadectwo czeladnika ślusarskiego. Następnie zdał maturę i chodził w glorii pierwszego maturzysty w Zakładzie. Uwiecznił to ks. Batory pisząc wierszem fraszki, które były odczytywane na imprezie „mikołajkowej”. Ta o nim rozpoczynała się od słów : „...Ryszkowski Jerzy, jest to chłopak, który zdobył pierwszy ramki do matury...”.

Współpracował z księdzem Baraszkiewiczem w drużynie harcerskiej, słynnej 15 WDH, w której pełnił funkcję przybocznego, a później drużynowego. Włokąc się furką trzymał na zdrętwiałych kolanach teczkę z książkami, a w niej indeks Politechniki Warszawskiej po pierwszym roku studiów na Wydziale Mechanicznym z zaległym egzaminem z matematyki. No i cóż, można było już nie bać się bramy, to wlaźła ta matematyka. I znów niespokojny semestr i trzeba się czegoś lub kogoś bać ! A jednak kawał życia za nami !

Rozmowa się jednak nie kleiła, każdy był zajęty swoimi myślami. Tylko Kary idąc traktem walił podkutymi kopytami w bruk ulicy Grójeckiej - buch, buch, klap, klap. Mijając Plac Zawiszy oraz ruchliwy Dworzec Główny i wjeżdżając w tunel wypalonych domów ulicy Towarowej patrzyli jak zapalały się pierwsze rzadko stojące uliczne lampy.

Odgłos kopyt Karego - buch, buch, klap, klap - stał się jakiś cichszy, płynący gdzieś z odległej dali. Już od skrętu w ulicę Grzybowską nic nie czuł i nie słyszał. Ale zbudził go donośny głos Janka Nowogrodzkiego nazywanego w drużynie „Ociec” lub „Baćko” z racji swojego dobrego serca - „Grzybowska 47, nie spać !”. Jak na komendę zwinnie zeskoczyli razem z furki, chwycili w ręce swój dobytek i zanurzyli się w mroczną czeluść otwartej bramy.

Opowiadanie napisane w 1992 roku.

Edward Sawalich

Moje wspomnienia z pobytu w „Antoninie”

Do „Antonina” na ulicy Barskiej 4 przybyłem w sierpniu 1939 roku, gdzie przyjmował mnie ks. Prałat Franciszek Toporski, założyciel i organizator Zakładu Wychowawczego dla chłopców, zwanego potocznie Izbami Rzemieślniczymi św. Antoniego.

Ze względu na podeszły wiek i nadszarpnięte zdrowie ks. Fr. Toporski przekazał ten Dom wraz z majątkiem i Sierocińcem w Łązniewie Zgromadzeniu Zakonnemu Małego Dzieła Boskiej Opatrzności popularnie nazywanemu Orionistami. W imieniu tego Zakonu „Antonin” przejmował ks. Superior Błażej Marabotto i ks. Włodzimierz Michalski. Pierwszy był obywatelem włoskim i zajmował stanowisko Prowincjała Zakonu w Polsce, drugi natomiast przyjechał specjalnie z Australii, obejmując funkcję Dyrektora Domu. Na tych osobach ciążył obowiązek kontynuowania dzieła ks. Toporskiego, jakkolwiek Dom na ul. Barskiej był poważnie zadłużony, a w kasie było tylko 11 groszy. Z tak ubogą kasą rozpoczęli księża Orioniści swoją pracę. Nie tak dawno obchodzono uroczyste 50-lecie śmierci ks. Toporskiego z udziałem Prymasa Polski Kardynała Józefa Glempa i Jego Ekscelencji Arcybiskupa Bronisława Dąbrowskiego - Sekretarza Episkopatu Polski, który znał dobrze tego wielkiego działacza społecznego, zwanego „Ojcem sierot”. Był świadkiem jego ostatnich lat życia. Jego Ekscelencja będąc w latach 1939-1944 wychowawcą, a następnie przez szereg lat Dyrektorem „Antonina” zasłużył na szczególne wyróżnienie w działalności na rzecz osieroconej młodzieży, którą odziedziczył po ks. Toporskim.

Na Barskiej w „Antoninie” została uruchomiona piekarnia, z której księża rozprowadzali pieczywo do sklepów, czerpiąc zyski i otwierając sklep na ul. Filtrowej 62. Te zyski służyły do utrzymania chłopców i spłacania długów.

Pamiętam, jak pomagałem w piekarni przy magazynowaniu chleba - trzeba było gorący chleb układać na półkach nieraz do późnych godzin nocnych. Kierownikami piekarni byli księża : Franciszek Barański, Józef Garncarek, Stanisław Jarnuszewski i Henryk Kowalczyk. W tym czasie kończyłem szkołę powszechną i zawodową. Po ukończeniu szkoły pomagałem księżom w pracy - jeździłem konną furmanką i rozwoziłem chleb po sklepach. Opiekując się koniem dawałem mu obrok, sprzątałem stajnię i pomagałem w pracach gospodarczych.

Pamiętam także, jak do Zakładu przyjechali chłopcy z Aleksandrowa Kujawskiego, było ich trzynastu, a mianowicie : Marian Czechnowicz, Franciszek Mirowski, Janek Tunicki, Zbigniew Zachorski, czterej bracia Wysoccy - Bogdan, Zdzisiek, Jurek i najmłodszy Rysiek. Był także Dobroń.

Jak już wspominałem, w Zakładzie przebywałem od 1939 roku do czasu wybuchu Powstania Warszawskiego w dniu 1 sierpnia 1944 roku. Pamiętam jak śpiewaliśmy księdzu Barańskiemu piosenkę : „ Ksiądz Barański spoza półki // ciągle patrzy na te bułki // aż wyskoczy spoza krzaka // „pac” w gębę Jakubiaka // a Jakubiak się odwinął // księdzu Barańskiemu lezki płyną”.

Przed samym Powstaniem zjawili się w Zakładzie żołnierze niemieccy z dywizji „Herman Goering”, był to oddział w sile kilkudziesięciu osób zajmujący się zaopatrzeniem dywizji. Nasi starsi koledzy wiedzieli, że wybuchnie Powstanie. Gdy się Niemcy u nas zjawili, wnet powiadomili o tym swoje władze konspiracyjne. W godzinie „W” czyli 17-tej oddziały powstańcze niespodziewanie zaatakowały Niemców i w krótkim czasie wyparły nieprzyjaciela i zdobyły Zakład. W dniu 4 sierpnia Niemcy przypuścili atak na „Antonin” i szybko go zdobyli, powstańcy się wycofali, a my zostaliśmy sami wraz z rannymi dwoma żołnierzami niemieckimi, których opatrywali sanitariusze. Jeden z nich, wysoki oficer niemiecki, uratował nas od niechybnej śmierci, kiedy Niemcy odbezpieczali granaty żeby nas wszystkich znajdujących się w schronie (jadalni) zlikwidować. Jednak głośny krzyk rannego oficera zmusił atakujących żandarmów niemieckich do wstrzymania likwidacji osób

znajdujących się w tym schronie, a odbezpieczone granaty rzucili w stronę sali gimnastycznej. Wtedy wyprowadzono nas i zabrano jako zakładników do Domu Akademickiego na Placu Narutowicza i tam trzymano nas do 11 sierpnia 1944 roku. Z naszej grupy zakładników (a było to kilkaset osób sprowadzonych z pobliskich domów na ul. Grójeckiej) za każdego zabitego Niemca rozstrzeliwano na podwórku Akademika 10-ciu Polaków-zakładników. Nas jednak ominęły tego rodzaju represje. Przez cały ten okres w Akademiku byliśmy podtrzymywani jedynie raz dziennie kawą z brudnej wody z miejscowego zbiornika. Z Akademika zaprowadzono nas na „Zieleniak” przy ul. Opaczewskiej i tu widzieliśmy mrozące krew w żyłach akty gwałtów i morderstw.

Następnym etapem był Pruszków, gdzie nas zebrano w hali Napraw Taboru Kolejowego i tutaj po kilku dniach (14 sierpnia) transportem, w bydlęcych wagonach, wywieziono w głąb Niemiec, najpierw do obozu przejściowego w Bietigheimie, a po pewnym czasie przewieziono nas do fabryki Knorra w Heilbronnie niedaleko Stuttgartu na roboty przymusowe.

W Bietigheimie zaraz musieliśmy udać się do łaźni, żeby się poddać gruntownemu myciu. Robiono nam zdjęcia i inne badania przygotowujące do dalszej podróży, do Heilbronnu. Mnie jeszcze w tym obozie spotkało więzienie za spalenie pryczy, a postąpiłem tak, ponieważ nie było opału do przygotowania czegoś do jedzenia. Przesiedziałem dwie doby o głodzie i chłdzie. Zostałem wypuszczony po zapłaceniu za mnie przez ks. Michalskiego 4 tys. złotych polskich. Jeżeli dobrze pamiętam, pobyt w tym obozie trwał dwa tygodnie.

W Heilbronnie n/Neckarem wprowadzono nas do baraków w fabryce Knorr, przy czym część grupy z ks. Michalskim została w fabryce na miejscu, a część z ks. Dąbrowskim przeszła do Neckarsulm, również do fabryki.

Tu przeżywaliśmy bombardowania, po których pędzono nas do odgruzowywania ulic i placów. Mnie jeszcze spotkała praca poza obszarem Heilbronnu, w miejscowości Bad Krozingen, w okolicach górskich, gdzie się kopało okopy dla wojsk niemieckich na linii Maginota nad Renem. Tam byłem około czterech tygodni. Gdy wróciłem do Heilbronnu już wiele roboty nie było z powodu gruzów i wielkich strat materialnych w mieście spowodowanych dywanowym nalotem alianckim, w którym zginęło kilkadziesiąt tysięcy mieszkańców, a z samego miasta pozostały jedynie gruzy i zgliszcza.

Powrót do kraju nastąpił jeszcze przed zakończeniem wojny, a ponieważ stolica była jeszcze w rękach Niemców, więc zatrzymaliśmy się w Łązniewie. Ale do Warszawy było nam spieszno.

17 stycznia 1945 roku Warszawa została wyzwolona, a tym samym stanęło przed nami wyzwanie odbudowania naszego Domu na Barskiej. Już na drugi dzień po wyzwoleniu stolicy ruszyliśmy w jej kierunku. W pierwszej chwili chodziło nam o to, żeby się dowiedzieć, czy ten Dom nie został zburzony, czy stoi. Przybyliśmy wieczorem do Warszawy i zastaliśmy wszędzie góry gruzów. Również „Antonin” zastaliśmy zdemolowany - dwa piętra były zawalone, szyby pobite, drzwi powyrywane, tak że nie było gdzie nocować, a mróz trzymał tęgi. Żeby jednak było gdzie przenocować i pchnąć prace do przodu zabraliśmy się od razu do roboty i oczyszczaliśmy pomieszczenia z gruzów. Po zimnej nocy znów zabraliśmy się do pracy, szukając jednocześnie materiałów budowlanych i opału. Po dwóch dniach przyjechała następna grupa z ks. Kowalczykiem. Poszukiwaliśmy materiałów, desek, cementu i nadal przed nami było gruntowne sprzątnięcie. Gdy już zdobyliśmy niezbędne materiały budowlane zaczęliśmy ciężko pracować, ale wesoło.

Pamiętam, jak przy budowie na rusztowaniu z wysokości drugiego piętra spadł na dół Mietek Łuczyński. Prędko poleciałem na dół żeby się przekonać, czy sobie nie wyrządził wielkiej krzywdy. A Mietek stał oparty o mur i się śmiał. Trochę się tylko zadrasnął. Powiedziałem mu wtedy - „Wiesz, św. Antoni cię ocalił po to, żebyś dokończył to, co rozpoczął...”.

„Antonin” został odbudowany przez samych wychowanków pod kierownictwem fachowego majstra murarskiego. Roboty trwały kilka miesięcy, a potem rozpoczęło się nowe życie w „Antoninie”, bowiem przybywali nowi wychowankowie powracający z różnych stron, z zachodu i ze wschodu, potrzebujący pomocy, którą otrzymywali z rąk księży Orionistów, kontynuatorów wspaniałego dzieła założyciela Zakładu dla Chłopców - ks. Prałata Franciszka Toporskiego.

Wspomnienia niedatowane.

Marian Sowiński

Wspomnienia z pobytu na Barskiej 4

Świat lat dziecięcych jest światem pełnym marzeń i złudzeń, światem kolorowym. Natężenie i jakość barw zależy od losu dziecka. Straszliwa wojna i okupacja hitlerowska zburzyła świat dziecięcej naiwności i wiary wyłącznie w dobro. Wojna dla dzieci była tragedią wnoszącą cierpienia wynikające z utraty ojca, matki, czy też obojga rodziców. Takie właśnie dzieci znalazły schronienie na Barskiej. Dla mnie wojna skończyła się również tragicznie. Utraciłem ojca i zburzony przez okupanta dom. Znalazłem się w sytuacji bardzo trudnej. Matka dotarła do pani Sadurowej, pracującej w Kuratorium i do księdza Jana Baraszkiewicza, który obiecał pomoc.

„Zamieszkałem kątem” u sąsiadki na ul. Wroniej. Sąsiadka, z którą mieszkaliśmy we wspólnej kamienicy na ul. Przemysłowej odwdzięczała się za naszą pomoc udzieloną jej w czasie wojny. Miałem zatem mieszkanie i mogłem chodzić do szkoły. Rozpocząłem naukę w Gimnazjum im. M. Konarskiego, mieszczącym się wówczas na ul. Grójeckiej 93 i czekałem na przyjęcie na Barską. Doczekałem się. Było to w listopadzie 1947 roku. Mój świat nabierał kolorów przechodzących z czerni w tęcze. To nie jest przesada. Rozpoczywałem życie w otoczeniu, które kształtowało charakter człowieka. Tu każdy z nas znalazł dom, opiekę i co najważniejsze - słowo, które wówczas mało doceniane stało się drogowskazem wartościowania tego wszystkiego, co niosło ze sobą życie. Słowa usłyszane tu, na Barskiej, odbijały się echem w całym życiu. Były płomienne i pełne naukowej wiedzy kazania ks. prof. Oraczewskiego. Kazanie ks. Stefana Batorego o utracie tego, co najważniejsze („miałeś chacie złoty róg, ostał ci się jeno sznur”). Były wreszcie kazania wygłaszane spokojnym tonem przez ówczesnego Dyrektora - dzisiaj Eksceleńcę Arcybiskupa Bronisława Dąbrowskiego, powszechnie nazywanego „Ojcem”. Bo też nim był i jest najsilniej związany z byłymi wychowankami. Często w swoich kazaniach podkreślał – „modląc się, śpiewaj! - bo kto śpiewa, ten się dwa razy modli”. Być może zbyt często korzystaliśmy z dobroci Ojca, ale odnoszę wrażenie, że każdemu z nas chce ciągle pomagać tak, jak czynił to na Barskiej. Myślę, że dumą ks. Dyrektora na Barskiej była drużyna harcerska, słynna 15 WDH.

Szedłem w pierwszej czwórce razem z kolegami : Winnikiem, Wiśniewskim i Chaszczewskim. Byłem w zastępie „Słowików” u druha Kazimierza Kudelki. Obóz harcerski nad Jeziołem Ostrzyckim gościł księdza Włodzimierza Michalskiego (Prowincjała Zakonu), z którym przyrządzałem zupę grzybową, jako pełniący dyżur dla całej drużyny. Drużyna swoim marszem, śpiewem i fanfarami robiła wiele hałasu na Barskiej, ale był to hałas pozytywny, bo akceptowany przez okoliczną ludność, podpatrującą nasze życie z otwartych okien swoich mieszkań. Podpatrywano i słuchano naszych wieczornych śpiewów na trybunie od strony boiska do gry w siatkówkę.

Pamiętam, jak do śpiewu zachęcał nas ks. Jan Baraszkiewicz, a ulubioną piosenką było „*Na pokładzie Zawiszy, życie płynie jak w bajce...*”. Główny jednak nacisk kładziono na naukę.

Cisza w studium pozwalała na koncentrację w odrabianiu lekcji, ale często ten i ów zarobił „minus” za żarty lub przeszkadzanie innym w nauce. Było to przygotowanie do samorządzenia się. Powstał Samorząd, który wyzwolić miał inicjatywę własną w organizowaniu naszego życia domowego (porządkowego i kulturalno-oświatowego) przy udziale i akceptacji Dyrekcji Zakładu i naszych wychowawców.

W pewnym okresie byłem najmłodszym prezesem takiego Samorządu. Organizowaliśmy skecze harcerskie, wydawano gazetkę ścienną, braliśmy udział w różnych konkursach czy zawodach sportowych (była to gra w siatkówkę z innymi miejskimi drużynami harcerskimi, mecze w tenisa stołowego, turnieje szachowe itp.). Zarząd Samorządu ustalał listę dyżurów w stołówce i przy sprzątanu pomieszczeń domowych.

Był też chór harcerski, który za piosenkę „*Jadą goście, jadą...*” dostał nagrodę w konkursie drużyn harcerskich Okręgu Warszawskiego ZHP.

Ważnym problemem były także potrzeby związane z bielizną pościelową i osobistą, odzieżą i obuwiem. Nieocenione Siostry Orionistki prały bieliznę, prasowały i cerowały nasze cichy. Jeden z najstarszych domowników (wychowanek, a później wychowawca) - Pan Zygmunt Sęk - cichy i spokojny, służył wychowankom przy wymianie bielizny i ubrań oraz butów. Pan Kwoczka - Sybirak - był szewcem, reperował nam buty. Nad tym wszystkim czuwał Dyrektor - obecny Arcybiskup Bronisław Dąbrowski.

Trudno przytoczyć wszystkie zdarzenia z mojego czteroletniego pobytu na Barskiej. Okres ten zaliczam do najlepszego w moim młodzieżowym życiu, chociaż na rok przed zdobyciem świadectwa dojrzałości, tj. w roku 1951 musiałem opuścić Barską. Tak zdecydował późniejszy Dyrektor ks. Józef Józefiak. Do dzisiaj nie wiem, co spowodowało podjęcie takiej decyzji. Byłem tym zaskoczony i nieprzygotowany, ale dzięki pomocy udzielonej mi przez innych ludzi ukończyłem Liceum i to z wyróżnieniem. Rozpocząłem samodzielne życie i okazało się, że mogę spłacać zaciągnięty dług na Barskiej.

Zakaz przyjmowania do pracy przysporzył wiele kłopotów kolegom z Barskiej. Udało mi się przyjąć do pracy Andrzeja Irka po chorobie i leczeniu w Otwocku oraz Janka Kijka, który też był przez sześć miesięcy bez pracy. Miałem szczęście udzielić pomocy Irkowi i Kijkowi w chwili, kiedy tej pomocy najbardziej potrzebowali. Z mojej inicjatywy rozpoczął pracę w Zielonce Leszek Charewicz, który utrwala nasze spotkania z Ojcem na kliszy fotograficznej. W efekcie tej pracy uzyskał mieszkanie, które stanowi podstawę założenia własnej rodziny. Piszę o tym dlatego, że chcę podkreślić więzi łączące nas wszystkich oraz gotowość niesienia pomocy tym w potrzebie, co niewątpliwie zaszczerpiono nam na Barskiej. Każdy z wychowawców miał własną metodę kształtowania młodych ludzi. Ksiądz Jarnuszewski czynił to dobrocią i uśmiechem, ks. Kaczmarczyk powierzchowną surowością, ks. Kołaciński tolerancją i uśmiechem. Ks. Kołaciński był moim nauczycielem religii i jego prosiłem o udzielenie sakramentu małżeństwa. Dorosłe życie, studia i praca poza granicami Polski osłabiała moje kontakty z kolegami i z wychowawcami z Barskiej.

Obecne więzi łączące nas to przede wszystkim spotkania z Ojcem Arcybiskupem Bronisławem Dąbrowskim. Zadziwiająca jest konsekwencja z jaką Jego Ekscelencja dąży do takich spotkań, mimo ograniczonego przecież obowiązkami czasu, z którego tak wiele nam poświęca. Przy pełnieniu tak odpowiedzialnego i wysokiego Urzędu, znalezienie czasu na nasze często indywidualne spotkania zasługuje na szczególny szacunek.

Myślę, że nasze spotkania z Ojcem są również okazją do wyrażenia swojej wdzięczności i szacunku za wszystko to, co dla nas czynił i dalej czyni. Właśnie teraz, z okazji 30-lecia otrzymania sakry biskupiej, jest pora na wyrażenie tego na piśmie.

To za Ojca pośrednictwem spływa na nas Łaska Boża.

Niech Bóg błogosławi Ojca na dalsze długie lata życia i pracy kapłańskiej.

Wspomnienia spisane w 1992 roku.

Henryk Starachowski

Wspomnienie

Na Barską do Antoniaków przybyłem z Państwowego Domu Dziecka latem 1948 roku. Miałem 16 lat, byłem sierotą i mało znałem Warszawę.

Ojciec Dąbrowski (był już wtedy dyrektorem) przyjął mnie do rodziny bardzo serdecznie. Jako sierota i wychowanek domów dziecka od 1942 roku byłem mile zaskoczony panującą tam atmosferą. Od początku poczułem się członkiem tej Rodziny.

Chciałem być - w miarę moich możliwości - potrzebny rodzinie i od pierwszych chwil pobytu u Antoniaków zacząłem wykonywać różne prace. Po jakimś czasie dostałem zadanie opiekowania się naszą kaplicą św. Antoniego. Byłem odpowiedzialny za wszystko, co było związane z organizacją nabożeństw, porządkiem w kaplicy, dostarczaniu hostii, itp. Te czynności były mi najbliższe i najbardziej przyjemne. Wykonywanie ich zbliżyło mnie do ks. Dyrektora. Z początku wydawał mi się niedostępny, pewnie z powodu pełnionej przez niego funkcji dyrektora. Na co dzień obcowaliśmy z księżmi wychowawcami i rzadziej widywaliśmy ks. Dąbrowskiego. Pewnie też dlatego, że bywał często poza Domem, pełniąc różne funkcje i prace związane z Kościołem, a nieznane nam - wychowankom.

Dbalem też o porządek w jego kancelarii. Wtedy często ze mną rozmawiał. Był serdecznie ciekawy, interesował się moim dotychczasowym życiem. Potem, gdy poznał moją ciotkę, jeszcze bardziej się ta serdeczność rozwinęła. Zdaje mi się, że mnie lubił. Myślę, że razem z moją ciotką chcieli bym zostać księdzem. Nic z tego nie wyszło, losy moje potoczyły się inaczej. Pamiętani Ojca Bronisława jako wymagającego wychowawcę, ale sprawiedliwego i umiejącego nawiązać bliską więź z podopiecznym. Emanował serdecznością i dobrocią i to się odczuwało.

Był dobrym organizatorem naszego życia, co nie było łatwe w tych trudnych stalinowskich czasach. W Domu panowała swobodna atmosfera. Mieliśmy swoją gazetkę ścienną „Forum”, w której wypowiadaliśmy się na różne tematy, które dotyczyły rodziny Antoniaków, a także światopoglądowe i dotyczące dorastającej młodzieży.

Ksiądz Dąbrowski razem z pozostałymi księżmi stworzył taką atmosferę, że w Domu panowała naturalna radość i swoboda. Było dużo sportu, wszyscy księża, włącznie z Dyrektorem grali z nami w siatkówkę. Wielu wychowanków reprezentowało wysoki poziom w grze w ping-ponga. Biegaliśmy, skakaliśmy, miotaliśmy kulą, ale także graliśmy w szachy. Był też fortepian i wielu próbowało swoich sił na tym instrumencie. Mieliśmy własny teatr. Pamiętam, że występowałem w „Dziadach” Adama Mickiewicza. Było też foto urządzone na poddaszu. Fotografowaliśmy wszystkie uroczystości kościelne i nasze życie. Zawsze też ktoś fotografował imieniny Ojca Bronisława, na które zjeżdżało się wielu byłych wychowanków - Antoniaków. Na wysokim poziomie była prowadzona drużyna harcerska, która miała wysoką lokatę w Chorągwi Warszawskiej. Były wspaniałe obozy, w czasie których nasza drużyna prowadziła w różnych konkursach. W śpiewie chóralnym na szczeblu Chorągwi przez kilka lat dzierżyliśmy palmę pierwszeństwa. A to wszystko organizował i temu patronował nasz ukochany Ojciec ksiądz Bronisław Dąbrowski.

Ksiądz Dyrektor dbał o to byśmy wszechstronnie się rozwijali. Zapraszał na pogadanki ciekawych i znanych ludzi ze świata nauki i kultury. Kilka razy gościliśmy biskupa Wyszyńskiego, późniejszego Prymasa Tysiąclecia. Jemu tylko znanymi sposobami, zdobywał bilety do teatrów, na które nie było nas stać. Organizował też potańcówki z dziewczętami z bursy prowadzonej przez siostry zakonne. Były to miłe i kulturalne spotkania, nie było żadnych wybryków. Mieliśmy też własny aparat filmowy, ale filmów było bardzo mało i do znużenia się je wyświetlało.

Jak widać z tych moich wspomnień, dbano o wszechstronny rozwój młodzieży w Domu, zarządzanym przez Ojca Bronisława. Reasumując te przeżyte chwile u Antoniaków (od lata 1948 do lata 1951 roku) stwierdzam, że ten okres w moim życiu był bardzo ważny i ukształtował mój charakter (wtedy młodzież szybciej dojrzewała) i wspominam ten czas jako bardzo miły, w którym aktywnie żyłem.

To wszystko było za sprawą księży Orionistów, którymi kierował ks. Dąbrowski. Ojciec Bronisław zawsze kierował się dobrem młodzieży. Był szlachetny, subtelny i taktowny w rozmowach często bardzo ważnych dla młodych ludzi. Także jako spowiednik był łagodny i taki ciepły. Cechowała go wspaniałomyślność i wyrozumiałość, był po prostu ludzki. Był też świetnym mówcą. Z przyjemnością słuchało się jego kazań, umiał trafić do naszych serc. Wyróżniał się skromnością i prostotą w życiu. Nie chciał być ponad innych. Podam następujący przykład: Ksiądz Dąbrowski często spóźniał się na obiad, pełniąc jakieś funkcje poza Domem. Podawałem mu więc posiłek do refektarza, przyrządzany przez siostry zakonne, nieco bardziej może urozmaicony. Wówczas dopytywał się co podano na ogólny obiad. Odmawiał spożycia jeśli danie odbiegało od podawanego wszystkim.

Zelowanie butów i naprawy sutanny odbywały się w nieskończoność. Nie znam pracy księdza Dyrektora, którą wykonywał poza Domem, ale musiało to być zajęcie czasochłonne, prawdopodobnie współpracował z biskupem Wyszyńskim. Nie zaniedbywał jednak nas wychowanków. Miał wielu znajomych i to znakomitych.

Pamiętam jak miałem zapalenie ucha środkowego, ból był niesamowity. Ojciec Bronisław przedzwonił do dyrektora szpitala Dzieciątka Jezus i dostałem tam penicylinę, która w tym czasie była prawie niedostępna. Często spotykałem się z jego dobrocią i opieką nad wychowankami.

Był wspaniałym wychowawcą i opiekunem. Nie był srogi, ale był wymagający. Budził zaufanie i z każdym problemem można było się do niego zwrócić. Takim go pamiętam i nie zapomnę. Chciałbym mieć takiego ojca. Kiedy mój syn, już dorosły człowiek, zachorował na raka mózgu (był to glejak), zawiozłem go na nabożeństwo kończące rekolekcje Wielkanocne, by go Ojciec Bronisław pobłogosławił.

W tym dniu słyszałem ostatnie jego do nas kazanie, był ciężko chory. Syn mój i Ojciec Bronisław zmarli w tym samym roku. Byliśmy z żoną na Ojca Bronisława pogrzebie. Były tłumy ludzi, którzy żegnali go w ostatniej drodze na ziemi. A trumienka wydała mi się taka mała, choć Człowiek za życia był tak WIELKI. Cześć Jego pamięci !

Wspomnienie spisane w 2003 roku.

Daniel Sutarzewicz

Wspomnienie z pobytu w domu XX Orionistów w Warszawie przy ul. Barskiej 4

Do Domu zostałem przyjęty 1 października 1947 roku. Jeszcze nie załatwiono zameldowania w Warszawie, a już w nocy „ubowcy” zrobili nam pobudkę. Zerwali wszystkich z łóżek, ustawili na korytarzu i sprawdzali „zameldowanie”. Ja nie byłem jeszcze zameldowany. Znaleźli jeszcze dwóch innych chłopców. Wsadzili nas do samochodu i wraz z dwoma księżmi : Włodzimierzem Michalskim i Bronisławem Dąbrowskim zawieźli nas na ul. Cyryla i Metodego. Wieźli nas i trzymali osobno, chłopców i księży.

Dziś już wiemy, że wśród chłopców był nasłany prowokator, który miał za zadanie przyłapać księży na czymś, co mogłoby stanowić pretekst do upaństwowienia Domu.

Ja trafiłem do jednej celi z prowokatorem. Nazwiska ani jego imienia nie pamiętam. W celi pokazywał mi jakieś pieczątki niby PPR-u i namawiał mnie, abym wziął od niego te

pieczętki, bo on nie chce, aby je przy nim znaleźli. To też była prowokacja, o której ja nie wiedziałem. Pieczętek od niego nie przyjąłem. Radziłem mu, aby jak go będą prowadzić na przesłuchanie porzucił te pieczętki pod schodami. Więcej o tym nie mówił, ale za to zaczął opowiadać jak to on należał do PPR, ale ponieważ ja milczałem i żaden z chłopców jemu nie wtórował, więc i jemu po pewnym czasie przeszła na to ochota i zamilkł.

Rano wywoływali nas po kolei na przesłuchanie. Wypytywali się czy księży chłopców biją, czy źle się obchodzą. To, skąd i po co przyjechałem wcale ich nie obchodziło. Na wszystkie pytania odpowiadałem „Jestem dopiero drugi dzień i nic takiego nie widziałem, ani nikt mi nie mówił”. Zadawali z nagłą głupie pytania, na które z reguły nie odpowiadałem, tylko się uśmiechałem. Robili nam kilka razy odciski wszystkich palców. Jak im powiedziałem, że już odciski pobrali, to tylko odburknęli i dalej robili swoje.

Po trzech dniach nas wypuścili, ale przed tym kazali podpisać, że nikomu nic nie powiem na temat aresztowania i pobytu w UB.

Po powrocie na Barską 4 zaraz wyjechałem do rodzinnego Pułtuszka i załatwiłem zameldowanie. Dopiero po kilku latach dowiedziałem się, że ten z „pieczętkami” był nasłanym prowokatorem.

Andrzej Szaszkiwicz

W Zakładzie w latach 1944 - 1949

W Zakładzie księży Orionistów w Warszawie przy ul. Barskiej 4 znalazłem się w kwietniu 1944 roku. W styczniu tegoż roku dzięki sprzyjającym, a dość niezwykłym okolicznościom powróciłem do Polski ze Związku Sowieckiego, gdzie przebywałem od 17 września 1939 roku.

Po odnalezieniu ciotki (siostry mojej mamy) i starszej ode mnie siostry, co też nie było łatwe, dowiedziałem się, że mama zmarła 14 listopada 1939 r. - mając 39 lat, a o Ojcu, rotmistrzu XV Pułku Ułanów Poznańskich od września 1939 r. nie było żadnych wiadomości. Ciocia i siostra - żołnierz AK, ps. „Mała Krystyna” (zgrupowanie „Gustaw-Harnaś”) nie były w stanie mnie utrzymać. Nie mówiłem po polsku od ponad 4,5 roku, jedynie po białorusku lub ukraińsku.

W 1939 roku ukończyłem III-cią klasę szkoły powszechnej. Trzeba było, abym jak najwcześniej przypomniał sobie język polski i zaczął nadrabiać poważne przeciw braki w nauce. Wówczas moje opiekunki postanowiły powierzyć mnie księżom. Uczyłem się żyć w nowym środowisku, poznawałem księży i kolegów. Ci ostatni szybko nazwali mnie „Szasza” i „Szaszka”, trochę od nazwiska, trochę dlatego, że brzmiało to z rosyjska. Wtedy poznałem ks. Bronisława Dąbrowskiego - dzisiejszego Ojca Arcybiskupa, Sekretarza Episkopatu, ks. Jana Baraszkiwicza, ks. Stefana Batorego, a następnie innych księży : Włodzimierza Michalskiego, Józefa Kołacińskiego, Władysława Bienisiewicza, Henryka Kowalczyka. Wiem, że mieli ze mną sporo kłopotów z powodu tak olbrzymiej luki w nauczaniu ogólnym i języka polskiego.

Nie umiem dziś - po 48 latach - ocenić moich postępów w nauce. Ale gdy pielgrzymowaliśmy w 1980 roku na uroczystości beatyfikacyjne Ojca Alojzego Orione do Włoch, w hotelu w Wiedniu, podczas kolejnego wspomnieniowego wieczoru ks. Jan Baraszkiwicz zapewniał mnie, że uczyłem się bardzo pilnie i w dużym tempie. W czerwcu 1944 r. zakończył się rok szkolny, byłem już włączony do jakiejś grupy chłopców. W wakacje byliśmy jakiś czas w Łaźniewie, a potem znów na Barskiej.

1 sierpnia wybuchło Powstanie Warszawskie. Tak więc spod „wschodniego” deszczu wpadłem - jak wszyscy - w powstaniową „rynnę”. Trudno zresztą powiedzieć, co wtedy w moim życiu - posługując się znanym przysłowiem - było „deszczem”, a co „rynną”. Księża, jak to tylko było możliwe, opiekowali się nami - chronili, organizowali nasze działania.

W pełni rozumiałem grozę sytuacji i doskonale ją wyczuwałem. W Zakładzie była organizacja AK i harcerska, ale ja nie byłem w to wtajemniczony, jakkolwiek wykonywałem zlecane mi działania. Nie pamiętam też dnia po dniu wydarzeń z okresu Powstania na naszym terenie, ale zostały pojedyncze wspomnienia, np. to, że na terenie Zakładu ulokował się oddział Wehrmachtu, „goeringowców” z frontu włoskiego, których Powstanie zaskoczyło, toteż szybko opanowali powstańcy Zakład i wypędzili Niemców. Fakt, że na ul. Kaliską był przebity mur, gdzie po przeciwnej stronie był powstańczy szpital, do którego nosiliśmy rannych. Po upadku Powstania na Ochocie, Niemcy wtargnęli do Zakładu i zastali nas zgrupowanych w jadalni. Jeden z napastników odbezpieczył granaty i chciał je rzucić do środka jadalni, gdzie znajdowało się ponad stu mieszkańców. W tym czasie mieliśmy tam rannego niemieckiego żołnierza, oficera w randze majora, zastępcę dowódcy stacjonującego tutaj oddziału niemieckiego. Oficer ten zaczął krzyczeć coś po niemiecku na cały głos „kameraden !” i ten okrzyk uratował nam życie. Ale zabrano nas wszystkich wraz z okoliczną ludnością jako zakładników do Akademika przy Placu Narutowicza. Zapowiedziano nam, że za każdego zabitego żołnierza niemieckiego będą zabijać 10-ciu ludzi, a za oficera 20-tu. Takich egzekucji odbyło się kilka, a wyglądało to tak : sprowadzano nas na dół z pokojów na górze, gdzie byliśmy umieszczeni w sali, w której leżał zabity żołnierz lub oficer. Stawiano nas w koło i jeden, tym razem z włosowców, palcem pokazywał kto ma wyjść. Wybranych rozstrzeliwano natychmiast. Potem my zabitych przenosiliśmy pod kościół św. Jakuba, chowając na miejscu, gdzie stoi dziś krzyż. Egzekucje odbywały się też pod murem posesji Zakładu. A na dachu Akademika wciąż był niemiecki snajper... Wiele było takich tragicznych, przerażających sytuacji. Gdy Powstanie na Ochocie dobiegło końca popędzono wszystkich pozostałych przy życiu zakładników, także nas wszystkich z Barskiej pod opieką Księży, do obozu w Pruszkowie, gdzie znaleźliśmy moich stałych towarzyszy ze wschodu - głód, strach, zimno, wszy i karaluchy. Po tygodniu zapakowano nas w bydłęce wagony i wywieziono do obozu w Bietigheim k. Stuttgartu. Podróż w zapakowanych i zadrutowanych wagonach trwała kilka dni. W obozie był głód, nie pamiętam czy w ogóle i co jedliśmy. Wiem tylko, że podkradałem co się dało z sąsiedniego ogrodu - np. kapustę, a z obozowej kantyny margarynę, chleb, suchary, kostki cukru. Dzieliłem się zdobyczami z Księżmi i kolegami. Niektórzy koledzy jeździli do pracy do bauerów. Potem na interwencję jakiejś pani z Czerwonego Krzyża całą naszą grupę dzieci i księży zatrudniono w fabryce żywności Knorra w Heilbronne.

Polacy nosili naszywki z literą „P”. Praca polegała na paczkowaniu porcji dla wojska. Tu już na szczęście nie byliśmy głodni. Dokarmialiśmy nawet wiecznie głodnych Włochów, na których mszczono się za zdradę. Później zaczęły się „dywanowe” naloty amerykańskie, zaczęła się panika, Niemcy sobie strzelali w łeb. Spalił się pobliski szpital, było mnóstwo zabitych, więc znów uprzątaliśmy zwłoki...

Nie pamiętam, kiedy wróciliśmy do Polski. Wiem, że pociągiem przejeżdżaliśmy przez Monachium i Wrocław do Krakowa. Stamtąd - po przenocowaniu w jednym z domów zakonnych - wróciliśmy znowu pociągiem dojeżdżając do Pruszkowa pod Warszawą i stamtąd pieszo poszliśmy do Łązniewa, gdzie byliśmy do końca wojny. To już był rok 1945, zaczęło się normalne życie mimo wielu trudności. Takie to sprawy przyszło nam przetrwać.

Te wspólne przeżycia nauczyły nas koleżeństwa, przyjaźni i solidarności. Pamiętam modlitwy ks. Bronisława Dąbrowskiego, nauki ks. Batorego, opowiadanie „Trylogii” przez ks. Baraszkiewicza, naprawdę „ku pokrzepieniu serc” i dla uspokojenia. Poza tym „zimną krew” księży w najtrudniejszych sytuacjach, wiarę i nadzieję, że nic stać się nie może... Wróciliśmy z Niemiec chyba wszyscy.

Cztery powojenne lata spędzone w Domu na Barskiej wzmocniły więzi z księżmi-wychowawcami i z kolegami. Świadczą o tym nasze żywe kontakty z Ojcem Arcybiskupem Bronisławem Dąbrowskim, ks. Stefanem Batorym, już nie żyjącymi, księżmi : Janem

Baraszkiewiczem, Władysławem Bienisiewiczem, Henrykiem Kowalczykiem, Józefem Kołacińskim i Franciszkiem Goszczyńskim.

Należy podkreślić znaczenie naszych systematycznych spotkań koleżeńskich, a szczególnie w dniu naszego patrona - św. Antoniego.

Uczyliśmy się nie tylko w szkole, ale i w warsztatach, w życiu codziennym wciąż przy nas byli nasi ulubieni opiekunowie-wychowawcy. Czuwał nad nami patron naszego Zakładu św. Antoni. Zawsze mogliśmy liczyć na wzajemną przyjaźń i pomoc Ojca Arcybiskupa, który zawsze mawiał, że drzwi są otwarte na hasło „Antoniak”. I to była i jest prawda. Ja osobiście zawdzięczam szczególnie wiele Ojcu Arcybiskupowi i ks. Batoremu i będę zawsze pamiętał, co dla mnie zrobili.

Rozstałem się z Zakładem - w sensie odejścia, ale nie zrywania kontaktów, które trwają przecież nieprzerwanie do dziś - w 1949 roku, kiedy to wpadłem w ręce Urzędu Bezpieczeństwa na skutek jakiegoś donosu i siedziałem w więzieniu za posiadanie broni.

Proces, jak na owe czasy przystało, miałem „pokazowy” i kolejne, jak najdosłowniej bolesne doświadczenia. Pamiętam jednak, że na procesie tym był ks. Jan Baraszkiewicz.

Wiele lat po maturze, na skutek tej sprawy, nie mogłem dostać się na studia. Ukończyłem je dopiero w 1979 roku.

Mam Żonę i 23-letnią Córkę. Obydwie doskonale wiedzą, jak ważny stał się w moim życiu Dom księży Orionistów, nasi wychowawcy i wyniesione stamtąd zasady, wpajane nam w razem przeżytych trudnych czasach wojennych i powojennych, gdy do władzy dostali się komuniści.

Relacja spisana w marcu 1992 roku.

Jan Tunicki

Wspomnienia z młodości w „Antoninie”

Już od najmłodszych lat utraciłem rodziców. Jako sierota wychowywałem się na koszt Opieki Społecznej m.st. Warszawy. Do pełnoletniości przebywałem w domach dziecka prowadzonych przez siostry szarytki w Wolsztynie k. Poznania i w Aleksandrowie Kujawskim. W listopadzie 1939 r. wraz z 13-osobową grupą sierot przybyłem do Zakładu dla Chłopców im. ks. prałata Franciszka Toporskiego, popularnie zwanego „Antoninem”, jako że patronem zakładu był św. Antoni.

Kilka miesięcy przedtem Zakład ten prowadził jego założyciel - ksiądz prałat Franciszek Toporski. Przekazał on we władanie i prowadzenie dalszego jego dzieła w wychowywaniu młodzieży osieroconej księżom Orionistom, zakonnikom „Małego Dzieła Boskiej Opatrzności”. Pamiętam, jak do tego Zakładu na ul. Barską 4 zaprowadził nas urzędujący wówczas w Opiece Społecznej pan prof. Freytag - słynny socjolog, przyjaciel młodzieży, który był w stałym kontakcie z kierownictwem Zakładu. W miarę swoich możliwości udzielał on cennej pomocy, która w tym czasie (okres okupacji) była szczególnie potrzebna.

Pierwsze spostrzeżenia z pobytu w Warszawie zrobiły na mnie okropne wrażenie. Pamiętam, gdy szedłem z ul. Złotej (z Urzędu Opieki Społecznej) na ul. Barską 4 do Zakładu to przeraziły mnie ogromne zniszczenia spowodowane nalotami niemieckimi; przechodziłem po gruzach zawałonych domów. Omijaliśmy rozbite czołgi niemieckie, samochody wojskowe, rozwalone armaty i różne sprzęty wojskowe, za pomocą których broniła się Warszawa.

W „Antoninie” również były ślady zniszczeń wojennych : budynek był podziurawiony, wybite były szyby w oknach, zaś w parku przyzakładowym były wykopane rowy przeciwlotnicze. Wojsko, które tu przebywało pozostawiło wiele sprzętu wojskowego

(karabiny, bagnety, chełmy, itp.), które trzeba było zakopać. Tak stało się z karabinem maszynowym. Na skutek donosów okupanci kilkakrotnie usiłowali odkopać tenże ciężki karabin maszynowy, lecz nie odnaleźli go i ostatecznie zrezygnowali z dalszych poszukiwań.

Z ważniejszych wydarzeń tego okresu, które utkwiły mi szczególnie w pamięci to przede wszystkim spalenie przez Niemców, stacjonujących w Domu Akademickim, Szkoły Powszechnej nr 61 im. Emilii Plater znajdującej się w budynku drewnianym na Placu Narutowicza. Był to odwet za zorganizowanie w szkole akademii z okazji Święta Niepodległości w dniu 11 listopada 1939 r., a była wtedy okupacja niemiecka. Najpierw płomienną przemowę miał kierownik szkoły, potem podstawowy referat wygłosił nauczyciel pan Borecki - porucznik podziemnej organizacji Związku Walki Zbrojnej (późniejszej Armii Krajowej); nota bene p. Borecki zginął w czasie Powstania Warszawskiego. Pamiętam, jak zagrzewał do podejmowania walki z najeźdźcą; mówił, że wojna się nie skończyła, że cały naród będzie walczył aż do ostatecznego zwycięstwa. Na zakończenie akademii odśpiewano „Rotę”. Jeszcze tej samej nocy płonąła nasza szkoła, a straż pragnąca gasić pożar była ostrzeliwana przez Niemców z Domu Akademickiego.

Drugie wydarzenie to rekwirowanie przez okupanta aparatów radiowych od mieszkańców Ochoty. Punkt składowania znajdował się w „Antoninie”, w dużej sali na drugim piętrze tego budynku, gdzie zgromadzono kilkaset aparatów. Po pewnym czasie Niemcy zabierali radia przewożąc je samochodami. Jednak większość tych aparatów została uszkodzona dzięki spontanicznej akcji sabotażowej wychowanków, którzy w czasie przenoszenia po schodach z góry na dół wyjmowali lampy, wrywali druty połączeniowe wewnątrz aparatów oraz uszkadzali bezpieczniki. W ten sposób załadowane do samochodów aparaty radiowe kwalifikowały się tylko na złom. Tak więc okupant nie miał z nich pożytku.

Pragnę podkreślić także skuteczną obronę „Antonina” przez księdza superiora Błażeja Marabotto - obywatela włoskiego. Niemcy czuli wobec niego respekt, gdyż brał on czynny udział w działalności Ambasady Włoskiej, mając tam poważne stanowisko. Niemcy liczyli się z tym, z uwagi na ich przynależność do paktu tzw. „Osi Berlin-Rzym”. Z tego względu Niemcy nie nagabywali księży Orionistów w Zakładzie. Pamiętam w jaki sposób obchodzili się z zakładami wychowawczymi na terenie Warszawy. Świadczy o tym przykład Zakładu Wychowawczego im. ks. Siemca, prowadzonego przez księży Salezjanów na ul. Lipowej na Powiślu. W zakładzie wykryto księży i wychowanków współpracujących z organizacjami podziemnymi walczącymi z okupantem. Aresztowano wychowanków, a niespełna po dwóch tygodniach śledztwa zostali oni powieszani w egzekucji na Lesznie. Opustoszałym zakładem na ul. Lipowej zaopiekowali się księża Orionieści, broniąc zwłaszcza przed grabieżą tamtejszego mienia oraz pilnując dobytku zakładowego do przyścia następnych ojców Salezjanów w celu przejęcia całego domu, w którym już niestety nie było można kontynuować pracy wychowawczej z młodzieżą warszawską.

Szczególną rolę w ratowaniu dobytku zakładowego odegrał ówczesny kleryk Bronisław Dąbrowski (obecny Arcybiskup Warszawski) na polecenie dyrektora ks. Włodzimierza Michalskiego i księdza Błażeja Marabotto. Było nas kilku wychowanków, wśród nich i ja, którzy bezpośrednio pomagali w tej trudnej pracy naszemu ówczesnemu wychowawcy. Ten sam los mógł spotkać naszych wychowanków na Barskiej, bowiem starsi chłopcy także należeli do organizacji podziemnych i niemal w każdą niedzielę chodzili na zbiórki do swoich oddziałów, a legalnie ks. Michalski zwalniał ich rzekomo na spotkanie „do cioci”. Przed samym wybuchem Powstania Warszawskiego wszyscy ci chłopcy opuścili „Antonin”, idąc na umówione miejsca zbiórki i aktywnie włączyli się do walki o wyzwolenie Warszawy. Wielu z nich oddało życie za Ojczyznę - m.in. bracia Ziętkowie, Janusz Szymaszczyk, Antoni Darowski, Zdzisław Czapla i inni, których nazwiska umknęły mi z pamięci.

Jak już wspomniałem, do „Antonina” przybyłem w listopadzie, w dzień Wszystkich Świętych. Cała nasza grupa - mając pod pachą po bochenku chleba - przekraczała mury

Zakładu z mieszanymi uczuciami. Przyjmował nas dyrektor Domu ksiądz Włodzimierz Michalski. Pierwsze spotkanie z wychowankami tutejszego Domu - znacznie starszymi od nas - napawało dużym niepokojem, jak w tym środowisku będziemy się czuli, a co najważniejsze, jak potoczą się nasze dalsze losy.

Z wielką serdecznością przyjęli nas wychowawcy, a szczególnie młodzi klerycy : Franciszek Barański, Józef Kołaciński, Bronisław Dąbrowski, Stefan Batory i pan Feliks Polaszek. Pamiętam, jak obecny ks. Stefan Batory zabawiając nas, podnosił nas jedną ręką po kilka razy w górę i na dół, a mnie aż serce omal nie wyskoczyło - byłem pełen strachu, czy mi się nie stanie jakaś krzywda.

Na drugi dzień z całej grupy aleksandrowskiej tylko ja i dwaj bracia - Bogdan i Zdzisiek Wysoccy pozostaliśmy na Barskiej, a inni byli odesłani do Łaźniewa. Był tam Dom Sierot dla najmłodszych chłopców, którzy po ukończeniu 5 klas szkoły powszechnej wrócili na ul. Barską i tu przebywali do uzyskania pełnoletniości. Byli to pozostali dwaj bracia Wysoccy - Jurek i Ryszard, Waław Sankowski, Tadeusz Witkowski, Marian Dobroń, Kazimierz Tomaszewski, Emil Okraszewski, Marian Czechnowicz, Franciszek Mirowski i Janek Starzewski. Losy moich wspomnianych wyżej kolegów były następujące - po uzyskaniu pełnoletniości opuścili Zakład wyjeżdżając „za chlebem” na Ziemię Zachodnie, zwłaszcza do Wrocławia i do Szczecina. Tam pozakładali własne rodziny. Dzisiaj, kiedy piszę te wspomnienia, wielu moich kolegów i przyjaciół już nie żyje. Pozostawili jednak po sobie dzieci, dali im katolickie wychowanie, odpowiednie wykształcenie i zawody, co umożliwiło im znacznie lepsze i atrakcyjniejsze życie niż mieli ich ojcowie.

Pierwsze kroki na Barskiej to konieczność podporządkowania się dyscyplinie zakładowej. Sprawiało mi to duże trudności, bo w poprzednim Domu Dziecka w Aleksandrowie była duża swoboda, brak obowiązków i zupełnie inna atmosfera we współżyciu z rówieśnikami. W tym czasie było nas przeszło 100 wychowanków; ja należałem do najmłodszej grupy uczęszczającej do VI klasy. Pamiętam, jak codziennie jeden z wychowawców odprowadzał nas do szkoły trzymających się za ręce. Z powrotem zaś trzymaliśmy się razem aby przejść bezpiecznie do Domu.

Pozostała część znacznie starszych kolegów chodziła do szkół zawodowych i odbywała praktyki zawodowe w różnych warsztatach : ślusarskich, stolarskich, krawieckich, a także w piekarnictwie. W „Antoninie” prosperowała piekarnia mechaniczna pod kierunkiem ks. Henryka Kowalczyka. Piekarnia ta, w tych trudnych czasach okupacyjnych, dawała przychody dla Zakładu. Wpływy z Opieki Społecznej były bardzo znikome i gdyby nie dochody z piekarni, to sprawa utrzymywania wychowanków i personelu zakładowego byłaby nie do pozazdroszczenia.

W 1941 roku ukończyłem szkołę powszechną i jeszcze z tegoż roku pamiętam ks. Józefa Garnćarka, który umieścił mnie w sklepie spółdzielczym na ul. Grójeckiej 40 do przyuczenia do zawodu kupieckiego na pełne trzy lata, ale bez wynagrodzenia. Natomiast spółdzielnia zobowiązała się na swój koszt wysłać mnie do wieczorowej szkoły handlowej. Była to prywatna szkoła handlowa im. Everta, na poziomie gimnazjalnym, z którego to gimnazjum wyszli znani kupcy warszawscy, m.in. Stefan Barćkowski, u którego po wojnie kilka lat pracowałem, p. Braun mający wiele sklepów branży żelaznej, bracia Jabłkowscy prowadzący na ul. Brackiej pierwszy dom handlowy w Warszawie i wielu innych znanych kupców warszawskich.

Szkoła posiadała personel o wysokich kwalifikacjach zawodowo-pedagogicznych. Lekcje religii prowadził kapelan Armii Krajowej ks. Jachimowski, który obok społecznej nauki katolickiej wykładał historię Kościoła z uwzględnieniem Polski jako przedmurza chrześcijańskiego w Europie. Jego wykłady kształtowały nasze charaktery w duchu miłości do Boga i do Ojczyzny. W szkole tej były organizowane liczne akademie i pogadanki przez

wybitnych działaczy Polski Podziemnej o bieżącej walce z okupantem hitlerowskim, wynikających stąd zadań w kierunku wyzwolenia z niewoli niemieckiej.

W tej atmosferze w 1944 roku ukończyłem gimnazjum uzyskując tzw. „małą maturę”, co na obecne czasy było to bardzo dużo. Dzięki temu zaraz po wojnie mogłem znaleźć lepszą pracę, o której wspominam w dalszej części moich wspomnień.

Pragnę podkreślić, że na Barskiej byłem wychowankiem najdłużej, przez 11 lat - do 1950 roku. W tym czasie „przewinęło się” przez Barską ponad pół tysiąca wychowanków. Wielu z nich było i jest do dnia dzisiejszego moimi serdecznymi przyjaciółmi; spotykamy się często na różnych uroczystościach, wzajemnie sobie pomagamy, a na dorocznych zjazdach „Antoniaków” wspominamy o naszych młodzieńczych latach u księży orionistów na ul. Barskiej w Warszawie.

Muszę przyznać, że zarówno w pierwszych latach pobytu na Barskiej, jak i w latach następnych mieliśmy - ogólnie mówiąc - warunki znośne; nie chodziliśmy głodni, mieliśmy się w co ubierać, a bieliznę osobistą i pościelową zmieniano regularnie, abyśmy mogli chodzić czysto i schludnie. Niemałą zasługę w tym zakresie miały także siostry Orionistki, które na czas przygotowywały posiłki, prały bieliznę oraz reperowały odzież. W moim osobistym odczuciu widziałem ogromny wysiłek siostr, ich całkowite poświęcenie się w tej charytatywnej służbie dla potrzebującej młodzieży w naszym Zakładzie.

A jakie były zajęcia codzienne w Zakładzie? Otóż o godzinie szóstej rano wpadał jeden z wychowawców do pomieszczeń (dużych sal) i ogłaszał pobudkę z chrześcijańskim pozdrowieniem „Benedicamus Domino”, a myśmy odpowiadali „Deo gratias” na dowód żeśmy się obudzili. W pół godziny trzeba było się umyć, wyczyścić zęby, ubrać się i posłać swoje łóżko. Potem w dwuszeregu szliśmy do kaplicy na poranną modlitwę, a stamtąd prosto do jadalni na śniadanie. Później, przed pójściem do szkoły, czy też do warsztatów zajmowaliśmy się sprzątnięciem pomieszczeń zakładowych, a przede wszystkim zamiataniem, ścieraniem kurzu z szaf i stołów. Działo się to na zasadzie z góry ustalonych dyżurów, tak więc każdy wiedział, co do niego należy. Wychowawcy czuwali nad tymi zajęciami, aby był porządek i czystość w Zakładzie.

Obiad spożywaliśmy przeważnie o godz. 14-tej, a potem był czas na odrabianie zadań szkolnych i czytanie zadanej lektury. W Zakładzie była dobrze wyposażona biblioteka, którą prowadził ks. Stefan Batory. Można było wypożyczać książki. Często wychowawcy urządzali pogadanki literackie czytając ciekawsze fragmenty z poszczególnych książek. Prym w tym wodził ks. Jan Baraszkiewicz. Trzeba również podkreślić dużą pomoc ze strony wychowawców przy odrabianiu lekcji.

Przed kolacją, która przeważnie była o godz. 19-tej, był czas na rekreację. Czas ten wykorzystywaliśmy na różnego rodzaju zajęcia, na przykład grę w warcaby i w szachy, na placu graliśmy w piłkę, przeważnie w siatkówkę i w koszykówkę; mieliśmy nawet dobre rezultaty w różnych zawodach. Ćwiczyliśmy na drążkach, bardzo popularny był tenis stołowy na sali gimnastycznej. Pamiętam, jak rywalizowaliśmy z różnymi zewnętrznymi drużynami szkolnymi. W tym sporcie najlepszymi zawodnikami byli Tadek Bocheński i Stasio Nowakowski. Ja też nieźle grałem w ping-ponga, nawet zająłem drugie miejsce w turnieju indywidualnym pomiędzy organizacjami młodzieżowymi rejonu Warszawa - Śródmieście. Byłem również zapalonym szachistą. Często grałem z dyrektorem - ks. Włodzimierzem Michalskim, którego często „ogrywałem”, chociaż nieraz dostawałem od niego niezłe „baty”. Kiedy pracowałem w Banku Komunalnym w latach 1949-1952, brałem udział w corocznych turniejach szachowych międzybankowych w Polsce, zajmując czołowe miejsca. Przy tej okazji były liczne nagrody, cieszyłem się także dużym autorytetem wśród moich współpracowników i szachistów bankowych. Przy tej okazji otrzymałem od Prezesa Banku Komunalnego - ministra Kiernika ładną kawalerkę na ul. Niemcewicza, dzięki czemu miałem możliwość urządzenia się i założenia własnej rodziny.

Ale wracając do naszych codziennych zajęć - o godz. 19-tej chodziliśmy na kolację, a przed pójściem spać wstępowaliśmy do kaplicy na wieczorny pacierz; przy tej okazji przeważnie ks. dyrektor Włodzimierz Michalski, a także ks. Bronisław Dąbrowski mieli „słówko na dobranoc”. Były one bardzo pouczające, kształtowały nasze charaktery i właściwe podejście do zjawisk, jakie przyszło nam przeżywać w Zakładzie.

Opisując typowe codzienne życie w „Antoninie” (w latach 1939-1950) podkreślałam, że były również wydarzenia, które w sposób szczególny utkwiły mi w pamięci, chociaż od tamtego czasu minęło ponad 46 lat. Są to między innymi :

- egzekucja na naszym koledze Garncaraku, dokonana przez chłopców z konspiracji komunistycznej. Po odczytaniu wyroku oddano do niego kilka strzałów z odległości dwóch metrów, które nic mu nie zrobiły (wręcz spudłowano). Jeszcze tego samego dnia zmuszony był on do opuszczenia „Antonina”,
- przez całą okupację - mimo wielu wizyt Gestapo - nic nam nie zrobiono, a były ku temu powody, gdyż wielu wychowanków brało czynny udział w konspiracji. Przecież mieliśmy smutny przykład w Zakładzie im. ks. Siemca, o czym wcześniej wspominałem,
- wreszcie wprowadzenie na teren Zakładu niemieckiej jednostki wojskowej z dywizji „Herman Goering”,
- w dniu 1 sierpnia 1944 r. jednostka ta została wyparta z Zakładu przez powstańców pod dowództwem porucznika Tadeusza Koteckiego, ps. „Kalina”. Oczywiście nie obyło się bez ofiar śmiertelnych. Pamiętam, jak ks. Stefan Batory w tym czasie zbierał wszystkich wychowanków z całego Domu do schronu. Wszyscy wychowankowie mimo silnego ognia karabinowego z obydwu walczących stron zdążyli się schronić do jadalni, tj. miejsca przygotowanego na schron.

O tych wydarzeniach już wiele napisano, ale trzeba tu podkreślić, że w dniach Powstania Warszawskiego - po odbiciu „Antonina” przez Niemców - nic nam się nie stało; wyszliśmy cało dzięki opiekowaniu się dwoma żołnierzami niemieckimi, którzy z nami przebywali w schronie. To spowodowało, że atakujący żołnierze niemieccy z chwilą dostania się do naszego schronu z odbezpieczonymi granatami zamierzali nas zlikwidować. Krzyk rannego oficera niemieckiego uratował nas od niechybnej śmierci. Reakcja na ten krzyk była błyskawiczna, Niemcy odbezpieczone granaty wyrzucili w odwrotną stronę w kierunku sali gimnastycznej. Potem wyprowadzono nas ze schronu trzymających ręce do góry (w schronie było przeszło 100 osób - wychowankowie, księża i siostry zakonne). Zostaliśmy wzięci do niewoli i przebywaliśmy w Domu Akademickim na Placu Narutowicza jako zakładnicy wspólnie z mieszkańcami sąsiednich domów z ul. Grójeckiej (w sumie było nas kilkaset osób).

Ponieważ w czasie walk zginęło wielu Niemców, dlatego wykonywano na zakładnikach egzekucje na terenie Domu Akademickiego przez rozstrzeliwanie 10 osób za jednego zabitego Niemca. Nas jednak ominęły te egzekucje, po 8 dniach o chłodzie i głodzie odprowadzono wszystkich pozostałych przy życiu zakładników na „Zieleniak” przy ul. Grójeckiej, gdzie byliśmy świadkami bestialskiego traktowania przybyłej tu ludności cywilnej przez rozwydrzonych żołdaków rosyjskich współpracujących z Niemcami. Były grabieże, morderstwa, gwałty i masowe odbieranie ludziom zegarków, złota i biżuterii. Stamtąd zaprowadzono nas na Dworzec Zachodni, skąd pojechaliśmy do Pruszkowa, a tam dokonano selekcji i wywieziono wagonami towarowymi do obozu przejściowego na terenie Niemiec w miejscowości Bietigheim. Po trzech tygodniach przetransportowano nas do fabryki „Knorra” w Heilbronne.

Z Niemiec powróciliśmy tuż przed świętami Bożego Narodzenia w 1944 r. do Łązniewa, gdzie przebywaliśmy do końca wojny. W tych wydarzeniach okupacyjnych doświadczyliśmy szczególnej opieki - dzięki Opatrzności Bożej - świętego Antoniego. Przez całą okupację przetrwaliśmy naloty bombardujące Warszawę, później okres Powstania Warszawskiego

i pobyt w obozie niemieckim, a także przeżyte zmasowane bombardowanie przez lotników alianckich miasta Heilbron (zginęło wtedy przeszło 60 tys. mieszkańców). Wróciliśmy do Kraju cało i szczęśliwie.

Lata powojenne (1945-1950)

17 stycznia 1945 r. był dniem wyzwolenia Warszawy. Jeszcze tego samego dnia, z samego rana, uciekłem z Łązniewa i na pieszo, w drewniakach, poszedłem prosto do „Antonina” na Barską. Po drodze po raz pierwszy - na wysokości Ożarowa - ujrzałem polskich żołnierzy mających na czapkach „kuricę”, zamiast orzełka w koronie. Ludzie na szosie płakali ze szczęścia, rzucali kwiaty na cześć swoich wyzwolicieli. Na ul. Wolskiej, tuż pod mostem, żołnierze polscy siedzący na furmance najechali na minę i wszyscy zginęli (12 osób). Z początku myślałem, że nastąpił niespodziewany atak niemiecki, ale jednak było inaczej. Był to widok straszny.

Po 25 km marszu trafiłem na Barską do „Antonina” i ze łzami w oczach patrzyłem na zniszczenia wojenne naszego Domu. Budynek został prawie całkowicie spalony, dwa piętra frontowe uległy całkowitemu zniszczeniu, ocalała jedynie kaplica, gdzie na podwyższeniu stała poprzestrzelana figura św. Antoniego. W znośnym stanie były pokoje na pierwszym piętrze, chociaż nie było ani jednej szyby w oknach, a futryny były powypalane.

Jeszcze tego samego dnia po południu nadleciały nad Warszawę samoloty niemieckie i ostrzeliwały jednostki wojskowe przebywające na ulicach przy rozpalonych ogniskach. W tym czasie było bardzo mroźno - prawie 20 stopni mrozu. W czasie tego nalotu spadło kilka bomb w okolicach Placu Narutowicza.

Pierwszą noc w „Antoninie” spędziłem w dawnym pokoju pana Zygmunta Sęka. Był najmniej zniszczony, okna zasłoniliśmy dyktą, a na środku postawiliśmy piecyk węglowy. Późnym wieczorem przyszło kilku oficerów polskich; nie chcieli nocować na ulicy przy ognisku, zobaczyli u nas światło świeczek i dlatego przyszli i przenocowali razem z nami na podłodze. Opowiadali nam jak zza Wisły na Pradze czekali niecierpliwie na rozkaz ataku na lewy brzeg Wisły, jednak po próbnym ataku na Powiśle musieli się cofnąć z powrotem ponosząc wielkie straty w ludziach. Dopiero z chwilą rozpoczęcia ofensywy styczniowej wkroczyli do lewobrzeżnej części Warszawy i tutaj na Ochocie mieli się zatrzymać.

Na drugi dzień przybyło z Łązniewa kilku innych kolegów z księżmi Henrykiem Kowalczykiem i Janem Baraszkiewiczem. Wzięto się od razu do intensywnej pracy zmierzającej do uporządkowania Domu i przeprowadzania remontu w miarę jak uzyskiwaliśmy potrzebne materiały budowlane. Pamiętam, jak pierwsze kroki ks. Jana Baraszkiewicza były skierowane na strych, gdzie pod podłogą był schowany aparat radiowy, ale niestety był on wypalony - została z niego tylko obudowa z metalu.

Kiedy zbliżały się ciemności i zapadały noce czuliśmy się wtedy bardzo osamotnieni, tak jakbyśmy byli na pustyni. Rozglądaliśmy się, czy wśród ruin nie zobaczymy jakiegoś światełka świadczącego, że nie jesteśmy sami. Pamiętam, że kto przybył do Warszawy w pierwszych dniach ten mógł pozostać. Władze wojskowe ograniczały napływ ludności spoza Warszawy, ponieważ rabowano ocalały dobytek z opuszczonych domów. Szabrowanie miało charakter masowy.

W tym czasie ks. Kowalczyk nawiązał kontakt z komendanturą wojskową na Ochocie i za jej zgodą mógł gromadzić niezbędne materiały budowlane do odbudowy Zakładu. Z wyżywieniem nie było specjalnych kłopotów, bo mając odpowiednie zezwolenia władz wojskowych mogliśmy sprowadzać potrzebne prowianty z Łązniewa.

Jeszcze w tym samym roku na jesieni odrodziło się życie w „Antoninie” i przybywało coraz więcej nowych wychowanków. Dom był już prawie w całości odbudowany rękoma samych starszych wychowanków, którzy pracowali pod kierunkiem fachowych majstrów, murarzy,

cieśli, malarzy i innych. W tym samym czasie w Warszawie uruchomiono pierwszą linię tramwajową z Placu Narutowicza na Okęcie. W tych trudnych warunkach miasto powoli powracało do życia.

W roku 1946 mój pobyt w „Antoninie” był znacznie ograniczony, podjąłem wówczas pracę w firmie St. Barcikowski i Sp. z o.o. jako praktykant biurowy. Pracę tę dostałem w bardzo ciekawy sposób, z ogłoszenia w „Życiu Warszawy”. Tego samego dnia udałem się tam i zobaczyłem ogromną kolejkę młodych ludzi chętnych do pracy w tej instytucji (było nas przeszło 100 osób). Nie zraziłem się i również stanąłem w kolejce i po paru godzinach dostałem się do prezesa tej firmy. I o dziwo, podobałem się prezesowi. Zdecydowało moje dotychczasowe wykształcenie - ukończenie gimnazjum handlowego, do którego wcześniej również uczęszczał tenże prezes. Potem dowiedziałem się, że z całej plejady kandydatów tylko ja miałem średnie wykształcenie, inni zaś pokończyli szkoły powszechne, albo tylko trzy lub cztery klasy z tych szkół.

Przepracowałem w tym przedsiębiorstwie trzy lata (do 1949 r.). Byłem traktowany bardzo dobrze, a to ze względu na pracowitość i rzetelność w wykonywaniu różnych zadań. Cieszyłem się wielkim zaufaniem u szefa firmy - pana Stefana Barcikowskiego. To dzięki jego namowom podjąłem dalszą naukę w liceum ogólnokształcącym na ul. Grójeckiej 95. Było to Liceum im. Konarskiego. Kiedy odchodziłem z firmy poprosiłem o opinię, aby móc znaleźć odpowiednią pracę. A oto jej dosłowne fragmenty : „ Ob. Jan Tunicki przeszedł w okresie swojej pracy u nas pełną praktykę biurową, zaznamiając się z całokształtem prac biurowych i wykazał przy tym szybką orientację oraz wielostronne uzdolnienia. Wymieniony załatwiał wszelkie sprawy firmowe w mieście, powierzane mu były poważne kwoty pieniężne oraz ważne dokumenty, z którymi częstokroć bywał delegowany do n/Oddziałów. Będąc pracownikiem rzetelnym, obowiązkowym, sumiennym i ambitnym pozyskał sympatię wszystkich współpracowników...”

Ob. Jan Tunicki odszedł z naszej firmy na własne życzenie, celem rozszerzenia praktycznych wiadomości i dalszego doskonalenia się w obranym przez niego zawodzie...

Ob. Jana Tunickiego możemy polecić jako bardzo uzdolnionego pracownika, rokującego duże nadzieje i zasługującego ze wszech miar na jak najdalej idące poparcie”.

Dlaczego o tym wspominam ? Ano dlatego, aby potwierdzić dobre wychowanie u księży Orionistów – to im zawdzięczam, iż mogłem dalej iść śmiało naprzód w życie. Oczywiście z taką opinią nie miałem kłopotu w znalezieniu pracy w Banku Komunalnym, a później w ramach reorganizacji w Banku Inwestycyjnym w Warszawie, gdzie przepracowałem 20 lat wspinając się na coraz to wyższe stanowiska, aż do kierowniczych włącznie. Jako naczelnik wydziału kierowałem dużym zespołem pracowników i jako prokurent Banku decydowałem o przyznawaniu poważnych kwot pieniężnych (kredytów) dla przedsiębiorstw działających na terenie Warszawy, a szczególnie w budownictwie komunalnym i mieszkaniowym. Z uwagi na likwidację Banku Inwestycyjnego w ramach reorganizacji zwróciłem się do Prezesa Banku o zwolnienie mnie z pracy i pozwolenie na przejście drogą służbową do pracy w aparacie gospodarczym w przedsiębiorstwach na pełnych rozrachunkach gospodarczych. Zezwolenie takie dostałem i tu również poprosiłem o opinię, która była tej oto treści : „ Ob. mgr Jan Tunicki posiada bardzo dobre przygotowanie zawodowe tak teoretyczne, jak i praktyczne - do pełnienia funkcji na zajmowanych dotychczas stanowiskach. Swoją wiedzę fachową potrafi umiejętnie stosować w praktyce, przekazując ją podległym pracownikom. Operatywny i samodzielny, umiejętnie organizuje i planuje prace wydziału. Ponadto wykazuje wiele inicjatywy w podejmowaniu nowych kierunków badawczych i analitycznych. Należy do pracowników obowiązkowych i odpowiedzialnych. W stosunku do podwładnych koleżeńskich i uczynny”.

I tu znów podkreślam, że po 20 latach pracy nie tylko dawałem sobie radę, ale miałem również i pewne osiągnięcia i sukcesy. Wszystko to zawdzięczam moim wychowawcom; to

oni wpoili we mnie te cechy, wymienione przez ludzi zupełnie obcych w wyrażanych opiniach. Przez cały ten czas byłem pod opieką mojego najdroższego Wychowawcy, a obecnie Arcybiskupa Bronisława Dąbrowskiego - byłego Sekretarza Episkopatu Polski, który służył mi wszelką pomocą i radą, o które niejednokrotnie zwracałem się do Niego. To dzięki Jego dobroci i życzliwym radom mogłem pokonać wiele trudności życiowych w trakcie pełnienia swoich obowiązków zarówno zawodowych, jak i rodzinnych.

Po odejściu z Banku, na dalsze 20 lat zaangażowałem się w pracę przedsiębiorstw mających związek z eksportem budownictwa. Już jako pełnowartościowy fachowiec z dużym doświadczeniem - zarówno teoretycznym, jak i praktycznym - mogłem z powodzeniem podjąć w tych przedsiębiorstwach obowiązki na stanowisku głównego księgowego, czy też w późniejszym czasie dyrektora d/s ekonomiczno-finansowych. Funkcje te pełniłem do chwili przejścia na zasłużoną emeryturę. W tych przedsiębiorstwach wiele jeździłem do różnych krajów na nasze budowy, zarówno w Europie Zachodniej, jak i w państwach Bliskiego Wschodu (Irak, Iran, Libia). Jeździłem również do b. Związku Radzieckiego, gdzie ponad 3 tys. Polaków pracowało przy budowach stacji kompresorowych.

Ale wracając do naszych spraw w „Antoninie” - lata 1946-1950, do czasu pełnego usamodzielnienia się, wspominam z wdzięcznością, gdy księża Orionieści przyszedli mi z wydatną pomocą. Przez ten czas za niewielką odpłatnością mogłem dalej przebywać w Zakładzie. Ze swej strony w tym okresie udzielałem się społecznie w różnych pracach odpowiadających moim kwalifikacjom; prowadziłem przez wiele lat księgowość zakładową, do której wprowadził mnie szalenie skromny i słynny ze swej dobroci ks. Edmund Dąbrowski. Do pomocy w tej pracy był także kolega Stasio Topolski - z wykształcenia ekonomista, długoletni pracownik Urzędu Skarbowego w Warszawie - pracujący na stanowisku naczelnika do czasu przejścia na zasłużoną emeryturę.

Z dalszych wspomnień na szczególne wyróżnienie zasługuje mój skromny udział w tworzeniu w Zakładzie drużyny harcerskiej - 15 W.D.H. Miałem tu duże poparcie ze strony ks. Baraszkiewicza, który zawsze znajdował dla nas czas i robił wszystko, aby drużyna nasza była drużyną wzorową w porównaniu z innymi drużynami na Ochocie. Zresztą zdobywała ona liczne nagrody na harcerskich konkursach śpiewaczych zajmując czołowe miejsca w Warszawskiej Komendzie Z.H.P. Drużynowym był nasz drogi kolega Jurek Ryszkowski, któremu zawdzięcza się duży wkład pracy dla rozwoju tej drużyny i osiągnięcia wspaniałych wyników.

Drugą pozycją zasługującą na pamięć to po raz pierwszy utworzenie samorządu zakładowego. Była to wyraźna inicjatywa ówczesnego dyrektora Zakładu - ks. Bronisława Dąbrowskiego; dał on dużą swobodę wychowankom w samodzielnym organizowaniu życia zakładowego. Długoletnim prezesem samorządu był wyróżniający się kolega Zdzisław Lebień. Moja rola w tym samorządzie była raczej skromna, przyczyniała się jednak do efektywniejszego działania. Razem ze Stasiem Topolskim reprezentowaliśmy stronę opozycyjną, zwracając szczególną uwagę na poprawę organizacyjną samorządu - w celu zwiększenia efektów pracy tego organu, aby była bardziej atrakcyjna.

Trzeba przyznać, że zmienił się w Zakładzie styl życia; sami decydowaliśmy o różnych sprawach, które dotyczyły nas bezpośrednio. Między innymi utrzymywanie porządku domowego, organizowania różnych imprez kulturalno-oświatowych i sportowych, wydawania własnej gazetki szkolnej.

Niestety, w niedługim czasie (w 1954 r.) - na skutek różnych prowokacji - władze państwowe zlikwidowały Zakład. Wychowankowie musieli opuścić ten Dom; tylko nieliczne pomieszczenia księży i siostr wraz z kaplicą pozostały w ich rękach. Dopiero po upadku władz komunistycznych i wprowadzeniu zmian systemowych w 1989 r. zaistniały warunki zwrotu księżom Orionistom Zakładu, który do dnia dzisiejszego pozostał ośrodkiem wychowawczym dla młodzieży wymagającej specjalnej opieki.

Wspomnienia „Antoniaków”

Na zakończenie moich wspomnień pragnę nadmienić, że więź między moimi kolegami i byłymi wychowawcami z Barskiej jest kontynuowana do dnia dzisiejszego, chociaż wielu odeszło już z tego świata.

Z inicjatywy naszego Czcigodnego Arcybiskupa Bronisława Dąbrowskiego mieliśmy zarząd, któremu przez wiele lat przewodniczyłem w różnych okazyjnych spotkaniach koleżeńskich. Obecnie przewodniczącym, zwanym prezesem „Antoniaków”, jest mec. Wiesław Pakoca, który prawdopodobnie weźmie udział w grupie inicjatywnej stowarzyszenia byłych wychowanków „Antonina”, a obecnie pracuje nad projektem statutu stowarzyszenia.

Jeszcze pokrótce o dorobku obecnie działającego zarządu, a mianowicie :

- coroczne spotkania w dniu 13 czerwca (w dzień św. Antoniego) na Barskiej lub w Łązniewie z byłymi wychowankami wraz z ich rodzinami z udziałem naszych byłych wychowawców z Jego Ekscelencją Arcybiskupem Bronisławem Dąbrowskim, zwanym przez nas „Ojcem”,
- wspólne dzielenie się opłatkiem w okresie świąt Bożego Narodzenia,
- organizowanie rekolekcji wielkopostnych w kaplicy zakładowej,
- udział w różnych uroczystościach i jubileuszowych obchodach naszych byłych wychowawców - księży orionistów,
- udzielanie pomocy ze strony naszego „Ojca” potrzebującym wychowankom, zwłaszcza w okresie stanu wojennego,
- udział w pielgrzymce do Rzymu na beatyfikację założyciela zakonu oriońskiego - Ojca Orione oraz przy tej okazji spotkanie z Ojcem Świętym Janem Pawłem II,
- wyświetlanie filmów dla wychowanków w gmachu Episkopatu,
- z okazji 50-lecia śmierci ks. prałata Franciszka Toporskiego zorganizowanie różnych przedsięwzięć dla upamiętnienia tego wielkiego i wspaniałego działacza na rzecz sierot z udziałem Prymasa Polski i Arcybiskupa B. Dąbrowskiego; były to : Msze św., nagłośnienia w prasie i w telewizji, wykonano tablicę pamiątkową i umieszczono ją w Zakładzie, zorganizowano wystawę fotograficzną - najpierw w Zakładzie, a później w kościele p.w. św. Barbary na ul. E. Plater, gdzie ks. Toporski był w swoim czasie wikarym i na tym terenie stawiał pierwsze kroki w działalności charytatywnej,
- spotkania także na uroczystościach pogrzebowych naszych zmarłych kolegów-wychowanków i wychowawców; jak do tej pory było ich bardzo dużo.

W zakończeniu moich wspomnień i refleksji chcę podkreślić, jak bardzo jestem całym sercem wdzięczny mojemu kochanemu „Ojcu” - Bronisławowi Dąbrowskiemu i wielu innym wychowawcom spośród księży Orionistów, a w szczególności sposób ks. Stefanowi Batoremu, opiekującemu się obecnie pozostałymi przy życiu wychowankami.

To Oni cały czas prowadzili mnie przez życie. Im zawdzięczam to, że wyrosłem na człowieka dającego sobie radę w życiu i przez ich postępowanie mogłem służyć innym ludziom i mogę spokojnie, bez kłopotów materialnych spędzać jesień mojego życia.

Bóg zapłać !

Relacja spisana w 1996 roku.

Józef Winiarski

Wspomnienia z Zagrodniczy i „Antonina”

Trzech nas braci było małych
Franek, Włodek, no i ja

Odtąd zacznę swą opowieść
Co tragedię w sobie ma

Dom rodzinny, dom kochany
Czerwonogród nazwę ma
Tam też wspólnie mieszkaliśmy
Ojciec, matka, bracia, ja

Mimo wojny, ciężkich czasów
Wspólnie pięknie nam się żyło
Od Wigilii jednak wszystko
Tak okrutnie się skończyło

Zasiedliśmy do kolacji
By opłatkiem się podzielić
Jutro Chrystus miał się rodzić
Można było się weselić

Nagle drzwi się otwierają
Banda staje w nich okrutna
Srogie twarze ich i wstrętne
Mina ukraińska, butna

Dziś pamiętam huk wystrzałów
Matkę nagle padającą
Płacz Franusia, lament ojca
I chałupę gorejącą

Potem nagle ginie ojciec
Postrzelony Włodek tuż
Patrzę - matka już skołała
Kona także Franuś już

Tak zaczęła się ma męka
Która trwała tyle lat
Z mej rodziny ukochanej
Zostaliśmy ja i brat

Me dzieciństwo, jak wspominam
Wylałem w nim dużo łez
Róże w nim dla mnie nie kwitły
Słońce nie grzało mnie też

Matki trudno mi zapomnieć
Ojca też brakuje mi
Wciąż zgryzoty, smutki, żale
I płynące z oczu łzy

Dom rodzinny był marzeniem
I choć tak pragnąłem go

To niestety zapoznałem
Co to znaczy Dziecka Dom

Pierwszy Dom był w Zaleszczykach
Które z żalem wspominamy
I choć piękna to miejscowość
Los nasz był w niej oplakany

Był to rok czterdziesty trzeci
Ja trzynaście miałem lat
I nie przypuszczałem wtedy
Jak okrutny jest ten świat

Kiedy mi dokuczał głód
Gdyż jedzenia było brak
To tuliłem głowę w koc
Bo za skargi groził bat

Po cóż żalić mi się teraz
Co przeżyłem w tamte dni
Cóż wspominać o koszmarze
O radzieckiej, brudnej wsi

Po dwuletniej tam udręce
Wspomnieć o tym nie zaszkodzi
W inne się dostałem ręce
Już w Ojczyźnie koło Łodzi

Chociaż tylko dwa tygodnie
Przebywałem w wiosce tej
To wspominam ją dość mile
O czym tutaj pisać chcę

Tam nas wreszcie wykąpano
I ubranie dano nam
Znów chodziłem ciągle syty
I nie byłem wreszcie bity

Nadszedł rok czterdziesty piąty
W Zduńskiej Woli wtedy byłem
Tam nas księża przygarnęli
Tam pracować się uczyłem

Praca to za duże słowo
Na to, co tam robiliśmy
Bo choć drukarz fach poważny
My się tylko bawiliśmy

Tak minęły trzy miesiące
Aż wtem przyszła nowa wieść

ŻEGNAJ MI WIŚNIOWA GÓRO
Witaj ZAGRODNICO - CZEŚĆ

Dom ten czule dziś wspominam
Był on dla mnie jak rodzinny
A to wszystko dzięki księżom
Bez nich byłbym dzisiaj inny

Zacni ludzie to i dobrzy
Bardzo o nas się troszczyli
I choć my urwisy straszne
Oni tak wspaniali byli

Nauczyli nas dobroci
I jak mamy z Bogiem żyć
Przekazali nam swą mądrość
I jak prawym człkiem być

Zapewniali nam naukę
Dom dostatni i spokojny
Mieli dla nas dobre słowo
Każdy był w dobroci hojny

Rozpocząłem więc naukę
Choć dorosły prawie byłem
I choć szła mi ona kiepsko
Z dnia na dzień swój mózg ćwiczyłem

Stąd pamiętam też kobietę
Która dla nas matką była
W każdym miała swoje dziecko
O każdego się troszczyła
Dziatki małe jak pamiętam
Brała zawsze na kolana
Czułe słowa im mówiła
Była dobra i kochana

Kiedy nadszedł czas kąpieli
Małe dzieci - niezaradne
Myła zawsze pojedynczo
Aby były czyste, ładne

Zacna była to kobieta
Zwała się Maria Dąbrowska
Była matką jednego z księży
Jego zna dziś cała Polska

W Zagrodnicy najpiękniejszej
Czas okazał się zbyt zwawy
Nim zdążyłem się obejrzeć

Mam już jechać do Warszawy

Choć poznałem już smak rozstań
Do nich się przyzwyczailem
Jednak w miłej Zagrodnicy
Część swej duszy zostawiłem

Cóż nowego mi przyniesiesz
Ma stolico, miasto me
Każesz mieszkać mi na Barskiej
A więc dobrze, słucham cię

Nowi ludzie, nowe twarze
Moi mili więc witajcie
Przyjdzie nam tu żyć ze sobą
Tu na Barskiej w internacie
Hej ! Chłopaki ! Was się pytam
Czyście z tego domu radzi ?
Czy Wam dobrze się tu żyje ?
Któż ten dom tutaj prowadzi ?

Ach, Józefie ! Nasz kolego
Gdzież byś lepiej trafić miał
Jesteś wszak u Orionistów
Tutaj każdy być by chciał

Czuj się tu jak z własną matką
Krzywda tu nie spotka Cię
Kiedy księża Orioniści
Tobą opiekują się

I faktycznie nie kłamali
Chłopcy, którzy to mówili
Bowie księża Orioniści
Wspaniałymi ludźmi byli

Szkołę podstawową tutaj
Z opóźnieniem lecz skończyłem
No, a potem z wielką frajdą
Nową pracę pochwyliłem

Praca ta rozrywką była
Odmiennością codzienności
Chętnie do niej się zbierałem
Aby uciec od szarości

Czas napisać trochę o niej
Na czym wszystko polegało
No więc koń, wóz, bat i lejce
I zajęcie już się miało

I nie myślcie moi mili
Że to było tylko głupstwo
Bo prócz frajdy i rozrywki
Też zajęcia miałem mnóstwo

Więc musiałem wywieźć śmiecie
Aby czystość w internacie
Była zawsze zachowana
Oto jeden przykład macie

Nie chcę dodać już splendoru
Nader skromnej mej osobie
Lecz by podnieść rangę pracy
Dam ja drugi przykład Tobie

Przykład nie jest już błahostką
Wyręczając w funkcji piekarskiej
Dostarczałem czasem chleba
By jeść mogli go na Barskiej

Tak na pozór dość beztroski
Żywot sobie prowadziłem
Kiedy szkołę podstawową
Tu na Barskiej ukończyłem

I nie powiem, dość przyjemnie
Znów wspominam tamte chwile
I powracam zawsze do nich
Choćbym był o setek mile

Z tak dużego grona ludzi
W którym żyłem długie lata
Większa ilość już odeszła
Po wsze czasy z tego świata
Nie czas jednak jest na żale
Roztrząsanie spraw tak przykrych
Lepiej serce zasmucone
Porcją wesołości przykryć

Więc opowiem może teraz
Jak o punkty walczyliśmy
Które nam dawano wtedy
Gdy porządek trzymaliśmy

Prócz porządku, też kultura
Stopnie w szkole i nagany
Były potem odpowiednio
Według zasług nagradzane

Ale dość już o stosunkach

Tam na co dzień panujących
Teraz mili Wam opiszę
Księży o nas się troszczących

Aby wiernie ich opisać
Brakło w Polsce by papieru
Więc napiszę Wam o jednym
Który wtedy był u steru

Znacie wszyscy go na pewno
Któż nie zna z wiernych polskich
Zna go przecież cała Polska
Arcybiskup to Dąbrowski

Człowiek o gołębicim sercu
Duszy czystej jak kwiat róży
A twarz jego tak kochana
Nigdy w życiu się nie chmurzy
Dzięki niemu fach mam dzisiaj
Który perspektywy stwarza
Ksiądz Dąbrowski swego czasu
Na kurs wysłał mnie stolarza

Fachu tego, mówię serio
Chciałem się nauczyć dobrze
Aby potem w świat dorosłych
Wejść i prosperować mądrze

Gdy minęły już dwa lata
Odkąd byłem tu, na Barskiej
Na mej drodze stanął człowiek
Także stolarz - imię pan Haspert

On przygarnął mnie do siebie
Zabrał do własnego domu
Tam pięć lat mieszkałem prawie
Wszystko zawdzięczając jemu

Byłem przez nich traktowany
Jak syn własny, pierworodny
Kupowali mi ubrania
Ja też chciałem być ich godny

Wciąż sumiennie pracowałem
Przy warsztacie u Hasperta
I staranie moje widząc
Zawsze o mnie on pamiętał

Złego słowa nie słyszałem
Nigdy z jego ust wrażliwych

Nawet kiedy coś zepsułem
On był dla mnie pobłażliwy
Mieszkał pewnie bym do dzisiaj
U tych nader prawych ludzi
Ale byłem w takim wieku
W którym miłość już się budzi

W pięćdziesiątym szóstym roku
Serce przebił strzałą Amor
Zakochałem się od razu
Gdybyś to widziała mamó

Wokół świat zdał mi się piękny
Ze wszystkiego się cieszyłem
Z ukochaną narzeczoną
Wiele pięknych chwil przeżyłem

A gdy przyszły potem święta
I radości moc dla wiernych
W dniu Bożego Narodzenia
Zawarliśmy ślub kościelny

Tak pokrótce opisałem
Swoje życie, które przecie
Tak okrutnie się zaczęło
Jakie, teraz trochę wiecie

Korzystając z tej okazji
Że mam głos tu na papierze
Chciałbym tym, co coś zawdzięczam
Podziękować bardzo szczerze

Pamiętajcie moi drodzy
O WINIARSKIM JÓZKU zawsze
I wspomnijcie sobie czasem
Stare, dobre czasy nasze
Ja ze strony swej chcę dodać
Księża drodzy i wspaniali
Że Was nigdy nie zapomnę
Boście rękę mi podali.